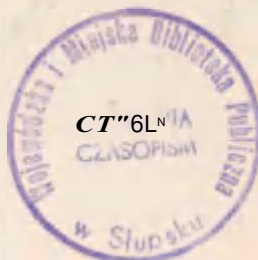


# POMERANIA

A1-<sup>o</sup>2<sup>^</sup>13



- W KRĘGU NIEMOCY
- KURS NA MŁODZIEŻ
- Z MŁODYCH LAT M. BYSTRONŃ
- PRZĘSCYGANI CZASU
- DZIENNIK A. GRZYBA
- UROCZĘZNĚ W CZĄDZE ROKU
- Z RIWIERY DO RZYMU
- MIĘDZY NAKŁEM A ANAGNI
- NIEZDOLNI?
- ZWYCZAJE ROLNIKÓW

**1**

**STYCZEŃ**  
**1980**



# POMERANIA

ZARZĄD GŁÓWNY  
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

Rok XVII

1980

Nr 1 (96)

## W numerze:

- 1 DANUTA SIEMIŃSKA — W kręgu niemocy i rusztowań
- 2 FRANCISZEK SZCZĘSNY — Kurs na młodość
- 3 STANISŁAW JANKĘ — Świat z młodych lat
- 5 RYSZARD CIEMIŃSKI — W administrowaniu niezdolni?
- 7 JERZY SAMP — Wokół prawdy o zełganym demonie (3)
- 10 MARIAN MAJKOWSKI — W lagrze (dokończenie)
- 13 EUGENIUSZ GOŁĄBEK — Przescygnani czasu
- 16 ANDRZEJ GRZYB — Dziennik
- 18 URSZULA OLSZEWSKA — Pamiętnik (23)
- 21 ANNA ŁAJMING — Wspomnienia z młodości (dokończenie)
- 24 FRANCISZEK RUTKOWSKI — Z Riwieri do wolnego Rzymu
- 27 ALFONS FILIP — Wspomnienia z wojny (4)
- 30 ALEKSANDER LABUDA — Uroczęźnė w czqdze roku (2)
- 32 JERZY TREDER — Ze Słownika Sychty. Wierzenia i zwyczaję związane z rolnictwem i rybactwem
- 36 JAN POWIERSKI — Między Nakfem a Anagni
- 40 Klęka — Z życia Zrzeszenia

### REDAGUJE KOLEGIUM:

Konrad Ciechanowski  
Jerzy Kledrowski  
Wojciech Kledrowski  
(redaktor naczelny)  
Stanisław Pestka  
Edmund Puzdrowski  
Krystyna Puzdrowska  
(sekretarz redakcji)  
Jerzy Samp

### STAŁE WSPÓŁPRACUJĄ:

Lech Bądkow&kł  
Tadeusz Bolduan  
Józef Borzyszkowski  
Edward Breza  
Zygmunt Brockł  
Ryszard Ciemliński  
Stanisław Janke  
Aleksander Labuda  
Anna Lajming  
Kazimierz Ostrowski  
Jerzy Treder  
Izabella Trojanowska

### ADRES REDAKCJI:

Długi Targ 8/10  
80-828 Gdańsk  
tel. 31-36-5  
Konto PKO:  
Gdańsk 19510-5890-132

### WYDAWCA:

ZARZĄD GŁÓWNY  
ZRZESZENIA  
KASZUBSKO-  
POMORSKIEGO

Prenumerata roczna 150 zł  
Nakład 2000 egz.  
Druk. Gd. Wyd. Pras. —  
Nr 3088 — J-7

# W kręgu niemocy i rusztowań

Danuta Siemińska

Bytów. Stara słowiańska osada, której burzliwe dzieje nie zdołały zetrzeć jej kaszubskiego charakteru. Długa jest lista nazwisk ofiarnych ludzi, szczerze tej ziemi oddanych. Lista ciągle otwarta, bo i dzień dzisiejszy zostawia na niej swój ślad. W wielu jest w Bytowie żywo zainteresowanych sprawami regionu, usiłujących dokonywać na co dzień twórczej symbiozy tradycji ze współczesnością. Usiłujących...

Na niewielkim wzniesieniu, w miejscu dawnego słowiańskiego castrum, wzniesli przed wiekami Krzyżacy zómek. Historia nie była dlań łaskawa. Zniszczony i częściowo spalony podczas „potopu szwedzkiego” uchronił się w XIX w. od planowanej rozbiorczy „prozaicznym” brakiem pieniędzy. Niewiele uszkodzony podczas ostatniej wojny — przetrwał do naszych czasów.

Od kilkunastu lat-trwa odbudowa bytowskiego zamku. Tempo przeprowadzanych tam prac jest jednak tak powolne, że nawet najwięksi optymiści nie wierzą już w realność kolejnych terminów. Szanowne skądinąd i wielce zasłużone przedsiębiorstwo, jakim jest Pracownia Konserwacji Zabytków, wystawia na ciężką próbę cierpliwość gospodarzy miasta oraz przyszłych użytkowników obiektu.

Obietnicami, li tylko werbalnymi okazywały się zapewnienia o rychłym uruchomieniu kolejnych instytucji w powołanych jio nowego życia skrzydłach zamkowych. Jednym z zawiedzionych i co tu kryć — rozgoryczonych jest mgr Piotr Cielecki, dyrektor Muzeum Zachodnio-Kaszubskiego. Rozmowę naszą rozpoczynam od pokazania notatki, jaka ukazała się na temat muzeum w jednym z numerów „Pomeranii”. Szybko przebiega oczami tekst.

— *Nic się nie zmieniło, mimo że informacja jest sprzed dwóch lat. Sama pani widzi. Zajmujemy, a raczej wypożyczamy dzięki uprzejmości pracowników Miejskiej Biblioteki Publicznej jedną salę wystawową o powierzchni 117 m kwadratowych i dwa małe pomieszczenia biurowo-magazynowe. To mniejsze — to moje królestwo.*

*Kiedy obejmowałem kierownictwo tej placówki, zapewniano mnie, że w stosunkowo niedługim czasie zostanie oddane do dyspozycji muzeum skrzydło, obejmujące Dom Zakonny, Basztę Kwadratową i Młyńską o łącznej powierzchni ok. 1000 m kw. Termin oddania — w połowie 1973 roku. Jak nietrudno obliczyć, minęło już 6 lat, a my ciągle pracujemy w warunkach tej nader uciążliwej prowizorki. Co więcej, w 1980 r. ma być przetazane bytowianom Skrzydło Książęce, przeznaczone na hotel i restaurację. Dopiero po tym terminie przystąpi inwestor do remontu pomieszczeń przewidzianych dla nas. Bardzo chciałbym podać choćby przypuszczalny termin otwarcia muzeum. Niestety, w tej sytuacji wolę się powstrzymać od składania jakichkolwiek deklaracji.*

Zalega krępująca cisza, którą pierwszy przerywa gospodarz.

— *Proszę to obejrzeć — mówi, podając niewielką figurkę. — Zadumany kaszubski świątek, dłuta nieznanego artysty. Jego niewątpliwe piękno stał jednak czas, nieubłagany w swym niszczącym działaniu.*

— *Pilnie chyba wymaga niezbędnych zabiegów konserwatorskich?*

— *A tak. Tylko, że nieprędko się ich doczeka. Nie on jeden zresztą. Na stanie mamy 2500 eksponatów i każdy z nich wymaga natychmiastowej pomocy.*

— *Dlaczego więc ich nie konserwujecie?*

— *Bo nie ma konserwatora, nie mamy odpowiedniej pracowni dla tego typu prac z tej prostej przyczyny, że nie ma jej gdzie uruchomić. Owszem przewidziana jest takowa, ale w... Baszcie Kwadratowej. Tymczasem zaś robimy co możemy.*

— *To znaczy co?*

— *Dostępny nam metodami i środkami zabezpieczamy eksponaty przed dalszym zniszczeniem. To wcale nie znaczy, że nie zdajemy sobie sprawy z poławiczności naszych poczynań. Tym bardziej, że miejsce ich przechowywania urąga wszelkim przyjętym w muzealnictwie normom i ustaleniom. Bo cóż to za magazyn, w którym z takim trudem i poświęceniem zbierane pamiątki tej ziemi, skazane są na dalsze niszczenie. Brak miejsca i klimatyzacji oraz wilgoć — robią przecież swojt.*

— *Czy uważa Pan zatem, że sytuacja w jakiej znalazło się Muzeum Zachodnio-Kaszubskie jest wręcz alarmująca?*

— *Z całą odpowiedzialnością tak twierdzą.*

— *Nie zniechęca to was?*

— *W pewnym stopniu. Zabrzmi to może pompacyjnie, ale mimo wszystko czujemy się tu potrzebni. Muzeum cieszy się sporym zainteresowaniem zwiedzających. W ciągu roku odwiedza je 20 000 osób, z czego połowa tylko przypada na turystów. Przychodzą do nas, niekiedy gromadnie, mieszkańcy okolicznych wiosek i nie bez dumy rozpoznają na wystawach swoje darowizny.*

*Są też i tacy, którzy po niewczasie żałują zniszczenia niepotrzebnych już im sprzętów gospodarstwa domowego oraz narzędzi pracy. Jeszcze bardziej żałujemy my, ponieważ niektóre wytwory ludowej kultury są dziś już nie do nabycia.*

— *A jakie rezultaty daje penetracja terenu?*

— *W chwili obecnej — znikome. Zdajemy sobie sprawę, że najlepszy okres zbierania eksponatów mamy poza sobą. Przypadł on na dziewięćoletni okres bardzo aktywnej działalności Społecznego Komitetu,*

poprzedzający utworzenie muzeum. W tym czasie zebrano 1500 obiektów z dziedziny hodowli, rolnictwa, gospodarstwa domowego i sztuki.

Dzisiaj, mimo rozszerzenia obszaru poszukiwań na południowy wschód, nasza działalność zbieracka ogranicza się w zasadzie do relikwów kulturowych tzw. osadników, którzy napłynęli na te tereny po 1945 roku. Bardzo często zdarza się, że oni sami przychodzą do nas z cennymi darami, nie szczędząc przy okazji krytycznych uwag i postulatów.

— Zauważyłam, że na wystawie obrazującej przekroju zbory muzeum, dość licznie reprezentowane są rzeźby współczesnych artystów ludowych.

— Nie jest to przypadkowe. Uważam bowiem, że muzeum nasze, mimo wszystkich wyżej wymienionych trudności i przeciwności losu, powinno spełniać rolę mecenasa artystów ludowych. Już sam fakt zakupu, nieraz kontrowersyjnego, jest formą opieki nad tymi twórcami. Im daję satysfakcję a nam wzbogaca zbiory. Zamierzamy utworzyć galerię rzeźby kaszubskiej, w której nie może przecież zabraknąć Licy, Hewelta, Zwolakiewicza czy Kostki. Mamy tę świadomość, że to co kupujemy nie zawsze jest dziełem sztuki, ale na pewno świadectwem określonego środowiska kulturowego. Tego środowiska, które chcemy możliwie najlepiej zaprezentować odwiedzającym nas gościom.

— Co jest lub będzie waszą specjalnością?

— Wystawy czasowe. Mieliliśmy ich do tej pory kilka, organizowanych poza sezonem turystycznym, a mimo to — licznie oglądanych. Były więc: „Współczesna sztuka ludowa Kaszub”, „Skrzynie ludowe na Pomorzu Środkowym”, „Osadnicy — wystawa nabytków”, „Malarstwo i grafika plastyków gdańskich”

i inne. Ciągłe jednak marzą się nam wystawy sreber, białej broni, malarstwa młodopolskiego w odbudowanych wnętrzach zamkowych. Ulegając, swojego czasu, złudnym obietnicom rychłego przeniesienia do właściwej siedziby, prowadziłem rozmowy z kilkoma placówkami muzealnymi w kraju dotyczące wypożyczenia sreber i broni. Niestety, trzeba było je przerwać i uzbroiwszy się w cierpliwość — czekać.

— A w międzyczasie?

— Zorganizowaliśmy Muzeum Polskiej Szkoły w Płotowie, które jest naszym oddziałem, podobnie jak istniejący od kilku lat skansen — zagroda w Somnachs. Zgromadzone przez nas ekspozycje pochodzą głównie z bytowskiego i złotowskiego. Większość z nich przekazała p. Władysława Knosata z rodziny Styp-Rekowskich, była nauczycielką szkół polskich w Niemczech.

Dziękując miłemu gospodarzowi za rozmowę nadmieniam, że jadę do Somina, by obejrzeć wspomnianą już zagrodę gburską.

— Tam stoją tylko dwa obiekty — mówi Cielecki — zamiast planowanych czterech. Jest więc budynek gospodarczy i chatka owczarza, a w bliżej nieokreślonej przyszłości mają stać: stodoła i chałupa. Swoistej pikanterii dodaje fakt, że cały teren, na którym znajduje się zagroda, pozostaje ciągle w rękach prywatnych. Jakoś nie mogą doczekać się szczęśliwego końca pertraktacji z aktualnym właścicielem.

Opuszczam Bytów z mieszanymi uczuciami.

Tyle tu spraw czeka na zdecydowanie i właściwe rozwiązanie. Kto zatem przerwie zaczarowany krąg niemocy i rusztowań?

# Kurs na młódzież

## Franciszek Szczęsny

Matka moja wtedy wracała do domu, z robót przymusowych u Niemca Wajsa w Kobysiewie. Ilekroć przez Żukowo maszerował Stutthof „drogą śmierci”. Ojciec natomiast przyjechał dopiero na początku lata z czeskiej partyzantki, dokąd zawiąły go losy wojennej zawieruchy. Dopiero potem, w przepisowym czasie w zmęczonym wojną i gnębionym dudem brzusznym Kiełpinie, przyszedłem na ten najpiękniejszy ze światów. Nie należę więc do tej generacji, która walczyła i przeżyła, która teraz może dać świadectwo prawdzie, na której bohaterkich czynach możemy być wychowywani, my — młódzież.

To, że zabieram głos w ankiecie „Pomeranii” obok wielkich sław, uznawanych w kraju i za granicą, niech nie będzie poczytane mi za zarozumiałość. Nie o to idzie. Chciałbym wszystkim, którzy czytają to pismo i którym bliskie jest dobro Kaszub, pokazać co czują i co wiedzą o swoim regionie młodzi z mojego pokolenia. Niech ta szczypta wiadomości przyczyni się do uratowania tego co nie może zaginać.

Babka moja, o której napisano — narodowość — niemiecka, wyznanie — katolickie”, zanim zmarła nauczyła mnie zaledwie kilku słów po polsku. Później piastunką moją była z litości przygarnięta Niemka, która dla odmiany mówiła tylko po niemiecku i zanim desportowano ją do dopiero co powstałej NRF, nauczyła mnie niezłe „szprechać”. Przystępując próg szkoły podstawowej mówiłem wy-

łącznie po kasz/ubsku, bo tak mówili rodzice i wszyscy wokół. I tu zaczęła się gehenna, bo kazano nam mówić wyłącznie po polsku, a ja znałem tylko wierszyk „Kto ty jesteś? — Polak mały...”. Recytowałem go zwykle wtedy, kiedy ojciec chciał się mną pochwalić.

Najtrudniej radziłem sobie z opowiadaniem czytanek swoimi słowami, brakowało polskich słów, przy tym baliśmy się ośmieszenia i bicia. A wybijano nam kaszubszczyznę, wybijano. Nie zapomnę jak kierowniczka szkoły ostrzem ołówka niczym mizerykordia biła po plecach koleżankę pozostawiając krwawe ślady na jej dzięciących plecach.

O dziwo, nie buntowaliśmy się przeciwko systemowi, zgodnie przyjmowaliśmy, że to co polskie, co nowe, to lepsze i doskonalsze. Tylko ta kobieta, ona budziła w nas uczucie, które było mieszaniną nienawiści, strachu i podziwu. Byliśmy posłuszni kiedy kazano nam kochać Polskę, o której nie mieliśmy pojęcia, i kiedy kazano dawać swoje grosiki na umęczoną, biedną, odbudowującą się Warszawę. Z przejęciem recytowaliśmy wierszyki o modrej Wiśle co po szerokim polu płynie, zupełnie zapominając o naszej pracowitej Raduni co tak malowniczo meandruje tuż za wsią aby wpaść w również malowniczy przełom w sąsiedniej wsi. Jednakże naszego pędu do polskości nie można było nazwać owczym, z sobą rozmawialiśmy po kaszubsku i biada temu kto próbował się wyłamać — był niemiłosiernie wykrwany.

W szkole średniej, dokąd wybrały się aż dwie osoby z klasy, było już inaczej, tu polski królował absolutnie. Ale jaki to był pozał się Boże polski najlepiej wiedzą polonistki, panie Regina Żukowska i Zofia Baranowicz z kartuskiego liceum ogólnokształcącego. Tylko dzieci inteligentów z Kartuz mówiły płynnie, pozostałe często „zaczynały się” i co gorsze — były w większości. Ja syn chłopo-robotnika z kilkunastoosobowej rodziny do tych ostatnich należałem.

To, że tu nie wybijano z nas wszystkiego co kaszubskie jest głównie zasługą długoletniego niezrównanego dyrektora liceum Teodora Elasa — wielkiego przyjaciela młodzieży i Kaszuby z Grzybna, oraz dzielnie wspierającego go byłego partyzanta Gryfa Pomorskiego — Alfonsa Pryczkowskiego.

Ich uczniem zostałem, bo zamarzył mi się bardzo męski zawód, oficerski mundur i stanowisko na mostku kapitańskim. Niestety marzenie nie ziściło się, nie poszedłem na morze. Za zagubienie dokumentów oskarżałem wówczas pocztę. Dziś dzięki „Pomeranii” domyślam się, że nie poczta tu zawiniła, ale miejsce urodzenia.

Później na studiach w Warszawie jakiś belfer zapoznając się z moim „pechowym” miejscem urodzenia zadał mi pytanie.

— Skąd się tam znalazłeś?

— Moi rodzice tam mieszkali.

— Tak, a pb niemiecku umiesz?

— Nie — odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

(Przyznaję, że nie rozumiałem wówczas sensu tych pytań ani podejrzliwego spojrzenia jakim mnie pozeźnał. Nieco później wyjaśniono mi jaka jest różnica między toporkiem i Kaszubą. I choć przodowałem w nauce, zawsze byłem kimś gorszym i co smutniejsze nie miałem argumentów na odparcie insynuacji. Z potrzeby wyrwania się z tego piekła, o którym tak pisał F. Nietzsche: „Każdy, kto kiedykolwiek zbudował jakieś »nowe niebo« znajdował moc do tego dopiero we własnym piekle” — zapoznałem się ze wszystkim co udało się zdobyć, a co traktowało o Kaszubah.

Długo musiałem szukać i może dlatego tak się zapaliłem, że nie poprzestałem na stosunkowo ubogiej literaturze, ale zacząłem rozmawiać z ludźmi. Okazało się, że nawet od najbliższych i znajomych można dowiedzieć się nieprawdopodobnych rzeczy. Bywało, że przerażenie ogarniało mnie kiedy zamyslałem sobie, że całe życie mógłbym przechodzić obok nich nie dowiedziawszy się niczego. Z małymi wyjątkami żaden z nich nie chwalił się swoją bogatą przeszłością, a już na pewno nikt jej nie spisał. A szkoda, bo wiele ciekawych i pouczających wartości stopniowo zabierają z sobą do grobu.

Zdobyte wiadomości utwierdziły mnie w przekonaniu, że Kaszubi nie są w żadnej mierze gorsi od innych i raczej powód do dumy mam, niż do wstydu ze swego pochodzenia. Dziś potrafię udowodnić to każdemu kto kieruje się rozumem i z płaską jak dłoń głupotą wspartą tępym uporem nie twierdzi, że toporek należy ostrzyć a Kaszubę tępić.

Nie jest wykluczone, że w podobnej jak ja sytuac-

cji znalazło się i znajdzie się wielu młodych. I cóż im pozostanie? Najprościej wyprzeć się swego pochodzenia, czyli zdradzić ojca i matkę. Zamknąć się w sobie jak ślimak w skorupie, to też możliwe wyjście — ale czy najlepsze? Może jak ja zaczął po omacku szukać swoich korzeni i cóż im wówczas pozostanie? Niewiele. Może jakaś książka A. Necla w której Kaszubi w co trzecim zdaniu wymieniają słowo „Polska” albo „ojczyzna”.

„Pomeranii” w kiosku nie dostaną. Ona jest tylko dla wybranych, a nawet gdyby była kto w jej ubogiej szacie graficznej upatrywałyby pismo traktujące o pięknym regionie. Pożyteczne to pismo nie wyciąga — jak mi się wydaje — ręki w stronę młodzieży. A bez zainteresowania się jej sprawami trudno mówić o jej pozyskaniu.

Słusznie twierdzi K. Marks „Przy założeniu, że człowiek jest człowiekiem i jego stosunek do świata jest ludzki, miłość możesz wymienić tylko na miłość, zaufanie na zaufanie, zainteresowanie na zainteresowanie itp.”. Bez zainteresowania młodzieży regionem nie zachowamy tych wszystkich wartości, którymi słusznie szcycimy się, nie uchronimy jej od upokorzeń i zatracimy spuściznę naszych przodków. Co będzie gdy za przyczyną Polonusów wielce pożyteczna moda na szuikanie swoich korzeni dotrze do nas? Czy nie znajdą zbyt wielu białych płam, które bardzo różnie mogą być interpretowane?

Ktoś może zadać pytanie — czy potrzebna jest szczegółowa wiedza o regionie, czy nie wystarczy ta ogólna z podręczników szkolnych? W moim głębokim przekonaniu: nie. Nam w Polsce potrzeba ludzi głęboko zaangażowanych, ideowych, pracowitych i światłych. Takich, którzy kochają swoją ojczyznę. Ale jak mają ją kochać bez miłości najbliższego regionu? Bo trudno mówić o miłości do kogoś nieznanego, można jedynie spodziewać się zainteresowania, które łatwo przenosi się na inny ciekawszy obiekt. Ale można oczekiwać miłości do rodziny i rodzinnej checzy. Tej co prawie każdemu kojarzy się z matczyną miłością, zapobiegliwością, troską i ciepłem jej rąk, z pryncypialnością i surowością ojca, z pierwszym odkrywaniem świata. Można liczyć na miłość do rodzinnych stron kojarzącej się zwykle z dziecinnymi psotami, kolegami i pierwszą młodzieńczą miłością.

Dopiero potem idzie region, który dał możliwość zdobycia wiedzy i wypłynięcia na szeroki świat, a który jest integralną częścią tego co nazywa się Polską. Dlatego w moim przekonaniu niezbędną wiedzę o regionie należy koniecznie przekazać dzieciom. Tak jak sztuką rozkoszować się może człowiek wykształcony w dziedzinie sztuki, tak kochać się w swoim regionie i ofiarnie pracować dla niego może tylko ktoś, kto go zna. Dziś w erze telewizji dziadkom czasu na zapoznanie z nim nie wystarczy, dlatego winne to robić kompetentne organizacje i instytucje ze szkołą na czele.

Wydaje mi się, że obecnie sprawa propagowania wiedzy o naszym regionie jest o wiele lepiej potraktowana niż w okresie mojego dzieciństwa, jednakże dużo jest jeszcze do zrobienia. I trzeba się spieszyć.

# Świat z młodych lat

Stanisław Jankę

Zespół Pieśni i Tańca „Kaszuby” z Kartuz ze swego tegorocznego tournée po Republice Federalnej Niemiec wrócił z bagażem gorącego przyjęcia i przychylnych recenzji. Zresztą nie pierwszy to sukces. Podobnie było w Bułgarii, Szwecji, na Węgrzech. „Kaszuby” uznawane są za jaden z lepszych zespołów folklorystycznych w Polsce. Zespół, w ciągu 33 lat swego istnienia, wypracował własny, niepowtarzalny profil. W dużej mierze swoje powodzenie „Kaszuby” mogą zawdzięczać Marcie Bystron — współzałożycielce zespołu, od początku sprawującą w nim funkcję choreografa. Mimo swych 77 lat Marta Bystron, jest równie żywotna jak dawniej. Jest ciągle troskliwą „babcią” zespołu.

## FOTOGRAFIA PIERWSZA

Na okrągłym, antycznym stole rozłożony plik fotografii. Marta Bystron po niedługim szukaniu znajduje niewielkie połówkowe zdjęcie. Na pierwszym planie widać kiluosobową grupę stojącą przed znaną sylwetką Pałacu Łazienkowskiego w Warszawie. Uśmiechnięte dziewczyny mają na sobie stroje kaszubskie. Mężczyźni w kapeluszach i długich, jesiennych paltach. Wśród młodych twarzy rozpoznaję Martę Bystron, także Aleksandra Labudę i Jana Treczyka — dzisiaj kaszubskich literatów.

— To zdjęcie jest sprzed II wojny światowej — wyjaśnia sędziwa choreografka. — Gdy powstało Zrzeszenie Kaszubów w Kartuzach mój pierwszy mąż Leon Rychert, został wybrany sekretarzem. Sprawom Zrzeszenia był oddany do reszty. Każdy wolny czas poświęcał tej społecznej działalności. Niejednokrotnie klóciliśmy się z tego powodu. Nie mogłam się wówczas pogodzić, że tak mało czasu ma dla rodziny. Ale i mnie potem również zaczęło pociągać to Zrzeszenie... Kiedyś, pamiętam, wybraliśmy się wycieczką do Warszawy na zaproszenie korporacji studenckiej „Cassubia”. Tam w Warszawie ugościł nas uroczystym obiadem sam prezydent Mościcki. Z tego powodu byliśmy ogromnie zaszczytzeni.

## DZIECIŃSTWO

Pyta pan o moje dzieciństwo? Proszę pana, mam z tego okresu naprawdę serdeczne wspomnienia. Gdy czytam w „Pomeranii” wspomnienia pani Anny Łajming, myślę sobie, że i ja mogłabym coś takiego napisać... Pierwszy okres dzieciństwa spędziłam w Garczu, potem, gdy miałam 8 lat rodzice przeprowadzili się do Kartuz. Najbardziej z tamtych lat utkwił mi w pamięci ojciec. On właściwie nie potrafił ani po polsku, ani po niemiecku, tylko po kaszubsku. Stąd też u nas nie było inaczej jak po kaszubsku. Nawet pacierz odmawialiśmy po naszymu. Dopiero gdy zaczęliśmy uczęszczać na naukę religii, nrłowiliśmy go po polsku. Mój ojciec miał przede wszystkim duże poczucie humoru, przy tym był niejako swoistym poetą. Bez chwili zastanowienia układał rymowane wierszyki na każdą okazję — gdy się z kimś witał, gdy rozmawiał. Niemal każdego wieczora do naszego domu przychodzili sąsiedzi i znajomi. Gawędzili niejednokrotnie do późnej nocy. Ojciec był szczególnie dobrym gawędziarzem. Najbardziej zapamiętałam jego wspomnienia o duchach i strachach. Mówiąc o tym, cały czas przekonywał, że to wszystko jest prawdą, że nic nie zmyślił. A nam dzieciom skóra

cierpła od tych historyjek. Myśmy w to wszystko wierzyli. Baliśmy się potem wychodzić wieczorem na podwórko. Ze strachu trzymaliśmy się matczynego fartucha. Czasami przy takich pogawędkach odbywały się tańce. Zawsze się znalazł ktoś z harmonią... Gdybym wtedy baczniej obserwowała te tradycje, dzisiaj wiedziałabym o wiele więcej. Po prostu nie interesowałam się tym wówczas.

## ZWYCZAJE

Pamiętam, gdy byłam młoda, w dzień Wielkanocy wstawałam wraz z innymi dziewczętami — wczesnym rankiem, jeszcze przed wschodem słońca i biegłam do strumyka by obmyć twarz. Wówczas bowiem mniemano, że po tym rytuale cera będzie gładka i jędrna, że dziewczyna stanie się bardziej urodziwa. Aby obrzęd był ważny, nie można było, wracając do domu, obejrzeć się za siebie ani też rozmawiać. To wykorzystywali chłopcy, którzy nas wtedy straszili, zagadywali, byleby tylko skusić nas do odwrócenia się lub do rozmowy.

W drugi dzień Wielkanocy odbywały się oczywiście dyngusy. Ci, którzy wcześniej wstali, zakradali się niepostrzeżenie do chęc, do izb i bili śpiochów po gołych łydkach rozkwitłymi gałązkami brzozy albo jałowca. U nas oblewania wodą w ogóle nie było, jak to obecnie się stosuje. To nie nasz zwyczaj. Jedynie ci bogatsi przyskali się perfumami.

Zielone Świątki to były dopiero piękne święta. Na ten dzień mieciono podwórka. Tu i ówdzie majono. Zielenia ozdabiano drzewi, okna, łózka, lustra. Dzieci, które pasły krowy musiały je przystroić w wieńce z kwiatów. Nawet psy przyozdabiano kwiatami.

W wigilię świętego Jana znosiliśmy chrust na najwyższą górę w okolicy i robiliśmy duże ognisko. Potem były tańce i śpiewy. Czasami zapalaliśmy jakąś starą beczkę po smole, którą wcześniej wieszaliśmy na wysokim słupie. A wianki? Dawniej nie puszczano wianków na wodę. Ten zwyczaj przywędrował na Kaszuby z centralnej Polski.

W czasie żniw pięknym zwyczajem było ścinanie bęksa, czyli ostatniego snopka. Owego bęksa nakładano na widły i stawiano na środku pola. Temu zwyczajowi towarzyszył radosny śpiew. Gdy wracaliśmy do domu na ostatniej furze, musieliśmy przejść istny przysznic. Bowiem chłopcy wspinali się na drzewa i stamtąd oblewali wodą jadący wóz. Niejednokrotnie ostatnia fura była tak zmoczona, że trzeba było najpierw ją wysuszyć, by mogła znaleźć się w stodole. Potem oczywiście była zabawa. Tańczyliśmy przeważnie w korkach na klepisku.

Bardzo cieszyliśmy się na gwizdźde. Do tego przygotowywaliśmy się szczególnie. Sami szyliśmy sobie stroje, wykorzystując do tego co tylko można było — przecieradła, stare ubrania. Pamiętam, kiedyś potrzebowałam czapę futrzaną dla króla Heroda...

Cotka Metylda miała kota, chteren ji wiedno leżół na klinie. Tej jedén z naszych knopów rzekł: Jó tego kota róż ji zwędza, më mdzemë miele dobrą czópkę. No i tak też zrobiół. A cotka Metylda wiedno sę pi-tała: Dze ostół mój kot? Kota jednako nie bëło. Jaz przeszła gwizdźdka. Czej przeszłe gwizdźde, tej naszó cotka tak na tę czópkę zdrza i powiedza: To je takó samó czópká, jak mój kot.

W każdym domu oczekiwano gwizdźdy. To była duża poruta, jeżeli do któregoś domu nie przyszły gwizdźde. Wówczas ci, którzy chodzili dobrze potrafili grać i śpiewać. Zresztą mieli przed tym dużo prób... A dzisiaj, panie, to nie są gwizdźde. Przeważnie przychodzą już pijani, mają złe stroje, a niejednokrotnie nie potrafią śpiewać kołęd.

W przeddzień Nowego Roku było bardzo wesoło. Starsi wtedy przeważnie gromadzili się na pogawędki popijając wino robione z żyta albo owsa. A młodzi wykorzystując to — psocili się. Wyjmowali furtki. Gospodarzom zamieniali zwierzęta. Niekiedy nasadzali na komin cały wóz z dyszlem, albo zapychali go szmatami. A robili to tak sprawnie, że domownicy dowiadawali się o fackie dopiero następnego dnia.

Teraz młodzi najchętniej siedzą w kawiarniach. Słuchają głośnej muzyki, oglądają telewizję, chodzą do dyskotek. A te dawne ładne obyczaje giną. Co prawda czasami jeszcze przychodzą gwizdźdki, ale ja nie jestem z nich zadowolona.

#### FOTOGRAFIA DRUGA

Po wojnie czegoś mi brakowało. Prawdopodobnie tych przedwojennych tradycji, tych młodzieńczych przeżyć. Aż, ku zadośćuczynieniu moich marzeń, pewnego razu przyszli do mnie trzej panowie, których nie znam do dziś, proponując mi utworzenie w Kartuzach kaszubskiego zespołu pieśni i tańca. Chcieli, żeby ów zespół po raz pierwszy wystąpił w Gdańsku, w rocznicę jego wyzwolenia. Nie zastanawiałam się wiele. Od razu, tego samego dnia, wysłałam do miasta i zaczęłam werbować. Na początku proponowałam osobom z grona rodzinnego, znajomym i najbliższym. Nie wszyscy jednak się zgadzali. Zdarzało się, że

kiwali z politowaniem głowami. Trzeba było mieć wówczas dużo samozaparcia, by nie zrezygnować. Zaczęło być lepiej, gdy ludzie nabrali zaufania. Poza tym miałam różne inne kłopoty, przede wszystkim brakowało strojów. Dlatego chodziłam od domu do domu i pożyczalam skorzenie, czarne kapelusze, spodnie, westy, białe koszule. Kilka koszul zrobiłam z przecieradeł. Gorzej było ze strojami dla dziewcząt, w końcu jednak i z tym sobie poradziłam. Tak więc zapięłam na ostatni guzik, ruszyliśmy do Gdańska. Pamiętam, jechaliśmy wtedy samochodem ciężarowym, który nie miał przykrycia. Gdy zajechaliśmy na miejsce, byliśmy niesamowicie brudni. A jednak wypadliśmy dobrze. Nasz występ spotkał się z gorącym przyjęciem. No i tak się zaczęło. Od tego czasu spotykaliśmy się na wspólnych próbach, mimo że niekiedy nie mieliśmy na to warunków. Któregoś dnia przyjęli do nas przedstawicieli z radia...

Marta Bystron pokazuje fotografię, na której widać grupę dziewięciu osób w kaszubskich strojach, przed radiowym mikrofonem. U dołu napis informujący, że to zespół „Welecja”, taką bowiem nazwę przybrały początkowo „Kaszuby”. Dzisiaj niewiele zostało z tego pierwszego grona. Zespół składa się przede wszystkim z ludzi młodych i liczy ponad 50 osób.

#### BY OCALAŁO

Sędziwa choreografka pokazuje m: plik gęsto zapisanych kartek. To zapisy dawnych kaszubskich zwyczajów. Niektóre z nich zostały już opublikowane. Wśród tego pliku zapisków jest „Wesele kaszubskie” — pisane wspólnie z dziś już nieżyjącym Aleksandrem Tomaczkowskim, „Dyngusy”, „Sobótki”, „Gwizdźde”, „Ścinanie kani” i wiele innych podobnych utworów. Marta Bystron planuje spisać wszystkie zwyczaję, które zna z lat swojej młodości. Nie zawsze jednak starcza jej czasu. Bowiem prócz zajęć z zespołem para się haftem kaszubskim. Zresztą tę pasję ceni sobie szczególnie. Jeszcze przed wojną nauczyła się haftować. Jej pierwszą nauczycielką była Franciszka Majkowska.

Z folklorystycznych doświadczeń Marty Bystron korzysta liczne grono zainteresowanych. Z jej osobistych przeżyć składa się fabuła dokumentalnego filmu\* „Gwizdźde”.

Ocalić od zapomnienia — to cel zasadniczy choreografki z Kartuz.

Widziane z Warszawy...

# W administrowaniu niezdolni

Z początku miał to być wyjazd służbowy jak każdy inny. Z delegacją służbową w kieszeni jechałem, pamiętam, do Szczawnicy. Okazja była wcale godziwa: telewizyjny „Bank Miast” z cyklu audycji będących dość sztamową próbą konfrontacji terenowych dokonanych dwóch ośrodków. Tym razem kolej przyszła na Wisłę i Szczawnicę. Pierwsze swe reporterskie kroki skierowałem, co być może splendoru mi nie przynosi, ale tak było, do dyrekcji uzdrowiska, o którym zawczasu wiedziałem, iż jest faktycznie gospodarzem tego miasteczka podgórskiego o reputacji jednego z lepszych w kraju pod względem walorów klimatycznych. Przyjął mnie dyr. Kukliński, wielce elegancki mężczyzna, na oko pięćdziesięcioletni, ruchliwy, dynamiczny, pełen ekspresji, słowem typowy menager. Jak go sobie z miejsca w duchu określiłem. Zasiadliśmy w jego wykładanym drewnem gabinecie, rozmowa przez cały czas toczyła się wokół problemów uzdrowiska, przypominam sobie, iż aktualna wówczas była sprawa fuzji Szczawnicy 5 z pobliskim Krościenkiem, więc i na ten te-

mat powiedzieliśmy sobie niejedno. Jak z rękawa sypał informacjami o liczbach kuracjuszy, o metodach leczniczych, rodzajach chorób, objawił niemałą wiedzę o przeszłości miasteczka (za jego czasów miejscowe muzeum nabrało szczególnego blasku, powstała w nim izba pisarza Jana Wiktora), mówił o postępującej rozbudowie miasta, kreślił jego perspektywy. Był przy tym ujmujący, sposobem bycia, kulturą, wiedzą jaką od niechcienia jakby objawiał. Okazało się, że jest ekspertem resortu zdrowia, jego wielokrotnym wysłannikiem na rozmaite międzynarodowe kongresy, sympozja itp. I gdy nasza rozmowa dość już była zaawansowana, spytałem — zazwyczaj tak czynię — o strony z jakich dyrektor pochodzi. „Z Chojnicodrzekł bez chwili namysłu. W pierwszej chwili myślałem, że się przesłyszałem, spytałem więc raz jeszcze: „Z Pomorza?” „Tak, z Kaszub, jestem Kaszubą”, usłyszałem. Rzecz zrozumiała całkiem, iż dalej rozmawiało się nam jeszcze bardziej wartko aniżeli dotąd. „Mam w planie — dorzucił prędko mój szczawnicki interlokutor — och-

rzić dwa nowo powstające domy uzdrowiskowe mianem „Gryf” i „Pomerantaciągnął dr Kukliński swój pomorski watek.

A potem powstał ten mój reportaż w formie listu do dyr. Kuklińskiego pisany. Staralem się dać w nim wyraz mojemu uznaniu dla obecnego kształtu Szczawnicy (nieczego przeszłości nie ujmując) a także dziełu wieloletniego dyrektora uzdrowiska — dr. Kuklińskiego, rodowitego chojniczanina, o czym nawet Kazio Ostrowski wiedzący o Chojnicach z okolicami wszystko zdawał się nie być obznajomiony, Notabene Szczawnica w „Banku Miast” zwyciężyła. Niemały w tej wiktorii był udział samego dyr. Kuklińskiego, który ze znajomością rzeczy opowiadał na wizji o mieście, w którym od dziesiątków lat pracuje i które współtworzy. O spotkaniu xoarszawskim z córką dyrektora, wielce utalentowaną artystką naszej etrady (patrz: „Kabaret Starszych Panów”), zamilczę, jest to bowiem temat na całkiem inne opowiadanie.

Zdolni zatem czy całkiem niezdolni są Kaszubi w administrowaniu na szczeblach od gminnego wyższych? Operatywni są czy leż inercyjni? Zasciankowi, poza koniec własnego nosa nie widzący czy może przenikliwi, przewidujący z intuicją potrzeby chwili? Mierni czy może znakomici organizatorzy? Wykraczający poza swoje otoczenie gdy zarządzać innymi im przychodzić przeciwnie wręcz — rychło wtapiający się w tłum, nijacy, przeciętni? Dający sobie radę z tym co przynosi dzień jutrzejszy, czy zgoła oglądający się stale za siebie, niepewni, pozabawieni wszelkiej wizji, bezwolni, konserwatywni?

Gdy onegdaj znalazłem się w szczecińskim gabinecie dyr. Hebla, zrazu ścichłem (co, jak wiedzą o tym niektórzy, niezbyt jest u mnie częste). Do tego stopnia przytłoczył mnie swoim życiowym dynamizmem; swoim niepospolitym witalizmem dyrektor Zjednoczenia Gospodarki Rybnej, niemianowany „król polskiego rybołówstwa” Juliusz Hebel, gdynianin z urodzenia, Kaszuba z Kaszubów, a przy tym klasyczny europejczyk., człowiek świata całego, ten, który w trudnych dla rybołówstwa na całym świecie czasach (katastrofy wielkich tankowców, wprowadzenie 200-milowych narodowych stref przybrzeżnych) na głowie wręcz staje by ów rybny koniec z końcem powiązać jakoś i byśmy nie odczuwali jyb tych niedostatek. To on wymyślił gromadnika, notowanie, kergulę (nie kargulę, tu ukłon w stronę pana Brockiego) na naszych stołach, to on dba o coraz bardziej nowoczesny sprzęt połowowy, o wciąż nowocześniejsze statki połowowe, jego jest niemały udział w połowach kryla na wodach Antarktyki, to on wreszcie tworzył przed laty wszystkie niemal krajowe przedsiębiorstwa rybackie, wszystkie te „Arki”, „Dalmory”, „Gryfy”, „Odry”. Stale w rozjazdach, po wszystkich możliwych kontynentach, rynek krajowy i handel nasz zagraniczny stale mający na uwadze, nieczego nie zatracił z tego co z maszopskiego swego domu wyniósł przed laty, dorzucił jedynie — bagatela — wiedzę, doświadczenie, talent organizacyjny i ten zasadzający się na umiejętności nie kontentowania się małym. Dziś nie kryje wręcz faktu, iż to domowe reguły życiowe, niegdyś za własne uznane, sprawiły, że po ich wzmocnieniu wiedzą o istocie rzeczy, rozwinąć można było to jego dzisiejsze działanie, w pełni zasługując na uznanie jakim cieszy się pośród swoich uisółpracowni-

ków. Nic to, że jest pośród nich wiceminister żeglugi i handlu zagranicznego inż. Żyłkowski < Kaszuba jak wieść niesie, z Wejherowa rodem.

Jak to zostało ostatnio publicznie powiedziane? Jakoś tak: Kaszubi gdy tylko awansują w administracyjnej hierarchii, nie sprawdzają się. A był w tych słowach żal i wyraźna nuta nagany w głosie.

Spotkanie z inż. Kazimierzem Piontkiem na budowie elektrowni szczytowo-pompowej w Nadolu-Zarłowcu. Element niespodzianki w nim zawarty gdy okazało się, iż jest synem szkólnego z Nadola Józefa Piontka. To jeszcze jeden z krajanów napotkanych na moim reporterskim gościńcu w miejscu gdzie z pozorów nie winno ich być wcale, już zaś z całą pewnością nie w dyrektorskich gabinetach, jak chcą tego zwolennicy teorii o nikłych zdolnościach Kaszubów do zarządzania i administrowania na wyższych szczeblach. I znów: urok osobisty, pewna miękkość nawet, zupełny brak owej technokratycznej oschłości zjednywały sobie rozmówcę z miejsca. Dyrektorski barakowóz był miejscem naszego pierwszego spotkania. O elektrowni mówił, o tym jaka będzie, o rozmachu z jakim przychodzi mu ją stawiać. Parametrami rzucał, żadnymi notatkami przy tym nie posiłkując się. I do tego zupełnie nie zdradzał objawów zbytniego pośpiechu, widać oyo, iż na wszystko ma czas, na rozmowę z reporterem lakoż. Opowiadał pełnym zrównoważeniem głosem. To co mówił często miało charakter zwierzenia prawie. A przecież — o czym miałem, się przekonać dużo już później — sterował rozmową, dbał o jej kształt i formę. Z faktu, iż jest synem Józefa Piontka zwierzył mi się w chwili gdy wsiedliśmy do jepra by objechać nim całą żarnowiecką budowę. Po latach znów byłem w Nadolu. Barakowóz podmienił długi, estetycznie prezentujący się prefabrykowany barak. Nie barakowozy były miejscem zamieszkania budowniczych elektrowni a potężny hotelowiec, nie zmienił się tylko inż. Piontek. Był tym samym znajdującym posłuch u wszystkich, cieszącym się olbrzymim autorytetem fachowcem. Jednym z tych, których talent organizacyjny składa się na kształt obecny naszego kraju.

Troje ludzi. Trzy temperenty. Trzy style pracy w trzech jakże od siebie różnych dziedzinach naszego życia. Prócz tego, że są Kaszubami łączy ich jedno jeszcze: zarządzają, kierują przedsiębiorstwami-gigantami. Mają pod sobą wiele tysięcy ludzi. A przecież nie należą do wyjątków. Inni są dyrektorami stoczni, wydawnictw, „Orbisu”, rektorami i dziekanami wyższych uczelni. Wszyscy oni, wolno mniemać, administrują niezgorzej. Za to ich wieloletnie zarządzanie ceni się ich i szanuje. Czy nie dlatego przypadkiem, iż połączyli istic kaszubską solidność i pracowitość z prawdziwie kawaleryjską fantazją, ze zdolnością do improwizacji jakiej rasowemu administratorowi nigdy zbraknąć nie powinno. Posiadają talent do kierowania ludźmi. Oni nie mają w sobie skłonności do wróżenia z fusów, objawy czego widoczne są u poniektórych publicystów rodem z czasu dość dawno minionego, mączących w ludzkich głowach okrągłymi zdaniem i rzekomym braku talentu Kaszubów do sprawnego administrowania na wyższych od gminnego szczeblach.

RYSZARD CIEMIŃSKI



# Wokół prawdy o zełganym demonie,<sup>3)</sup>

Jerzy Samp

## 6. „POEMATOWA” WIZJA SMĘTKA

Rozbudowany pod względem fabularnym epizod ze Smętkiem pojawia się dopiero w zakończeniu „Księgi pierwszej”. Derdowski błysnął tu prawdziwym kunsztem literackim po mistrzowsku rozwijając ów wątek. Oto zrozpaczona utratą męża Czorlińska nuci małej córce starą kołysankę kaszubską rozpoczynającą się od słów:

„Ziuziu, ziuziu, corulenk, \*  
Zabjele cy ojca w remku,  
Zabjele go ze drudzimi  
Toporami żelaznymi,

A w Raduni krwawo woda,  
Szkoda ojca zeco szkoda...”

Po odśpiewaniu pieśni o krwawym Dominiku gdańskim matka wraz z dzieckiem zapadają w sen. Wówczas, jakby we śnie zjawia się Mora w postaci czarnej wrony (gapy).

Zgodnie z ludowymi wierzeniami Kaszubów demoniczna zjawa winna teraz znęcać się nad śpiącymi. Tymczasem z przyczyn, o których nieco później, dzieje się zupełnie inaczej. Nieoczekiwanie Mora — uosobienie sił przeciwnych i wrogich człowiekowi pociesza strapioną małżonkę Czorlińskiego i zapewnia ją, że mąż zdoła się uwolnić z jarzma czarów żydowskich, a choć przyjdzie mu wcześniej przemierzyć całe Kaszuby, przecież w końcu powróci do domu z upragnionymi sieciami. Potem, jakby na przekór własnej naturze złośliwego trapiaducha życzy śpiącej dobrej nocy i ulatuje w kierunku Łysej Góry.

Miejsce to identyfikuje autor z powszechnie i od dawna znaną niemal na całych Kaszubach — Łyską — pod Gostomiem na ziemi kościarskiej. Derdowski próbuje przy tym tworzyć na kartach swojego dzieła rodzaj własnej mitologii dostosowując do indywidualnej koncepcji artystycznej popularne ludowe podania i wierzenia na temat miejsca sabatu czarownic. Istnieje bowiem wiele podań o ukrytych we wnętrzu Łyski skarbach, których złe duchy — kpiące z ludzkiej chciwości i żądy posiadania — nie pozwalają sobie wydrzeć. Niezalesiony wierzchołek góry wskazywano ponadto od dawien dawna jako miejsce tradycyjnych, corocznych biesiad z diabłem, na które zlatywały się wszelkie okoliczne czarownice.

Autor „Pana Czorlińskiego” wykorzystał różne elementy tych poszczególnych wierzeń i kazał swojemu Smętkowi zamieszkać właśnie w czeluściach gostomskiej Łesy Gore. Tajemniczy demon wyposażony zostaje w cechy najwyższego z lokalnych diabłów. Według swoistej mitologii Łgarza pasierbicą Smętka miała być Smnierc, jej zaś córką Mora — „co wébjego ledzy dusec każdego wieczora”, a ta z kolei to matka zmarłego przedwcześnie... Szczesca.

Wizja samego Smętka, który niepodzielnie włada kaszubskim pandemonium kojarzy się nieco z obrazem apokaliptycznej bestii nakreślonym przez ewangelistę. W poemacie Derdowski mówi o nim:

„W tym sę — jencie! — cało góra łamie na  
połowę,

A z ni na samuścim czubku cos wetyko głowę.  
Ta dechciuchno beła czarno, jak kamnięno

smoła,  
Z ony ocze dwa ogniste wzerale do koła.  
Nad łesoną widać rodzic, włosow za to mało...  
To doch meslec so możeta — brzedko wegladało!  
Muszę warna mest powiedzec, żebesta wiedzele,  
Że to Smętek beł wierutny w swoim żewem  
cele.”<sup>45)</sup>

Pisarz nie skąpi swojemu Smętkowi cech czysto diabelskich i chociaż w dołączonym do książkowej wersji epopei „Słowniczku prowincjonalizmów kaszubskich” pod hasłem Smętek napisze: „niezawodnie jaki bożek Smutku” — sugerując tym samym jego przedchrześcijańskie pochodzenie, każe mu postępować mniej więcej tak samo, jak w podaniach z innych dzielnic Polski postępują różnoimienne postacie diaboliczne. Motywacja postępowania Smętka jest prosta i typowa. Chodzi o pozyskanie, obojętnie jakim kosztem i jak największej ilości dusz grzeszników lub pogan (innowierców). Toteż każdy, kto jest wrogiem występku lub usiłuje nawracać na wiarę chrześcijańską, staje się równocześnie wrogiem złych mocy i będzie odtąd przez nie prześladowany.

Przyglądając się jednak uważniej treściom demonologicznych przekazów ludowych dostrzeżemy bez trudu, że ów diabeł niewiele ma Wspólnego z okrutnym, bezwzględny i mściwym Szatanem z religii chrześcijańskiej. Wprawdzie upersonifikowanemu biesowi przypisane zostają dla większej odrazy: straszliwa twarz, rogi zwierzęce, ognisty wzrok i płomień buchające z pyska, ale równocześnie nabiera on coraz częściej cech mocno karykaturalnych. W każdym razie, przy odrobinie sprytu przebiegły chłop jest na ogół w stanie przechrzyć o wiele silniejszego od siebie diabła.

Już wśród pierwszych badaczy folkloru istniało przekonanie, że taki ludowy model czarta zawiera w sobie ślady przedchrześcijańskich wyobrażeń wierzeniowych, słowem wywodzi się w znacznej części z kultury pogańskiej. Już bowiem we wczesnej fazie chrystianizacji rangę demonów i sług szatana — zyskały sobie kłopotliwe dla rzeczników nowej religii, wszelkiego rodzaju bóstwa, elfy, gnomy, skrzaty itp. Z czasem miały one zostać wchłonięte przez system chrześcijańskiej demonologii, do tego stopnia, że ponownie rozszyfrowanie pierwotnych funkcji i przymiotów wszystkich tych bóstw radości i smutku, ognia i burzy, płodności i śmierci okazało się już niemożliwe.

Stanowisko to nie mogło być obce również autorowi „Kaszubów pod Widnem”. Świadczyć o tym może choćby fragment dotyczący morskiej peregrynacji Czorlińskiego, kiedy ten słucha opowiadania Muzy o dziejach Jastarni:

„Pierwi na tym miejscu — ale to ju czase stare —  
Jacis stary jedze Jastrze skłodale ofiare;  
A że to w czas wielkanocny lobielle poganie  
Stąd jastrami me zowieme Pańsce  
Zmartwychwstanie”<sup>46)</sup>

Derdowski świadomie czyni ze Smętka odpowiednik diabła kaszubskiego dostosowując jego postępowanie

do popularnych schematów podaniowych. Na obszarze całej Polski powszechnie znane są pod koniec ubiegłego stulecia bajki i podania oparte na motywach demona dźwigającego drogą powietrzną potężne głazy. Poprzez ingerencję złych mocy lud usiłował sobie tłumaczyć genezę wielkich kamieni narzutowych, które pojawiły się na Pomorzu wraz z wycofującym się masywem ładolodu. Poeta nie omieszkał skorzystać z tak obfitego skarbcza lokalnych opowieści na ten temat, tym bardziej, że rodzimy baśniokrąg kamienny charakteryzuje wielość, różnorodność a w niektórych wypadkach również regionalną odrębność wątków i motywów. Nawiązaniem do kaszubskich opowieści o głazach stolemowych, w których na plan pierwszy wysuwa się opis pojedynku olbrzyma z człowiekiem w ciskaniu ogromnymi głazami jest przywołane przez Derdowskiego podanie o stolemce z Oksywia.

Drugi epizod związany z tym samym kręgiem tematycznym dotyczy już bezpośrednio samego Smętka. Demon uniesiony gniewem na Czorlińskiego za to, że ten próbował nawracać Żydów na katolicyzm, zamierza zgładzić szlachcica. Pragnie tego dokonać przy pomocy kamiennego narożnika wyłamanego z... żydowskiej bożnicy w Miastku:

„Trze jaż sąźnie beł wesoci, pięć mioł  
w szerokosce  
Ten koźdemu be człekowi w miazgę pogniół kosca.  
Ale jo, jak chuda duszą go na piece włożeł  
I z nim chyżo po powietrzu lecoł żem, jak  
orzeł.”<sup>47)</sup>

W przeważającej większości podań o dziejach i genezie diabelskich eratyków następuje teraz opis lotu wystannika piekieł ze skałą na plecach, następnie trudu, z jakim zły duch dźwiga ciężar i zagrożenia, które owa nocna eskapada stanowi dla ludzi. W ten sposób opisywano mające nastąpić zniszczenia klasztorów w Pelplinie i Żarnowcu, kościołów w Mechowej, Pinczynie na Kociewiu i w Czersku itp. W większości wypadków demon jednak nie dopełnia najważniejszego warunku, jaki każe mu wypełnić diaboliczną naturą, a mianowicie nie nadąża z ukończeniem swojego dzieła przed trzecim paniem koguta — granicą jego aktywności w świecie mroku. Głaz wypada więc ze szponów upamiętniając na zawsze owe wrogie w stosunku do ludzi zamiary.

Derdowski epizod ten maluje w sposób odmienny od ogólnie w ludowych relacjach przyjętych. Pisarz wprowadza bowiem dodatkowo element walki powietrznej Smętka z „samozwańcym” patronem rybaka-szlachcica — archaniołem Michałem:

„Tej mnie zacząn od Borzeszków święty Michał  
gonie  
I mnie swoją długą dzidą wjedno szturbał w pięcie;  
Wołał za mną: — Pójdiesz sobie, stworzenie  
przekłete!  
Jeżle temu nie dasz miru, co ma łaskę w niebie,  
To ja wiecznie temu żelazem będę karał ciebie! —  
(...)  
Wszęde drogę mnie zastawia, wszęde za mną lecy.  
Tej żem jo, be kask so ulżec, zdruceł kammín  
z plecy.  
Ten niedalek gorowupad, co sę zwią Chełmice  
U)  
Że go trzymoł w ręku Smętek, o tym świadczą  
dure,  
Chterne głębok moje ostre wecęne pazure”.<sup>48)</sup>

Przytoczony fragment jest interesujący również i z tego względu, że zdanie wypowiedziane przez archanioła zapisał autor w literackiej polszczyźnie, a ściślej w mowie tzw. kościelnej, czyli tej, którą Kaszubi posługiwali się podczas modlitwy i nabożeństw religijnych oraz w rozmowach z duchownymi. Smętka traktuje poeta jako twórca usytuowany w sferze „pprofanum”, rodzimy, bliższy wyobraźni chłopca, toteż każe mu przemawiać gwarą kaszubską.

Zdaniem Józefa Łęgowskiego Smętek należy do licznej gromady kaszubskich diabłów. Autor rozprawy pt. „Kaszuby i Kociewie” wydanej zaledwie w

dwanaście lat po ukazaniu się poematu Derdowskiego nie sugeruje tu żadnego priorytetu i uprzywilejowanego miejsca w kaszubskiej demonologii: „mo kożdy djobeł sjeje imię, jeden mo smętk (podkr. aut.), dredzi mo jerek, (...) trzeci leceper, zgrzydlok, zgrzecha, jeden bies.”<sup>49)</sup>

Hieronim Derdowski także nie ogranicza się w swoim eposie do samego tylko Smętka. Poza nim zostają w utworze wymienione takie nazwy, jak: „kęsy czart”, „bjes”, „kaduk”, „złe duche”, „djobeł” i „szatan”. Ale tylko Smętek jest tu postacią „żywą” i przemawiająca. W scenie śmierci Żyda Bartka, który ginie pod lodem łębskiego jeziora — Czorliński, pewny, iż nieochrzczony przyjaciel zostanie po śmierci potępiony lamentuje:

„Bełbem okrzeł nieboroka, tak go Smętek dostoł”.

W końcowej partii „Księgi drugiej” demon jawi się szlachcicowi na czele tysiąca kaduków, którzy grają w ołowiane guzy o czarną duszę zamkniętą w szmulowej czapie:

„Wnet ją węgrol kaseczk z fifem Smętek, krewny  
More  
Wzają ją w żebe razem z munca i fiu! fiu! za gore”.

Pewną osobliwością jest scena z klasztoru oliwskiego, dokąd Czorliński udał się na modlitwę do swojego opiekuna św. Michała archanioła z prośbą: „be mu więcy nie szkodziłe smętcie i kaduce”. Jest to jedyne miejsce w całym utworze, gdzie użyta zostaje nazwa demona w liczbie mnogiej.

Jednocześnie mamy prawo wnioskować, że chociaż sam Derdowski uznaje Smętka za najstarszego z diabłów, to jednak podświadomie daje czytelnikowi poznać pewną marionetkowość w jego postępowaniu. Nie jest ów demon — jak widzieliśmy, nawet w stanie oprzeć się ciosom archanielskiej zdidy. Jakże odległy od wizji niszczycielskiej i złowrogi potęgi, w postaci której — na pewnym etapie rozwoju chrześcijaństwa wyobrażano przeciwnika Chrystusa — Szatana. Sam poeta raz tylko zdradza, że bohaterowie jego komicznej epepej świadomi są przewagi szatana nad Smętkiem. Czini to nieomal mimochodem i między wierszami, w scenie, gdy braciszek Leon wręcza tułaczowi pasek franciszkański zapewniając go:

„Na nim możesz so kożdego diobla za kark wodzec:  
Z tym sąmusiek szatan, rzecze nie może cy  
szkodzec”.

Smętek pojawia się także w innych utworach poety z Wielą. Nigdzie jednak autor nie pozwala mu już pełnić tak istotnej funkcji jak w omawianym poemacie. Jego imię zostaje zaledwie przywołane w kontekście jakiegoś mniej lub bardziej zrozumiałego przekleństwa, niekiedy nawet w dość ciekawym zestawieniu frazeologicznym. Jako przykład posłużyć może tekst z roku 1885 zatytułowany „Jasiek z knieci”. Imię demona znajdujemy tam w takich zwrotach, jak: „Zjodes, jucho, smętka!”, oraz „Nie wiesz co bredzysz, smętek gado bez cę”.<sup>60)</sup>

W poemacie „O Panu Czorlińskim co do Pucka po sece jachoł” zarówno postać Mory, jak i jej demonicznego zwierznika wymodelowane zostały nieco na wzór człowieka. Pomimo rekwizytów nadprzyrodzonej, są to w sumie twory dość bezradne, obarczone brzemieniem przeznaczenia, wreszcie — podobnie jak ludzie — prześladowane przez ślepy los. Kiedy dokładniej przyjrzymy się opisowi spotkania Mory ze Smętkiem we wnętrzu Łysej Góry, bez trudu dostrzeżemy jeszcze jedną, niezwykle istotną, choć często pomijaną cechę smutnego demona Kaszub. Jest nią zdolność do współczucia. Smętek wprowadzie roztkliwia się nad niedolą Mory, ale czy tylko? Jego litość wzbudza przecież wspomnienie śmierci jedyne-go jej dziecka, któremu na imię było Szcesce. Zanim zostało uduszone przez okrutną babkę Smnierec, na świecie panowała radość i wesele. Sasiad żył w zgodzie z sąsiadem, nikt nie myślał o „zołnierce, kanaanach i wojnie. Každy sobie żeł szcesliwie, zdrowo i bezpiecznie”. Słowem było tak dobrze, że bez-

troskie Szczesce „z wesołoscie oczcie so wesmniało!”. Żal Srętki możemy więc traktować jako przejaw jego tęsknoty do tamtych dawno zapomnianych czasów, jako przejaw litości dla tych, którzy cierpią przez własną słabość. Wprawdzie bezwolnie wykonuje swoją diabelską powinność, lecz równocześnie skory jest do zadumy i refleksji, niekiedy ma usposobienie wręcz melancholijne.

Gdy wzruszona macierzyńską miłością i słowami smutnej kołysanki o morderstwach Krzyżaków śpiewanej dziecku przez Czorlińską — Mora zwierza się Smętkowi ze swej rozpacz po utracie córki, ten razem z nią poddaje się nastrojowi chwili, by w końcu wybuchnąć płaczem:

„Ciej tak Mora powiodała, Smętek usze cmuleł,  
A nareszce sam do płaczu bjedok się rozczuleł”.

Niezależnie od wrogiego usposobienia nie jest więc Smętek w sumie postacią zdecydowanie negatywną. Groza jaką budzi swoim postępowaniem bywa bardziej spektakularna niż realna i kojarzy się raczej

---

Fragment książki pt. „Droga na sabat”, która ukaże się w roku 1980 nakładem Wydawnictwa Morskiego.

---

z rolą diabła w teatryku dell'arte, bądź z funkcją jaką w kaszubskich pochodach przebierańców adwentowych zwanych gwizdzami odgrywał rogaty bies, postać króla Heroda czy też śmierci z kosą.

Smętek nie wyrządza ostatecznie krzywdy skazanemu na tułaczkę szlachcicowi. Prawdziwym przeciwnikiem Czorlińskiego jest tajemniczy i okrutny Żyd Szmul, którego czary mają spowodować śmierć bohatera „eposu”. Szmul jednak ginie od własnej broni i rzuca się do przerebli, a wówczas Smętek:

„Skorno z gór szymbarscich uzdrzoł, co sę dzeje,  
Pędy prędko ku Kartuzom jaż sę wiater grzeje.  
I przelecoł do przerebli prawie w samą porę.  
Zabroł czorną duszę i z nią gnoi na Łesę gorę”.<sup>51)</sup>

Smutny demon Hieronima Derdowskiego ma wreszcie jeszcze jedno oblicze. Jego postać reprezentująca piekło, a więc miejsce wiernej męki i kary za popełnione przestępstwa, ze szczególną skwapliwością sprowadza tam potępione dusze zaciekłych wrogów wszystkiego co katolickie i polskie, a tym samym kaszubskie. Widzimy go, jak sprowadza tam zarówno Żydów i Niemców, natomiast nigdy jawnie nie jest on wrogiem ludności rodzimej. Znakomicie ilustruje to następujący fragment:

„Bo tam w iswiecie bodoj będe wielki grzesznik  
zdechac,  
Chtoron krzywdzoł polści naród i Chrystusa wiare  
Więc mam rozkaz, be go halac, abe cerpioł karę  
Ju mu żesme wenalezle stosowną robotę  
Będe w piekle czarownicam wiskół czorne kote”.<sup>52)</sup>

Autor „Jaśka z kniei” jako pierwszy wprowadził do literatury kaszubskiej postać Smętka. Stąd za pośrednictwem tak wielkiej indywidualności artystycznej, jaką był Stefan Żeromski motyw ten zawędrował do literatury narodowej i w konsekwencji doczekał się szeregu nowych mniej lub bardziej udanych kreacji. Niezależnie od tego Smętek wiedzie nadal swój niezwykły żywot w literaturze regionalnej, ewoluując w ciągu ostatniego półwiecza w najrozmaitszych kierunkach. Świadczą o tym dzieła Aleksandra Majkowskiego, Jana Karnowskiego, Bernarda Sychty, Jana Roinpskiego, Jana Piepki i innych.

W poemacie „O Panu Czorlińskim co do Pucka po sece jacho\*” poza wszelkimi cechami natury diabolicznej, autor wyposażył go w smutek i zdolność do wzruszenia, ale uczynił go równocześnie tym, który wymierza sprawiedliwość za krzywdy wyrządzone Polakom i Kaszubom. Wydaje się, że dotychczasowi krytycy zbyt jednostronnie ocenili utwór Derdowskiego jako tekst tryskający wprawdzie świetnym ludowym humorem, lecz w sumie dość płytki w warstwie tematycznej i pozostawiający sobie wiele do życzenia od strony artystycznej.

Jest w tym poemacie wiele jeszcze nieodczytanych aluzji, znakomitych dygresji, wreszcie niemała porcja ostrej, niekiedy wręcz zjadliwej satyry i krytyki. Już choćby na przykładzie Smętka widać, iż nie jest to postać o cechach zdecydowanie i wyłącznie ujemnych, nie można jego traktować zbyt dosłownie. Niestety takie właśnie jednowarstwowe odczytanie funkcji, którą kazano mu pełnić w utworze doprowadziło do skrajności interpretacyjnych. W ich wyniku przewartościowano kaszubskiego demona smutku czyniąc zeń uosobienie sił złych i mściwych, choć na sposób ludowo-diaboliczny nieporadnych.

Przeciwstawiając mu trudne, lub wręcz niemożliwe na obecnym etapie wiedzy do udokumentowania hipotezy o istnieniu w kulturze prakaszubskiej bóstwa o takim samym imieniu, lecz znacznie rozleglejszych kompetencjach — uczyniono Derdowskiemu wręcz zarzut, że na przekór tradycji strywalizował swojego Smętka. Oryginalnej koncepcji artystyczno-literackiej przeciwstawiono zatem mglisty i mało czytelny mit. Nie dostrzeżono chyba w pełni tych cech „zełganego dło druchów kaszubściech” demona, które w ciągu stu lat, jakie minęły od momentu spisania przygód Czorlińskiego zachowały magiczną siłę ekspresji, inspirując wciąż do nowych kreacji.

45. H. Derdowski, O Panu Czorlińskim co do Pucka po sece iachoł — Kościerzyna 1911, s. 43.
46. op. cit., s. 135.
47. op. cit., s. 47.
48. op. cit., s. 47—48.
49. Kaszuby i Kociewie. Język, zwyczaje, przesady, podania, loaadki i pieśni ludowe. Zebrał i opracował Dr Nadmorski (J. łęgowski) Poznań 1892, s. 121.
50. H. Derdowski. Jasiek z kniei. Sporo kupa łgarstw kaszebścich. 1935, s. 17, 10.
51. H. De-rdows'ki, O Panu Czorlińskim... jw., s. 159.
52. op. cit. s. 48.

## Marian Majkowski

W celce zaczęto się robie szaro cze przėszedł grzenia i mnie uspił. Spani bëto krótczi. O piqti reno chtos otémk celt i zaczął wrzeszczec:

– Aufstehen!

Piėrszi wėleził z legrów stōri mieszkańce. Naszi jesz przėciralė oczė, a jak wėskoczėł ze swojigo kaťa scharfirer i zawrzeszczōł: – Verflucht, was ist los? Aufstehen! Aber schnell, schnell! – tedė wszėtcė bėłė od razė wėspōny. Wojna dira ju pōrė lat, tej kōzdy wiedzōł, że jak Miemc wrzeszczi: – verflucht abo schnell – to ni ma szpasów.

Chutko, razė z jinima nėkalėsmė do mėcy.

O pōł szōsty wszėtcė stojelė w karnie za rigę na placu. Potėmu jak nasz starszy złożel swojimu starszimu meldunk, że jesmė fertig, szlėsmė do folwarku na frisztek. Tam, przed kuchnią ustawilė nas w dŕėgą rigę. Cze mė bėłė krótko kocfa z repeta, tej mė dostōlė blaszaną miskę i łōżkė. Mė szlė midze dwoma niszczima płotkama a kuchōrz dōł wielgą warzochwią repeta. Z drėdzi strėnė stojōł Miemc w mundurze, chterny trzėmōł kōrbōcz i wrzeszczōł:

– Schnell! Schnell!

Cze chto sę kask zatrzėmōł i zdrzōł na kuchōrza\ zebė tén mu dolōł jesz repetė, to tén Miemc zarō lōł tim pejczem. Czesmė sedlė przė dŕėdzich stołach z dėłów, tam nama jesz delė po szteku czórnygo chlėba i kask margarinė. Jesc muszelėś mė chutko. Co chwilė mė le czėłė:

– Schnell! Schnell!

To słowo bëto terō wiedno razė z nama.

Zarō po friszteku starszi zaprowadzėł nas pod celt, gdzie mė dostōlė robocy obleczeni. Botė otrzėmalėsmė swoji. Naszi zachė bėtė związany i schowōny. Na kuńc dostōlesmė szpōdė i motėcz i tej szlėmė kopać te rowė.

Od naszigo lagrė bëto pewno ze trzė, szterė kilometrė drodzi do molu gdzie mielėsmė kopać. Szlėsmė ustawiony w ridze jak wojsko. Na lewym remieniu kōzdy trzėmōł, prosto jak flinta swoją szpōdė, a w drėdzi motėka. Naszi starszi – kōzdy z opask na lewym remieniu – szlė z boku i wrzeszczelė:

– Schrift halten, links, rechts, Mnks, rechts!

– Wszėtcė spėwac!

– Singen! Singen!

Knopi z Bėdgoszczė, chterny bėłė dŕėzi, spėwalė:

– Singen wollen wir maschieren...

Mė tėz otmikalė gėbė zebė na nas nie wrzeszczelė.

Bėłėsmė ju mocko szlap, cze doszlėsmė do mo lir, gdzie bëto kopani. Tam uzdrzelėsmė karno lė

dzy, co ju kopalė. Miemce podzelėłė nas na grėpė, po osėm sztėk kōidō. Taczgi grėpie przėdzelėłė po szterė mėtrė rowa do wėkopani. Tej splunęłėsmė w gōrsce i spokojno, po chłopsku, zaczęłėsmė kopać. Jak le chto z nas stanął, zebė wėproscė plecė abo kasiczk sę obezdrzec oni zarō wrzeszczelė:

– Arbeiten! Schnell! Schnell!

Ta robota nie bėła letkō, choc mė bėłė do ciążczy robotė przėnėcony.

Cze nasz wachmani sę umėczėłė łazeniem i wrzeszczeniem, tej oni sedle so w grėpie, w ceni pod jaczims drzewę. Tam pōlėłė cigaretė i popijelė. Wtenczas jedėn abo dwaji z nas stojelė na gōrze rowu i pomalinku grzebiąc szpōdama zdrzelėłė na Miemców. Jini moglė w tim czasė kask odpoczac. Mė to robile baro ostrožno, w wiėldzim strachu. Bėłėsmė tu nowy i nie wiedzėłėsmė co je richtich lōs.

Piėrszy dzeń cignął sę baro dŕėgo. Bolałė nas rėce i nodzi. A ciedė ju przėszał czwōrtō godzėna, cze szlėsmė nazōd do lagrė, tej sciskałė nas żoładczci. Bėto ju kol piąty, cze mė doszlė do kuchni.

Po połniu bėła godzėna na odpoczink, na pisōni lėstów abo zrobienie sobie cos przė obucim. Pōzni, tak kol sōdmy, szarfirer znowu zebrōł wczėtcich w karno i szlėsmė gdzie za lager. Tam nas uczėł spėwac po miemiecku, abo mesztė ze szpōdōmė.

Kol osmė wieczōrk bėła wieczerczō. Po ni mė mielė dlō se czas wolny jaż do dzesąty. Tej mielėsmė leżnosc sę poznac, pogōdac, cze sę pobio tkowac.

Nasz lager bėł obgrodzony satką z drutė, kol chterigo chodzėłė w dzeń i w nocy wachtė.

Zarō, cze zem przėjachōł do Lindenhofu i dowiedzōł sę o naszym adresė, napisōł lėst dōdóm. Za dwa niedzele ju zem miōł odpowiedz. Naszi piselė, że sano je zwiozły, że richtują sę żniwa. I piselė, że słońce wschodzy jakbė cōrōz blėzi nas. Jō ju wiedzōł, co to słunuszko miało za znaczeni.

Mój młody kamrat z Połobic tėż dostōł lėst. W tim lėsce bėłė serdeczny pozdrowienia dlō niego i dlō mie od jego tatków i od ti piėkny Bernadczp, co ze mną chodzą na nōukę. Oni jesz piselė, że baro sę ceszą, że Jōzk mō tam dalek taczigo feinigo drėcha.

Niedzela mė mielė wolną, ale mė ni moglė ni gdzie jic – ani do koscoła, ani do lėdzi na wies. Cze bėła pogoda, tej lezelėsmė przed celtama no trōwie; przėszełėsmė knopczi, pisalėłė i grełė w kartė.

Po pôrë tygodniach doszła jesz nowô robotã. Nas oblazłë wszë.

Z nama mieszkô! taczi mały umiarty knop spod Techlëna, baro żartoczny. Cze memka przësła mu brót chłëba i upiekłq kaczkę, tej on tak dżëgo sedzoł na wieczór przë ti paczce, jaż wszëtko zjô dł. Më nie wiedzelë gdzie on to wszëtko pchô. Jednigo dnia, cze on scignął koszëlë i zaczął gór scq zgarniać wszë, tej më wiedzelë, że on mô wiele gëbów do żëwieni. I tak z tego knopa wszë sę rozlazłë. I më mielë kogo żëwic. Tej wiedno po połni, abo w niedzielë sedzołë na kaminiu i wëcigôłë pomalinku te zwierzãtka z mojih szë torów.

Z nama bëł też knop z Załkowa, co miół ze so bq badonië i czasë wieczórk na ni muzikowôł. Jego skoczni, kaszëbsczi melodie, zarô mnie przëboczëlë nasi piëkny strony, co jëczelë w poj manim.

W jednã niedzielë bëłë u nas gosce. Przëjacha moja mama i tatowie mojih dwóch drëchów. Dlô nich i dlô mie przëwiozlë paczci. Powiôdalë co nowigo doma. A cëcho na ucho rzeklë, że ruszci front ju je w Polsce, że Miemc przëgriwô wojnë. Tej më wiedzelë, że oni nas tu za dżëgo nie będã trzëmac.

Timczasã më dali kopelë rowë, a Miemce corôz barzi wrzeszczelë:

– Schnell! Schnell!

Jednigo dnia ogłosëlë, że ta grëpa co zrobi swój dzël w jedën dzień, pojadze na trzë dni do dóm. Wszëtce mądrczejzi kopele dale spokojno. Ale nalazło sę osëm gëpich, chtëry rakowelë cały dziń jak obarchniały, jaż swój dzël wëkoplë. Oni tej jachale na urlop, ale jih gëpota os ta z nama.

Jednigo dnia szedł z nam do robotë wëzsi ofi cera SS. On bëł bez rëczy, miół jedno szklany oko i poparzony pësk. Zaprowadzël nas do robotë i rzekł, że wszëtce ostanã tak dżëgo, jaż ostatno grëpa wëkopie do kuńca swój dzël rowu. Co tej bëło robie? Wszëtce kopele jak moglë, ale mało bëło tak mocnych, jak tich osëm co jachalë na urlop. Kopelësmë do jednôsty w nocë a przëklënalësmë tich gëpków. Za to, że më tak dżëgo kopalë tën SS-man, jesz bez drogë do lagrë kôzôł nama spiëwac, a co jaczi czas robił nama musztrë.

– Lauschrift! Hinlegen! Aufstehen! Marsch! Marsch!

Ostatkiem sëh ze słabszima pod remiami, do-wleklësmë sę we strôdku nocë do kuchni. Jô ju prawie ni mógł jesc, a mój młody drëch jaż pła kół, cze jem go włókt do celtu.

Dredzigo dnia znowu bëło to samo.

Od tego dnia më muszelë wëkopac swój dzël rowu – zamiast przez trzë – w dwa dni.

Dnie mijatë jedën po drëdzim, to baro cëz-czi, to weselszi. Z polów zebrelë ju zboża, za-orelë je pod nowy séwë, a më jesz cigle cho-dzëlë kopać rowë.

Czwórtigo pazdzernika spadła na nas jak grzëmot nowosc. Drëdzigo dnia pakujemë swoje pindle i jidzemë dalek, na nowy mol.

Czas w drogë. Nasi kuwerczi bëłë włożony na wozë a nas ustawiłë w marszowy karno. Z po

czątku më jesz dosc wesołë spiëwelë, ale jim dżë im më szlë, tim spiëw bëł słabszi.

Kol jednôsty më przësłë do Torunia. Tam Mie mce znowu nas zdzëwilë – wprowadzëlë wszët-czych do odwszalni. Nadzi, le z botamo i skórza-nym pasem w górsce, sedzoł jem razem z jinima do czwórti po połni, czekajã na swoji kôdrë. Po czwórti më znowu sę obulë w te owszóny łachë i szlësmë dali. Z głodë i umëczeni lëdzom za-czëło sę robie słabo, tich nôsłabszych më mu-szelë wsadzëc na wozë.

Mój młody drëch z Pałobic też zrobił sę szlap, tak że i jego wëpchnãłë na wóz.

O dzesãty wieczór doszëlësmë do naszigo nowi go mola we wse Rosenberg. Miemce wënekalë nas na noc do owczarni. Na tën owczy gnój më nascelëlë słomë, chtëro nama dele robotnice z folwarku. Zjedlësmë sëchy prowiant i szlësmë spac. Ale jak żesmë le sę położëlë, tej za chwilkë lezelësmë w wodze.

Tak sę zakuńczël dzień piãty pazdzernika 1944 roku, dzień mojih osemnastich urodzën.

Drëdzigo dnia reno prowadzëlë nas sztëk za folwark, gdzie stajałë wëbudowany drewniany ba raczi. Z daleka one wëzdrzałë jak koszczi dlô pszczół. Bëtë okrãgły, ze spódajãcym na wszët-cië strenë dachë, cały zmëstrowóny z diktë. W westrzodku, pod scanami bëłë zrobiony lëgre do spani. Na strôdku stojól żelazny péter. Dwiërze do buten bëłë też z diktë. Od bene më je zaci-galë grëbã kodrã. Tak wëzdrzało nasi nowy po-mieszkać, gdzie mielësmë sedzëc w zëmie.

Na nowim molu spotëkalësmë naszich star-szych drëchów ze Srojkojc. Oni mieszkalë we fol warku w szopie. Czasë më sę widzëlë przë połni. Niejednich jô doch ni mógł poznać... Jesz przed wojnã jô znól jednigo bławatnigo hańdlórza, chtëri miół taczi zwëk, że wiedno stojól w dwie-rzach swojigo składu i wołól:

– Pójta do mie, jô môm fein nowi sztofë, tano sprzedajë.

On bëł tak grëby, że jak stojól zaparty o jedna strëna framudzi, to brzëchem sigãł o drëgã stronë. Cze w czerwińcu jachól z nama bëł jesz grë by jak przed wojnã. A w lagrze bëł tak cenczi, że jego stóri obleczeni wisałë na nim jak na strôszku. Jego d.rësze, ti wëszczerze co sę z wszëtcoigo śmieją, gódale, że jak on wcignie buksë, tej musi swój brzëch skłódac w fałdë i przëpinać pasë, co bë mu nie lôtól na wszëtcië stronë. Jô, më wszëtce wëzdrzelë corôz gorzy – to nie bëło do smiëchu.

Dnie bëłë corôz zemniejszi i krótszi. Padałë de szcze.

Czasë bëło czëc daleczy szyse. Inym razë se-dzelësmë w wëkopónych rowach, a nad nama lô tałë karna fligrów. To nie bëłë chëba miemiec-czi, bo nasi wachmani wrzeszczelë:

– Alle liegen, still! still!

Jedzeni bëło corôz gorszi. Botë, chtëri më przëwiozlë ze sobã miałë ju dosc, a nowich na-ma nie dôwelë. Moje miałë otëmkły pësczi i wcigałë wodë. Nie pomôgało wiele zwiãziwani powrozkama, wkłókanie papiórow – bote bëłë lëchy.

Jednigo dnia pôrę knopów od nas wzelë do zartowani w baraku magazynowym. Tam më sedzelë w cepie, pucowalë i dobieralë do pôrë używony botë. Tak kol dzesąti prosit jëm wachmana, żebë mie na chwilę wëpuszczët, z bene, bo muszë jic do sztisa. Przed tim on mie zre widowôł, obezdrzôł botë i tej wëpuszczët. W szti se żem wzoł sztek papióra, wygarnął w niego mokry glëne, włożët w czeszëń i przëszedł nazôd do baraku. O trzeci na połnie wëleżlësmë w dobrich botach, choc tak uczapanych glënq, jakbë më w nich kopalë ju miesqc rowë.

Mokry nodzi, lëchi jedzeni, deszcze i zemizna osłabiłë nas wszëtcich. Corôz wici knopów chorzało. Nôgorzi nas szarpa sraczka i grëpa. Wiele kamratów leżało w braku co sę nazëwôł: Krankenstube. Tam też ju drëdzi tidzeń leżôł mój drëch Józka. Biédny knapsko bëło wiedno dosc umiarti, ale jak jen przëszedł i przëniqsł jemu co lepsziq do jedzeni, to żem sę richtig przëstraszët. Józka bëł tak wënedzniały, że jaż zôł bëło na niego zdrzec. Wieldzi oczë wëzerałë z tworzë, chterna bëła żóttô jak woskowô gromnica. Knap sko bëł baro urzasły i gôdôł:

– Stachu reti. Jô ju stądka dodôm nie przinda.

Jak to powiedzoł, tej zaczął płakać. Dłëgo u niego sedzôłem i go poceszôłë, jaż przësza sos tra i mie wëneka. Przë pożegnani jô jemu rzekł:

– Nie martw sę Józku. Za tidzeń më bëdzemë zos razë lezelë na preczach, a za miesqc może ju doma.

Jednigo dnia reno wëbrelë z baraka dwanôsce knopów. Kôzale dobrze wëpucowac botë, wëszczotkowoc obuca i wëglansowac szpôde. Ustawi le nas w ridze, obezdrzelë i wëprowadzële nas z lagru na szasejô. Tam nama rzekle, że jidzema do wsë na pochówk naszigo drëcha, co mieszkôł z nama w jednym baraku. Spitôłë sę szarfirera, cze to umarł tén małi umiarti, chternigo tak rãdo żartë wsze, a on cziwnoł głowq, że jô.

Pochówk bëł lëchi. Na malinczim wsowim cerpisku przë tremie stojôł ksqdz i odmôwiôł pôczrze po łacënie miemiecku, przë nim bëł organista. Nad wëkopónym dołem stojãta spłakônô białka z knôpë i dzewczq. Stary chłop z wielgq szepq stojôł kawałk dali, pod murë koscoła. Më – dwanôsce jego drëchów – po wpuszczeni tremne stojelë kol kulë, wëproszczony jak świece i trzëmalë naszi szpadë.

Szarfirer potëmu ustawił naju karno marszowy.

– Achtung! Marsch! Marsch!

Droga do lagrë bëła smutnô. Më nie spiewalë. Kôzdy szedł zgruzdżony i pewno mësłôł to co jô: co z nama bëdze dali.

Jinygo dnia, a bëło to pod kuńc listopada, jak më grzebailë pancercgraben tej uczësmë szczekani psów i miemiecczi glosë:

– Verflucht! Donerwetter!

Reczii bëłë corôz glosniejszy i blëzsi. Jô sę tak ustawjoł do drodzi cobë mógł widzec, co tam je lós. Szarfirerowie, cze oboczalë, że naszi zdrzq na drogë, tej wrzeszczalë:

– Nicht kucken! Arbeiten! Schnell! Schnell!

Tej më kopalë, żebë nie podpadło, a pod oka zdrzelë.

Drogq szlë umęczony lëdze, spaszty Miemce i wieldzi psë. Westrzódkë drodzi, w slëszci po deszczu glënie, szlë białczy. Wszëtcie miałë na se szari obuca, w cemni pasë z górë na doł. Te jich rëchna bëłë baro zniszczony i sprôny. Na plecach miałë wëmalowôny wieldzi czerwony gwiazdë. Na nogach miałë owiniëti szôtorë. Jedne szlë w drewiônich kłómpach, jine w starich podzartich boceskach, a bëłë i taczi co szlë decht bosso.

Jô podniôsł na chwilë oczë i uzdrzôł gëbë tich białk. Na nich bëł wëmalowôny wieldzi strach. Mocnijsze białczy prowadzëlë pod pôchë słabszi. Z obëch stren szlë wëpaszty SS-mani. Kôzdy z nich trzëmôł dëdżi korbóc i co chwila walił nim po głowach i plecach tich białk. Mielë téz pse, chterny skôkałë na ne białczy i je grëzëlë...

Procesjô bitich i szczwónych białków szła prawie pól godzënë. To bëło straszny.

Przëszedł grëdzeń. W naszym baraku bëło zëmno. Żebë bëło cepli obsëpalësmë scanë zemiq, a dach przëkrëłë dzarnq. W pëtru pôlëto sę cały popołnia do pónny nocë. W noce, cze më spalë para kapała nama na poscel.

Armatny strzałë bëło czëc corôz blëzi. Robota przë rowach bëła ju prawie skuńczônô. Starszich drëchów Miemce ju wëwiozëlë, le jesz më młodzi ostalë, żebë skuńczëc z tq robotq.

Jednigo dnia, a bëło to krótko przed gwiozdkq, zebrałë nas na wëstrzódku placë. Tam nama powiedzelë, że jiiro mômë zdać wszëtcie nôrzedza i robocy obuca. Młodi miele jic dodôm. Më sę tak ceszële, żesmë ni moglë dozdac tego jitra.

Reno, po frisztku, më oddalë rzeczë. Ju kol połnia wszëtcë łazelë w swoich łachach. Kol dwanosti Miemce dele nôma prowiant na drogë i papiórë. Przë żegnani nasz szarfirer rzekł do mie po polsku:

– Do widzenia, Stachu. Myślë, że nie dokucałëm oi bardzo i że nie bëdziesz miał do mn'ie żalu, gdy sië spotkamy w Polsce.

Tej jô wiedzôł czëmu tén knop, gdzie mógł tam nama pomôgôł, a wrzeszczôł tej, cze muszôł.

Szarfirer – terô ju Jerzy Orlicz – zaprowadzël wszëtcich knopów na bon. Tak przed wieczôrkë më wëjachalë. Bez drogë, w nocë prawie nicht nie spôł. Më so powiôdôlë wëce i spiewalë.

W jednym przedzale jachałë z robotów nasze kaszëbsczie dzewczëta. One téz sę czëszëlë i spiewatë:

Czebë mama knópów nie kochała  
Tata bë nie bëł żonati  
Mama bë nie miała chłopa  
Jô bë ni mia tatë...

A na to naszi knopë odspiewalë grëpq:

Czebë tata z mamkq sę nie kochalë  
'i nie spalë do spôłczy  
Nie bëłobë nas na świece  
bëłëbë jaskôłczy...

Po chwilë wszëtcë sę przemieszalë i dali spiewalë razë. Më jachalë tak, jakbë wojna ju bëła wëgrônô.

W kaszëbszczich strenach, na kôzdim banofie chtos sę żegnôł. Ostôwiôł jinim adresa i prosët:

- Przëjadzta do mie po wojnie.
- Przëjadzemë jak Bóg dô.
- Z Bogë.
- Z Bogë.

W Somoninie, kol Kartëz, bëło nas dosc mało, cze më wlezië w ban do Srokojc. Do Kamińce më przëjachalë w dzesëc chłopa – sêdë szło do Pałobic i Załkowa, a më trzej do nas, dodóm.

Mój młocł drëch Jôzk jaż płakôł, cze sę ze mnq żegnôł. Tej jô mu rzekł:

– Nie rëcz chłopie. Më doch mieszkômë od ce le szterë kilometrë. Co to je? Më dali chodzëlë do rowów kopani.

Pierszi gwilôzdë zaczënatë swecec na niebie, cze jô wložł na naszi podwórze. Psë, jak le obaczëlë chto jidze, zaczëlë sę łasec i nie szcëkatë.

Jô zaklepôł na dwiërze i wložł do jłzbë. Przez chwilë wszëtcë domocë stojelë i zdrzelë jakbë oboczëlë dëcha.

– Niech bëdze pochwôłóny – rzekłë.

Mama skocza od stołu i zacza sę ze mnq witać i kuszkac.

– Bogu niech bëdą dzëki. Stach przëjachôł. Terô më bëdzemë znouu razë.

– Nôprzôdk on sę muszi wëkqpac 'i czësto obuc – rzekł ojç. – Tq co môsz na sobie wërzucim na mróz buten. Po swiętach to so wëpiierze i wëgotuje.

Po mojim wëkqpanim i obucim czëstigo ruchna më sedlë wszëtcë do wieczërzë wigilijny. Më dëgë spiëwelë przë choince kaszëbszczë kolëdë, a jô – choc od wczora nie miôłë spôny – szedłë z jinima na pasterkë. Tam jô mocko dzëkowôł Bogu żem szcëslëwie wrôcël dodóm z ti wojenny poniewierci.

# Przëscygni czasu

Eugeniusz Gołqbek

Motto: *Rosq astrë pod nieba n'ëbq  
Na grob'ë ostatnëch Kaszëbów.*

(A. Nôgel „Astrë)

## SZPACËRKË PO CERPISKU

„Czë są jesz dzys dnia taczï môle, dze człowiek zaszczywny przez negodzëwëch sąsadów i uciemżony przez partëzną cywilizacjë, bë mógł skrëc swojq, zbolalq głowë? Czë je jesz dze, taczï cëchi i panieńsko czësti môł, dze cebie nie nalëze urząd podatkwowi, dze twoji oko nie mdze muszało czidac o nôpisë „wstëp zabroniony” a ucho twoji nie mdze muszało sę dłôwic od miodny muzyczci a twój musk bë so môg choc na pórë minut odpoczac od ti masë nowinów i trzôsku jaczima cebie fudrëje radio, telewizjô i gazetë...”

Gazëtë téj sëj rojq së od artikłów, co sę zaczinajq prawie tak, (abo cos kole tego) jakno ten hewo zmëszlony tekst napisóny powëzi. I cos w tim muszi bëc. Bo źle sę czësto i wiele o cziim pisze (abo nawetk leno gódó po cëchu) téj jaczis zôrko iprowdë w tim sedzy.

Ale wierë nie chodzy człowiekowi o to, żebë zamknqć telewizjë, radio, gazetë i urzëdë. Nie jidze o to prawie, żebë musk nasz mógł so odpoczëwac, rojic o gwilôzdach czë cëdach niewidach i obrôstac tłuszczë. Bo hëjne ti sami lëdze co tak chlëchajq nad uciemżeniem cywilizacjã, majq doma u se wiëdzï kolorowi telewizor i stereofoniczny radjio. Ti sami męczelnicë agencjów informacyjnëch lubjq, czijëj porënë w kiosku czekó na nich „jesz cepłô”, swiëżô gazëtka. I ti sami lëdze urzëdëjq potëmu za biurkama i piszq swoji teszno-najiwczï orëdze o chrónieniu lëdzczigo ôrtu 'przed cywilizacjã.

Bo téz wierë mało komu bë chodzëło o znikwieni cywilizacjï. Usódzóm, co lejq łzë nad człowiekë uciemżonym dzysëszq technikq i organizacjã jidze o to, żebë temu człowiekowi ulzëc. Chcq oni, żebë žëcy pod skrzydłama cywilizacjï bëło barzi lëdzczï.

Terôzka jô sóm, dôlebobg stôwïajë zapitani: czë są taczï môle...?

Chtos odpowi: në ko po wsach jesz jesz, ale w miejsce? Taczim môlë, dze mieszczón bë mógł ucec przed trzôsë, dëmë i przed nieproszonq czasë opiekq instytucjów państwowëch mô bëc park mieszczi. Ale dlô kogoś w parku moze bëc rójno. Téj taczï człowiek jidze so szëkac mirniëszëch nôrcëków i rëchli czë pôzdni on trafi do łasa co czasë rosce sprzëti miasta. Ale dzys dnia mało ju ostało lasów kol miasta, co bë mogłë manie piesniodzëjôrzów swojq krëjamnq i surowq snôzotq. Bo kol miasta gëstwa lasu je wic mocko 'wëlësałô a na zemi zamiast mechu abo lëstów, oko muszi së kalëczëc o wszelejaczigo ôrtu smiece. Do te wszëtczigo po taczim lese téz së krqcy wic nie-mało jinëch lëdzy a jesz na wiërzëk są w nim mëdżi. Temu téz las sprzëti miasta wiadno nie dôwô ubëtku uciemżonymu widowi i slëchowi. Chtos komu do łasa je za dalek, a w parku za gësto od lëdzy, moze so czasë nalezc taczï môł. Jednym z taczïch môłów, dze ubëtë i odpoczink cała je zarëczywny ustawa, moze bëc... smëtôrz, to je jinaczï rzekli cëpisko. Chtos moze rzec, że na smëtôrzcu téz je rójno i za głośno, bo jego cëszë przëriwajq téj sëj zwonë i spiëwë lëdzy co towarzq swojemu blëznymu w jego ostatny drodze. Abo zôs jinygo dnia je czëc glëchi zwëk szpôdë kopôcza. Në jo, ale wszetko to są glosë tak przërodzony, zwëczajny dlô cëpiska jakno zwonieni kosë ostrzony we žniwa abo seczierë w lese. Smëtôrz sluzi lëdzóm, ne i temu muszi téj sëj przëjac nowigo nôlëznika do spolëznë nieboszcëków.

Równak na ogle na cëpisku na biôłim dniu niewiele së moze zdarzëc. Drzewa po swojemu szëmarzq, czasë dô së czëc dôleczï mrëc^eni auta abo łajani psa. Człowiek so chodzy Stëgnq pomidze wszelejaczim ôrtq pomników. Stëgnë prosto rozplanowóny wprowôdzajq nas w poczëcy rozemnygo porzãdku. W procëm ku do taczigo wezmë na to łasa, smëtôrz mó nijakqsz przëwôgë. Je krótko miasta abo wsë czasë nawetk

westrzód. Człowiek (a tim barzi człowiek zamészlony) w lese bë mógł zabłdzec a ko na smětórzcu zabłdzec wierę nie jidze.

Lédzy po cerpisku chodzy mało. Nõrèchli chtos z nas moze potkac jāką starszã białkã co przeszła tu ustrojic grób kogoś ze swojèch domòcèch abo możémè potkac nègo kòpòcza ze swojã „nieśmiertelnã” szpòdã. Człowiek, co chodzy po cerpisku lubi bëc sòm ze swojima mèslama. Cziěj se potkò na smětórzcu cèzygo człowieka tój wiedno jakòs nie wèpòdò do niego zagòdac o tim abo nym. Bo ko na smětórz nicht nie przèchòdò na brawèdkę tak jakno do parku mieszcigo. Żle ju chtos tu przinðde, tój to ju musiz bëc jakò gwèsnò sprawa. Człowiek tacji podinðde do grobu, poprawi wiuc, przestawi zbòn z kwiata, zapòli świecè, pomodli sè. Smětórz tój je dogòdny mólè do rozmiszlaniò i modlètewè. Na dodòwk smětórz okróm łaczbe z cywilizacjã zemská dòwò tész leznosc podezdrzeniò jinygo świata. Ale w tim cèlu człowiek bë miòł ostać tu krèjamko ob noc i źdac midze godžènama jednòstã a dwunòstã.

Znaję wiele bëlnèch lédzy, co baro ród jidã na cerpisko za žècò. Hewo jedna moja cotka z Kartuz, po smiercè swojigo chłopa, chodzèła wnetk kòždy dzieñ na jeho grób. Ona szła, nibè podlòc kwiatè, a tak naprówdę chcała so pèrznę ze swojim chłopè pokòrbac w duchu.

Jò tész czasè jidè so ród zazdrzec na cerpisko. Mili mie sè jidze po smětórzcu w dzieñ, jak wèštrždò nocè. Nówicy razy bëł jem na smětórzcu w swoji parafiji. Czěj jò bëł pòrè lat tèmeu w Czechach, tész jem na smětórzcu zazèròł. Tak tész cziějle dzys jem w jaczim miesce abo koscelny wsè i przèchòdaję kole smětórzcu, lubię zazdrzec co je bène za wèsoczim żelòznym płotè. Cziěj je to miasto dalek od Kaszèbszci, kèdès w Polsce, tész cziějaję nòpisè na tòblècach pòmników. I nicròz cziěj trafaję na jaczi kaszèbszci nòzwèsko, tész moze przez sztèruszk zdrgnie mie mèsl o tim, że nie jem tu sòm, co przèjachòł z daleka. I moze so czasè pomészlè o tim, jakno wejle mè dzys jesmè szerok po świece rozdrzucony. I zjimò mie czekawota. Jaczi on bëł, nen człowiek, co tu je pochowòny? I mészlè so o tim, że nèn co tu leži pod dzarna, mógł nijak nie pamiętać o tim, że je Kaszèbã. Ale cziěj tacji człowiek co ju nie pamiętò, jesz moze bëc zwòny Kaszèbã? Abo moze on bëł z tego òrtu Kaszèbów co sè cali žëcy wstidzã tego, skądka bëłè jego starszi? I wiedno klèknę, abo stojãcè odmówię za jeho dèszè „wieczny odpocznik”.

Dò na świece taczich lédzy, co cali žëcy bødã omijalè na pòrè kilometrów wszelejacji stòri zòmzci, koscòlè i cerpiska. A dò tész taczich, co ju za ècòc zamiast pokutowac „jak człowiek” po karczmach, kawiarniach è jinèch psarniach, wolã so mili pochòdzec szpacèrkè po cerpisku.

## DZENŹ ZADÈSZNY

Nèn dzieñ budzy w kòzdym człowieku rozmajiti mèsie, wdòrè i cèchi pomianè. Dlò człowieka cziějto malincigo, swièto to parłeczì sè z obròzè zapòlònèch swiècòw, woniã astrów i jiglènè i jesz moze z komudna, mrocznã pogodã. Niejedno dzecko bødze jesz moze pamiętało, że pomagãło mèmuszce ustrojic grób nègo żołnierza co leži hójne tam pod tã urzma kole łasa. A niéjednyu z dzechy jiglèna, swièce i dodòm ful goscý moze przèbòczewac gwiondzkè.

Na smětórzcu cos sè dzeje. Czèc je głos zwonów. Chtos tam sam nie zdãził zapalèc swiècòw, terò chutuszko odpòliwò je od sãsadów. Giowè lédzy czièrèjã sè w stronè koscòła. Tam hójne sã ju widzec, nisko nad głowama lèdztwa, czórny blònè. Smiertelny stanica dwigajã sè staceczno, temlèjãcè sã na stronè. Jidze procèsèjò. Przed stanicama, tész w gòrzcè bimlocã latarnie niosli na dłudzièch czijach. Ksãdz na przòdku w czòrnèch ruchnach prowadzy procesèjè na smětórzcu. Mó kropidło w rèce i chilò z niego na lédzy, co po prawì i po lewi stronìe zjimajã mucè i žegnajã sè. Organista co jidze jeden krok slòdè, operowim glosè prowadzy spiew, a lèdztwo w procesèji za jeho przèklòdè jeczì i zacygò.

Dlò naszigo heroja w tim obròzcu je wierę cos pocygajãcè pròwdžewigo a sztèrkama zdrgajãcè straszny

go. Ale ko on je leno na sztèruszk zauroczony, omianiony tim obròzkek. On je nòžen obžerac w telewizèji wnetk co dzieñ wiele czekawszi i strojnieszzi widzawiszczã. A ko ti lèdzcè w procesèji wèzdrzelè sztèrkama pèzincinkè požeszno.

Procesèjò zaszła ju dalek, jaz pod kuic cerpiska. Tam, dzez pod płotè ležã pochowòny wiselcowie, ti od kocy wiarè i nieochrzcony dziecè. Knòp jidze pomãtu nazòt, uwòzò žebè sè z kogum nie potkã w tim tloku. Przèstònìe i wzcrò z jinygo mòla na smětórzcu, co pèzno skrzy sè od widu. Przè mèrgajãcym widzè swriècòw, teszny oczè dzèwczèt sklènliã i naemiłoserno mania. Jejich wid chlaszcze, sejò, przècygò, nie dówu mu poku. Jejich czórny pod dłudzima rzèsama zdrole kola, szczipia, sygajã jaz na dno dèszè. Od nègo zdroku, jemu parzã lica jak od źlòlãcèch wèglów.

Lèdzcè pomalinèszku sè ju rozchòdajã, rozjezdžajã do swojich chèczè. Robi sè pusto i smètno na cerpisku. A. swièce, žle nie mdze deszczu, bødã sè jesz pólèžè dlògu, moze do porènku.

Jo, w nèn dzieñ niéjedn z nas bëł baro dalek od sprów smiertelnèch i niesmiertelnèch, od sprów wiekujistèch. Ale moze niéjedn z nas pèrzninèszkè sè w tim dniu nauczil?

Przèchòdajã lata, pèrznę starszi człowiek dozdrzelèwò. Ju niéjedn z jeho domòcèch odjachòł swojã ostatnã rèce. Przèchòdò Dzieñ Zadèszny. Człowiek jidze zazdrzec na grobè swojèch nòdrogszèch, nòblèszsèch. Je jesz dosc widno ale chutuszko nadchòdò smrok. Na niéjednèch grobach pòłã sè ju swièczì. Dròzka co jidze westrzód smětórzcu, stãd sè w ten dczñ szpacèralèjã dlò lédzy poseszłèch tu z cali parafiji i jimèch goscý. Odbiwò sè parada żèmowèch mañtlów. Jedny mañtle woniajã swièziim kupczim sztofè, od jinèch chopie naftalèna. O, przèjachãło dzys wiele taczèch lédzy o jaczièch jeisanè ju mlièlè wnetk zabèti. Sã przèjachòny ze swojima nowima, dlò nas cèzýma, białkama abo chłopama. Człowiek obžerò sè wkòł, po lèdzach. Lèdzcè stojã ze swojima rodzèznama w kòł grobów, mólczãcè, abo po cèchu midze sobã gòdajã. Dzys je ju cziěj wicy mowè miastowi.

Na stegijã na westrzòdku cerpiska jedze na swojim wozyku kaleka. Nieboròk grèdo krãcy, jak moze omijò plètè, kòła tonã w rozbrzèdžim kale, ale on cèrplèwie, jakno nòpartì jaczi zòłw, pchò siè dali pòmizde chòdžãcyma. Człowiek so mèslì: Tacji nieboròk sè męczy, a wejle zawczora w roboce umar jeden Jaczi, chłop jak bik, jesz mòg žèc. A jesz sè wiedno chwòlił swojim zdorrwim... Tacji to ju je; opaczny namienieni...

Człowiek stoi przè grobie swojèch starków. Mèmkã z cotkã majã grób obstrojony. On sè zegnìe, poprawi swiècè, bo mu sè zdòwãlo, że ona zaczinò skwarzec kwiat. Stanie, zjimnie kapelusze i tak postoji sztòcèk. Spitò sè w duchu: cziěj jò jesz rozmièjè sè modlèc? A tój pomrèzci cècho: robota, pieniãdzcè, srczesycy... Tój on jidze zazdrzec do koscòła. Wèšlèchò kòzaniò, jidze na smětórzcu razè z procesèjã. Zwonè bijã dwigajã sè czórny płòchtè staniców. Człowiòk nòpzdòd chòlèbè ród wèdostac sè z ti lèdzci rzèzci na brzèg, na stronè, jakno topiele co po spitimu skrècèł z mostu. Ale ju za głèbok wygnał go szor, tój bez mocè, cziějto od se, pozwòlò sè ndesc i plènie jak na pòl leno namikli camer. Rozlègò sè pieaniò. Kòzdi Boga chwòli. A on jidze tész westrzód lèdztwa i tész spiewò. Zdrgò inìim ogròszka. Moze je szczestlèwi? Nie wiè, ale cziěj sè wespòlèbètnikè jaczis sprawè, dzèlè tich lédzy smiertelnèch. Nie je ju leno przèzeròczè, co ze stronè czekawie podžerò i taksèje, je terò dzele ti spolèznè.

A słowa piesniè brzèmia straszno. Nikogo one nie smukajã, le drapia, szturajã, niemiłoserno bodzã, biczèjã. Ta piesmiò przèbòczwiò, że na kòzdigo przinðde czas Sãdu Ostãtecznygo.

## SMIERTELNICA

Na smětórzcu we Chwaszczènie stojã do niedòwna smiertelnica, zwonò barzi z polska „kostnica”. W smiertelnicy, co bëła za „mojich” czasów drewniana na pòl rozwalana bødã nie bëło nick bëlno. Bèł to magazyn rozmajitigo òrtu tóklów. Stojãłè tam — wie-



le moge pamiętać — jaczis połómóny stóri marë, póre strępiatých krżíwów grobowých, kawałeczí rozebróných pomníków, póre zgnítých wińców, z ostatnyma žecznama wëpisóny ma szlejfach. Stojalë tam tež figurë aniólów z obczidlíma skrzydłama, bëło též bokadosë pekłëchj krutopów z wëstówajacyma z miech chładama zmarzłëch i zeschlëch astrów abo mertów. A midze tím wšëtczim po nórtach rosłë urodzyni abo na pół zgniti potrusë z órtu zwónygo po kocewiacku „papiórniaki”.

Bo na buda téj słužëła czasë též za nën krëjamy mól, dze tczëwórtny parafijónowie, w niebezpieku nëkalë na „skargë”. Możë në smiertelnicë bądë dali zwól lepi prosto buda, bo chto wië czë ona miała abo róż leznosc wëkonac swojë czestną funkcjë dló jaczi ostała wëbudowónó. Jak dalek mogë pamiętać, zark z całë nieboszczëka bëł wiedzno wniosi nóprzód do koscóła a též z nim szło së ju prost na jego mól. A buda możë od początku słužëła kopóczowi za szaruznië. Przë kuńcu, abo możë lepi chcëmë rzec przed początkë kuńca, swojogo lëchigo žëcö nie bëło w ni dwiërzi, nicht ji nie dozérólf a kopócz wierë swojã szpódë ju též trzi-mólf wiedzno doma.

Cziëj buda bëła ju na ostatnëch nogach, cziëj dak mólama ju sygól zemi i czas ji bëł ju porechowany, przëjachólf jednygo dnia na plebanijë ekstra postańczik z Pelplëna. Miól on robie remanent koscelnygo majątku. Przezëräjacë akta plebaniji nalóz on w nëch aktach, že dzes na górze pod ustrzechë plebaniji bë muszala bëc schowónó figurka Matczy Bosczi z Dze-catkë Jezës. Téj nasz kšadz, co je w naši parafiji od dwadzescë przeszó lat, so przëböczil, že przë remonce plebaniji, kóžól wëniesc niéjedny tókle do ti budë na smëtórzë.

Tak hewno w ny śmiertelnicy, nalazła së figurka Matczy Bosczi Chwaszczińszci z piëtnóstigo wieku. Le-żala ona szmërgnionó midzë grëpama nëch smiecë a dzys, po konserwacjë, stoi w skórbcu na wëstrzédny wóltórzë chwaszczińszcigo koscóła. Dzys w nym skórbcu we wóltórzë wisy ju wiele darów za zesłóny łaszci. Mómë téj na Kaszëbach trzë móle, skądka Matka Boskó sejó swojima łaskama: Swórzewo, Swiónowo i Chwaszczëno.

## O PIRAMIDACH

Jdãcë przez smëtórz widzymë wszelejajci órtë pom-ników: prosti — strzëdjñëch lëdzy, bogati, u-bodzi. Zle chtos lubi dzelëc i wšetko w porzãdku u-klódac, wedle órtów, w szufłódkach, możë dzelëc jinaczi. Wezmë ina to: mal szëkówny i pokraczny, abo na zadbóny i zabëti. Kóždi z órtów pamnika je wórt opi-sanió w osobny kšedze. Jô leno nadczidnë letko o tím abo nym. Chcëmë so nóprzód przëzdrzec pomníkóm po-kracznym.

Pomniczci pokraczny mogã nólëžëc tak do lëdzy bo-gatëch, jakno též do biëdnëch. Ale wierë barzi po-kraczny sã wiedzno pomniczci na grobach lëdzy bogatëch. Lëdze bogati majú wic wicy piëniãdzy, téj źle rzemiešnikowi wiúdzë spod rëczy pokraka, bądzë to pokraka do potëdzi. I o to prawie jidzë, žëbë wëszła pokraka, to je takó rzec, co w sposób parłëžny i pro-stacczi bądzë ukóžowała majątk fundatora.

Na tím mólu możë bëc komus kšak dzëwno. Bo chtos mësłólf możë, že cziëj jô piszë „pomnik człowie-ka bogatigo” móm na mësłë samigo nieboszczëka? Mól, na smëtórzë mało cziëj je wëkupiony przez sa-migo nieboszczëka, bo mało chto z nas je tak dbali žëbë za žëco wëkupic sopasowny mółëk, dosc wëgódný i sôchi i krodzy dróžci. Dzys dnia człowiek umióróf we wiele razach chutko, nógle, czasë chutczí jesz niglë zdãží podiktowac testament. Ju nijak nie nadczidajë o woj-nie, ale róż wëczëtólf jem w gazëce, že w autach od slëdny wojñë zdžinižó na swiece wicy jak w wojnie na frontach... Ale widzë, že jem së w swojé dowodžë-žnie zapuscël za dalek. Muszë së copnãc jaž do słów „pomnik człowieka bogatigo”. Chto budjë pomnik na grobie człowieka bogatigo? Fundatorë pomnika je we wikszim dzëlu jego rodzëzna. Žle irodzëzna je bogatô též wëstówiô bogati pomnik. Biwało wiele razy, že bëłny człowiek przed swojã smiercã rozporządžëł, že na jeho grobie majú domócy postawie leno prosti kam. A z drëdzi stronë widzymë niebëlników abo ta-

czëich, co nick specjalnygo w žëcym nie dokonalë, jak z uszópówónëch piëniãdzy budjã dló se masywny grobowe.

Grobówcë sã budowóny na miarë człowieka ale též na miarë jego majątku i fantazjë. Hewo faraonowie budowalë dló se gromisti piramidë. Budowalë rëkama robotników. Ale przódë robotników bëło wiele i bëłë tańsi jak dzys dnia. Za czasów faraonów na robotni-ka sygól dłudzi „óws” a dzysó nie pomógó wëwójni przed nosë mésterka setkama, le dopierzë cęžeci tësã-ce mogã jaczigó rzcëmëšnika zrëšcëc. Ko dzys pirami-dë nicht so nie budjë, ale strzëdny człowiek, źle bądzë žil obszczãdnó, możë dosc letko odłóžëc na gro-bówcë. Równak wikszimu dzëlowi lëdzy sprawie muszi kšak biëdnëszci od grobowca nógróbk, to je pomnik. Zle chtos drogo płacy, téj ju wëmógó, žëbë ne piëniã-dzë bëłë widzec. A jak wiëmë, kóždi ze swojogo doz-nianiô, majątk mało cziëj jidzë w porzë z poczëcym snózotë. Temu pomniczci pokraczny sã wórt jejich fun-datorów.

Cziëj jem so szpacërowólf po cerpisku postawil jem so zapítani; ale. u dióchla jaczigó!... (o pardon!,' ko jem na smëtórzë) po co lëdze budjã nógróbczi. Në bo piramidë powstałë wierë z dbë, že lëdzczi całó puzdë, po smiercë odžëje i po to, žëbë no całó nie bëło głodny. Egipcjónowie stówialë swojím faraónóm jedzeni i jiny rzeczë jacziëch po odecknieniu mumia bë mogla brëkowac. A ko naszimu nieboszczëkowi, tam spódkë je wierã równó czë leži leno pod dzarnã, czë jesz na wiérzëk przëkrëti grañtë, abo marmurë. Chóç chto wië? Przëdë na Kaszëbach. lëdžóm mogło chodžëc prawie o to, žëbë nieboszczëk ni móg së wëkraczëc z ku-lë jakno wieszczí, ópi. Ale dzys? Mało chto dzys ju wierzi w powiøstëzi o ópich. Mësžë, že dzys jidzë o cos jinygo. Nadczid jem o tím, že pomnik budjë we wikszim dzëlu rodzëzna umarligo. A rodzëzna cziëj së jidzë po pogrzebie, niróz ugódó së hewo tak: Chcëm<sup>as</sup> mu lepi ten pomnik postawie, žëbë oni nie gódalíf 0 nas lëcho. Z te jednygo zdaniô możëmë wëcygnãc taką nóukë: pomnik mó dwa cële do zjišcenië — sławie bëlnotë umarligo, sławie bëlnotë fundatora. Z tego wšëtcžigo jô së docygajë, že przëmenióm w dzëlu fundator budjë pomnik dló siebie samigó. Ale możë do-cygajë së za głëbok?

Jesz jeden órt pomnika — zdówó mnie sã — jé wórt opisanió. Jidzë mnie o pomnik zabëti. Słowo „pomnik” oznóczac bë miało rzec zbudowónã komus na pamiãtkë. Ale ko zabëcy je czëstã procëmnotã pa-miëcë. Na taczim zabëim nógróbkú w Dniu Zadëšnym, czasë jakoš miłosernó rëka rozłóži póre wietew-ków jiglënë abo zapóli swiëcë. Ale rëchli abo pózdni, chtos postrzëzë, že o nen pomnik nicht ni mó starë, nicht go nie dozéró. Téj omëlëcã prziniúda mčstrowie, pomnik rozebierzã, lepsi sžëczí weznã do se a lëchsi žle szmërgnã dze w jakã szaruznië, midzë jiny zabëti i nieprzëdatny tókle. Taczi to ju je namienieni stóřeh pamiãtk. Cziëj domócy oprzestowajã dbãc o swojé pa-miãtkë przëchôdó cëžynë. A dló niego ona nick nie znažci, té on jë skazy i splëgawi.

## CZŁOWIEK JAKNO LĘSTK Z DRZEWA

W niedzielę abo jiny swiëto, przë dobrí pogodzë, na cerpisku së roji od lëdzy. Chtos jidzë zazdrzec, dze leži jego niedówno umarłi znajomi. Chtos jiny jidzë odmówic zdrowaszkę abo wieczny odpocziwani. A chtos jesz jiny jidzë „tak so”, jakno hewo jô, bez przëczëžë.

Jô sóm, wolë so przinëc na cerpisko w dzëni wszëdny, robocy, to je w co dzëni. Nólepi w jesëni. Ni ma tej wiele lëdzy, bo sedã na polach i wëbircrajã bulwë abo sã przë jiny roboce. Ocze moji błãžã po sztaturach krżízów, aniólów i jinëch wëczëžajñëch na smëtórzë sztóttów. Ale nie błãžã za dugo. Móm ju taczi brzë-dzci nółóg, že wszëdžë i wëyg muszë cos czëtac. Nawetkë wieczór, cziëj ždajë na Autobus, obžërajã së za jakã lepã i wëtrzëšczajã slëpia. Nie brzëdžë së tež nijak podniëc zë zemi zmokli, otrzëpóny gazëtë, žë mój wid trafi prawie na jaczi czekawi nódpis.

Alle na smëtórzë ni muszë wëjmãc gazëtë z tasžë. Wokól je tëli do czëtaniô. Zabówiãc së mogë rozmajice. Wëzera zwóžól jem leno na miona. Postrzëgl jem téj, že

przódë, przed wojną, midze niewiastama bëłë w módze Matildë. Klairë, Anë abo z knôpiczëch mionów wezmë na to: Klémens, Jan, Józef. A dzys, mëslôł jem so, jaczi dzys miona nadôwają mëmci swoim dziecióm? W nym, warna usadła na płoce i zaczę mie podkôrbiac. Czùł jem wnet wirazno jak mie podpowiôdafa: Marrek, Darrek, Czarrek, Jarrek... Szmërgnął jem kam w nipoçą gałę i wëcygnął z taszë gazetë.

Dzys chodzę po smëtôrzu i czëtaję nôzwëska. Przódë na tóblëcach pomników pisało së: Posantske, abo Pokriffke a dzys: Posański, Pokrywko. Rozmiszlaję, co mogło znaczcë nôzwëska Posantske? Ko jô w nim widzę jaczigos kaszëbsczigo „zëcka” abo kogoś po „zëcku” a nié miasto Posań. Rozmiszlaję zôs nad Pokriffkã. Wierë nie wzëło së ano od dekla ale oznôczac muszãło nôprzód jaczigos człowieka pokrëzwionogo, krzëwigo. Në ale niech tima co krzëwiã, abo koszlãwiã kaszëbsczë nôzwëska swięcy... miska grochu.

Jidë dali drózkã westrzód grobów. Nie zdrzë ju na tóblëce. Na westrzódku drózczi pieta. Sadnë so na procëm plëtë, na łowce, zapólë cygaretkë. Po piëce plënie so, jakno malinczi czôłen, uschlë lëst lëpowi. Wiater nim së zabôwiô. Nëkô go tam i nazôd... Wnym, mocniësi wietrzëszczë poderwało go w górë i przesadzëło na sëchi mól a tój zanëkało do jinëch lëstków bracy. Tój zôs wiater-krëczëszk poczał nima wszëtczima wëwijac w obarchniałim tuńcu a tój... rozdmuchnął po całim cëpisku.

Lëstë symbôle. Wiele jã razy na swiece chtos opisowô! Jistny jakno ten tu hëjne, obrózczi z lëstama? Wiele razy chtos przërównôł lëstë do lëdzy? Bo ko

tëz one sã përzne jak lëdze. Može lëste prawie maja człowiekowi przëbôczëwac, że on tëz rôz uwiëdnë, spadnie na ziemiã a tój zgnije? Ko człowiek oderwie së za czasë od drzewa z jaczigò wërôs. Odińdze od swoji spolëznë, oderwie së od ni. Czasë stónie së to ju za zëcô. A drzewo jakno symbol tã spodëznë stoi dali.

Zdrzë je drzewa. Lëstë z niego opôdają a ono stoi nôparto przëczëpli do rodnogo gruntu. Stoji szargóny wiatrë, biczewóny deszczë i popëcóny od grzëmôtów i mrozu.

Në i cëz to je za drzewo? Jaz mie je dzywno, że ono së jesz nie zwrócëło. Ko z wiëldzi i urodny lëpë, jakã wierë przódë bëło, dzys ju ostôł leno piën i jeden grëbszi poróg. A na tim zëwim perogu, tëz sã ju widzcë szeroczë pëklëñë. Niejedna wietew je ju tëz na nim uschlô a jiny sã obłómóny, tam sam stopërczã na nim sëchi pëkle. U dołu poróg je obrosłi guczowatã muçã grzëba. We wëtrëpiałëch dzurach wërôsłë buszny ze swoji cëzy urodë krze dzëwigo brzadu. Wësok w koronie uwiłë so swoji gniôzda gapë, a w ti dzurze, hëjne tam nizi, przë sarnim pniu wierë sedzã szëtapiërze abo može sowë.

Obzërajë së wkôł i widzë, że z jinyma lëpama tëz je wszëlejak. Hëjne tam na górce pod plotë ju lezi jedno drzewo spuszczone i pocëti na kloce. Bãdze jesz z niego pozëtk. Može przëińdze jaczi artysta i wëbierze so lepszi kloczë i wëkumô w nich figurczë i bãdze potemu przedowôł je na jôrmarku. Može ten chto kupi so figurkë, postawi jë doma kole ksãżk. A nôpëszniëszô figurka wierë trafi do Muzeum Ludowigo Kunsztu.

# Dziennik

Andrzej Grzyb

piątek

Jesienne dni i jesienne myśli bywają trochę senne czy nawet nudne. To niż niesie ból i senność słów. Może i niż, mmie jednak nic bardziej nie rozkleja jak deszcz i grypa-, którą mam z bardzo znacznym wyprzedzeniem, jak mawia moja żona, kiedy kichnie jeden Chińczyk i drugi – nie, tego ja wyprzedzę. Grypa, książki, przepoczone myśli i pidzamy.

późny wieczór

ómy, purtki i przydrożne jałowce-strzygi ożyły. Księżyc wyjątkowo błady zawisł na sęku gwiazdy. Noona pogoda.

Grypa

Wiele razy pytałem sam siebie, w czym leży sekret sukcesu. Odpowiedź na to pytanie jest trudna. W każdym razie sukces nigdy nie jest kwestią przypadku. Podstawą sukcesu, jego ojcem i matką jest niewątpliwie praca. Praca sumiennie, precyzyjnie, celowo wykonywana do wewnątrz i no zewnątrz. O pełni sukcesu decyduje w pewnej mierze przypadek. W każdym razie przypadek może sukces dopełnić, dodatkowo wyeksponować.

Bez owego przypadku, czy raczej szczęśliwego zbiegu okoliczności, bywa, że sukces przychodzi za późno. Nie ma już twórcy, leaz jest jego dzieło, jego sukces, uznanie wartości.

Dlaczego o tym myślę? Zawsze, przecież trzeba pamiętać o Syzyfie. Ten jedyny w swym skomplikowaniu przypadek koże myśleć o pracy i sukcesie bardzo ostrożnie. Właśnie sukces jest szczególnie nagrodą za pracę. Owszem, tworzą go ludzie, lecz ludzie bywają omylni, tak jak greccy bogowie, jak herosi. Historia płata figle, niektórym pamięta czyny godne i wielkie, innym drobne łajdactwo wyolbrzymia nad znaczne zasługi. Bywo także, że kto inny tworzy, a inny odnosi sukces.

sobota

Przerazające i fascynujące, ależ tak właśnie można powiedzieć o tym wszystkim, co słowo to oznacza. Codziennosc Franza K., codzienność Prousta i Joyce'a, prawdopodobne codzienności, tyle ich ile ludzi. Każdy, sprawiedliwie, ma swoją.

Dlaczego tak bardzo pociągają mnie te osoby we kulinaria? Po pierwsze ponieważ do dziś czuję ten smak, niepowtarzalny, utracony już ostatecznie zapach i smak potraw dzieciństwa. Po drugie, lubię do dziś dobrze zjeść. Jedzenie sprawia mi przyjemność. Oczywiście, nie objadanie się. Wprawdzie jestem chudy, lecz jem dużo, a

potrawy, które wspominam, pociągają mnie do dziś i bywa, że tak długo szukam okazji, by je ponownie skosztować, aż spełnia się moje pragnienie, mój głód zadawniony. Po trzecie potrawy te przypominają mi bliskich i czas miniony. Czas? Nie, nie będę się już tłumaczył.

### Kluski

W utarte ziemniaki odcisnięte z soku wbić jajko, dodać mąki, najlepiej żytniej, sól i to już wszystko. Ugnieść ciasto. Potem łyżką kłaść kluski na osoiloną, gotującą się wodę. Gotować przez dobrą chwilę. Potrawę zalać mlekiem i już gotowa. Palce lizać. Część klusek można odcedzić i podgrzać na ten sam lub ininy posiłek. Delicje. Ileż to razy jadłem kluski. Jadło się te kluski zape tytem, bo to tanio i smacznie, jak mawiała matka; rano na mleku, wieczorem na słoninie. Po tak pozornie biednej kolacji jakże bogate były sny.

strona 308

Rozważania o sztuce. Wielkość przychodzi jak katar. Bywa niepowtarzalna, bywa bezowocna.

Sztuka to treść i forma, myśląc tylko o tym ograniczeniu można postulować i realizować tysiące koncepcji. Realizować realizm lub patrzeć inaczej, widzieć inaczej, przekształcać. To właśnie mnie pociąga. Powołać się na Boudelaire'a, na powinność artysty i na tysiąc innych. Może wszyscy mieli rację. Nie, rację mam ja.

Moje pierwsze czytanie Manna. Dyskusja o... filozofii? W drugim czytaniu była już w tej sprawie znaczna poprawa. Mimo to do końca Manna strawić nie zdołałem. Wyobrażam sobie jak solid nie umierał Hans Kastrop. „Czarodziejska góra” i jej nowy porządek, nie bardzo przecież odbiegający od (jakiegokolwiek) porządku (szpitalnego), w którym zawsze jest miejsce dla szarlatanów, odszczepieńców, epokowych szaleńców.

jeszcze kwiecień

Mając sobie za złe najmniejszą słabość, jesteś bezradny wobec tysiąca przypadłości, którymi obdarzyła cię natura. Bo i nic w tym dziwnego, że pragnienie ideału bywa spełnione tylko w bardzo niewielu przypadkach. I nic się tu nie da zrobić, nikt nie poprawi natury, nikt nie zmieni własnego losu, a jednak jest coś w człowieku, co stwarza pewną nadzieję. To siła charakteru, która nieugięte postanowienie zmienia w końcu mimo pozornych niepowodzeń, mimo morza trudności, w rzeczywistość.

Ileż mam do powiedzenia o ułomności ciała i charakteru. Wiele. Prawie wszystko.

### Sztuka

Tylko prawdziwego artystę stać na to, aby w dziełach kolegów widzieć to co dobre.

Co pan powie o życiu!

Było piękne, szkoda,

Żal, że nie można tego powtórzyć.

Większość z naszych niby--doświadczeń to doświadczenia, czy raczej wiedza w jakimś stopniu zastłyszana.

Ostatnie dni darzyły doskonałą pogodą. Wiosenna krzątanina na polach dobiegła już końca. Uprawione zagony lśniły jaskrawą zielenią. W powietrzu miodna woń kusiała na wyprawę ku nad rzecznym łąkom. Czoła moren przykrywał ciemnozielony, sosnowy daszek, wsparty na brązowym ostrokołe. W takim to pejzażu objawił się diabeł.

### Diabeł

Nie pamiętam już jakie były dokładnie okoliczności, które towarzyszyły tej chwili, gdy po raz pierwszy opowiedziano mi o tym diable. Wydaje mi się, że było to na rybach. Opowiadano, że w ukrytej w borach wsi, a właściwie na moczarach tuż przy wsi, ukazał się kłusownikom diabeł. Ot, zażartowałem sobie, wreszcie jest na nich, to znaczy na kłusowników, sposób. Dobry ten diabeł i należałoby go zatrudnić na pół etatu. I na tym skończyło się.

Nie. Po kilku dniach podczas obiadu, kiedy wszyscy domownicy rozsiedli się w dużej kuchni i z apetytem zajadali przysmaki Matki, sprawa odżyła. Matka miała zwyczaj przy stole serwować nam także świeże wiadomości. Wiadomo, nie pomawiając rodzaju kobiecego, a tym bardziej Matki o plotkarstwo, że kobiety wiedzą dużo i uważają za punkt honoru powtarzanie owej wiedzy. Tak więc dowiedzieliśmy się, że diabeł zaskoczył rybaków, rycząc i pędząc w ich stronę zmusił ich do ucieczki. Aby tajemnicze okoliczności dopełnić dowiedzieliśmy się, że zmierzch był bezkسیężycowy i mglisty. Nie pamiętam już dlaczego zachnąłem się.

Minęło kilka dni. Tym razem mówiono, że to sum jest powodem całej afery. Podobno był nawet ktoś z miasta, by całą sprawę zbadać. A to dobre, już dawno naukowo nie tropiono diabła.

„I Widzicie i nie”. Ta triumfalna opinia pograżająca całą szacowną naukę na wieki w piekle własnego zarozumiałstwa, wygłoszona przez starowinę w geesowskim sklepie, przypomniła mi O całej sprawie. W krótkim, chyba kilkudniowym odstępie, dowiedziałem się jeszcze, że to ptak przelotny, bekas chyba, potem jeszcze raz sum i sprawa ucichła.

Minął rok. Przejeżdżając przez wieś, zatrzymałem się, by kupić jajek. Właśnie tak, prosiła mnie o nie żona. Spytałem w pierwszej z brzegu zagrodzie, nie mają. W drugiej, trzeba iść, do tych O tam, gdzie studnia z daszkiem. Jajka są. Gospodyni poszła do iaby, by je zapakować. Do sieni wykuśtykała staruszka i opowiedziała mi, jak to diabeł na moczarach wystraszył rybaków. Przy niej stał kilkuletni knôp i uśmiechał się.

Wracałem do domu z jajkami i przeświadczeniem, że ta opowieść przeżyje narodziny, sławę i zapomnienie niejednej solidnej powieści.

Pamiętam też innego kociewskiego diabła. Wierzbowego, jałowoowego, hulającego po drogach, cyhającego na ścieżkach. Bywa też diabeł, ten który mógłby być twoim wujkiem, trochę otyły, zawsze w kapeluszu, z nieodłącznym cygarem, przychodzi na skaita, wypełnia izbę niesamowitym dymem i jakby metalicznym śmiechem. Stoisz za jego plecami, on stoi za twoimi, coś mówi, zawsze są to kuszące propozycje. Czy masz takiego „wujka-diabła”?

# Pamiętnik<sup>1231</sup>

Urszula Olszewska

18 sierpnia 1939 r.

Już lekko jesień pachnie... Lubię późne lato. Jest ono jakieś złote, dojrzałe i słodkie. Lubią pierwsze astry. I właśnie teraz jestem naręczoną.

Józio już się doczekać nie inoże — ten mój głuptasek, kiedy się pobierzemy. Będziemy wtedy mieszkać albo w Poznaniu, albo w... Toruniu. Chociaż co do tego ostatniego waham się trochę. Tam muszę być sama — w ogrodzie i na polach. Muszę być sama — dużo tam jest wspomnień związanych z Leonem.

Jestem w tej chwili obiektywną i przyznaję, że miały dużo czaru. Nie sądzę jednak, żeby „mój” Józio miał tam wprowadzić specjalnie duży dysonans, zresztą do tego czasu fabryka przejdzie w inne ręce.

Za kilka dni przyjedzie Leon. Mam zamiar powiedzieć Mu bohatersko, że jestem już naręczoną.

21 sierpnia 1939 r.

Brat Józia Witold żeni się w przyszłym tygodniu. Mój mały naręczony będzie jednym ze świadków. Będzie wszystko doskonale widział i będzie jeszcze bardziej zły, że musimy tak długo na to czekać.

Wejdem w bardzo liczną rodzinę, ale na szczęście Józio sam nie bardzo jest tym zachwycony i nie trzeba się będzie z nimi dużo stykać.

Ale też sobie zmartwienia robia, prawda?

24 sierpnia 1939 r.

**Mobilizacja!!!**

Od samego rana masy nowo zaciągniętych wędrują odprowadzane przez płaczące rodziny na dworzec. „Inteligencja” pakuje manatki i na zbity łeb wynosi się z zagrożonych terenów.

My zostajemy.

Wszędzie widzi się ludzi z olbrzymimi pakami żywności. Ojciec też już przysłał świece i zapałki oraz nieco cukru i kawy. Jawny dowód, że nie zginiemy.

Taka cudowna pogoda, takie słodkie, ciężkie lato, a tu widmo wojny. Boję się o Józia. I Jego, jak miliony innych, wezmą do wojska. Kochane moje słoneczko...

Wejherowo, 25 sierpnia 1939 r.

Napisałam dziś do Józia mój przedśmiertny list... Sama się dziwię, że mi się jeszcze chce żartować.

Miasto prawie że wyludnione. Wszyscy z dnia na dzień czekają wybuchu wojny. Wujek przyjechał dziś po Włodka. Obawiał się, że nie będą mogli wrócić przez Gdańsk. Gdyby tak było, musieliby iść pieszo do Kartuz i stamtąd dopiero pociągiem.

Nie się człowiekowi robić nie chce. Tyle mam drobniaków, do których przywiązałam się. Taka jestem młoda i taka przywiązana do życia. Tak bardzo bym chciała, aby był spokój i tak bardzo chcę żyć...

Jak bajka przedstawia mi się rok spędzony w Poznaniu. Tak było słonecznie, tak cudnie, tak dobrze z Józkiem. Wcale mi się wierzyć nie chce, że to rzeczywistość była, a nie sen. Jestem zrezygnowana, ale mimo to zawsze coś się we mnie buntuje — to nie zrezygnowało prawo do życia, do używania młodości, prawo do miłości i szczęścia. Kocham Józia.

Wejherowo, 1 września 1939 r.

O godz. 5-tej rano rozpoczęła się wojna z Niemcami!

2 września 39 r.

Mieliśmy dwa naloty samolotowe po południu i nad ranem, które na szczęście nie wyrządziły żadnej szkodły. Ryk syreny zwiastującej zbliżanie się nieprzyjaciela, robi wstrząsające wrażenie. Nerwy, nerwy...

3 września 39 r.

Anglia i Francja wypowiedziały dziś wojnę Niemcom. Istnieje ewentualność wmieszania się do niej kilku jeszcze państw. Czyżby druga wojna światowa?

Pomorze przez wojska niemieckie odcięte od reszty Polski. Nie mamy gazet, ani listów. Składy prawie wszystkie zamknięte.

4 września 39 r.

Bardzo dziś blisko słychać armaty i karabiny maszynowe. Od 4-tej rano do 7-ej przelatywały nad miastem nisko samoloty nieprzyjacielski?. Hel i Gdynia były bombardowane zaraz od samego początku wojny.

Jesteśmy odcięci. Józio nie wie, co się ze mną dzieje. On jest tam na ra"zie bezpieczny, ten mój „mały”.

Jestem przekonana, iż wszyscy sądzą, że nasze miasteczko zapoznało się już z bombami, nieprzyjacielskimi, bo jesteśmy tak blisko\* Gdyni. Na racie dosyć tu jeszcze spokojnie, jednak nie jestem na tyle optymistką, aby twierdzić, że nic nie dostaniemy.

Tyle od nas, krewnych i znajomych, poszło do wojska. Józio jeszcze na pawlno w domu. Pójdzie we wrześniu, w połowie. Modlę się codziennie, aby się Jemu i wszystkim nic nie stało.

6 września 39 r.

Dziś samolot nieprzyjacielski, lecący nisko nad miastem był ostrzeliwany. Nawet w schronie, w którym siedzieliśmy, słyszało się wyraźnie grzmot nieustanny karabinów maszynowych i dział przeciwlotniczych.

5 września 1939 r.

Cały dzień krążyły samoloty niemieckie nad miastem. W lasach okolicznych wojsko polskie ostrzeliwuje nieprzyjaciela. Chodzi o Wejherowo. Zdaję sobie sprawę z tego, że chwila jest decydująca.

Wieczór.

Wojska polskie wycofują się. Przez okno widziałam, jak szli przez miasto nucąc: „Wojenko, wojenko, cóżes ty za pani?” Biedni chłopcy.

Masy ludności cywilnej wyszły z wojskiem z miasta.

9 września 1939 r.

O godz. 8.50 wojska niemieckie zajęły Wejherowo. Chorągiew ze swastyką powiewa nad starostwem i magistratem. W starostwie urzęduje już nowy „landrat”.

14 września 1939 r.

Znów jedna chwila w życiu, której nie zapomnę tak prędko. Zajęcie miasta przez wojska niemieckie. Ranek był chłodny, z lekka omglony. Na ulicach pustota. Z głównej ulicy (dziś „Adolf Hitlerstr.”) wyjechały dwa samochody pancerne. W każdym z nich

siedział jeden oficer i kilku żołnierzy z karabinami nastawionymi na wysokość drzwi i okien. Ale w mieście nikt nie strzelał. Wszystko ucichło... Samochody zniknęły mi z oczu i na tle omglonej ulicy pojawiły się pajtrole piesze.

Jakże bardzo się teraz miasto zmieniło. Nic prawie już nie przypomina dawnego, dobrodusznego Wejherowa. Natomiast jest Neustadt. Czy wiecie, kto jestem i gdzie mieszkam? Otóż: jestem „Fraulein Ursula Olszewski, Neustadt, Schönwalderstr. 3 Deutschland”.

Wszystkie polskie napisy zostały zdjęte i zamazane, na ich zaś miejsce pojawiły się szyldy niemieckie. Liczne chorągwie ze swastyką całkowicie zmieniły wygląd miasta.

Mam zamiar stąd po pewnym czasie wyjechać. Bezwarunkowo i stanowczo. Do Poznania i do Józia. Do Józia... Mój Boże, co też ten mój kochany chłopiec teraz robi? Czy wzięli Go do wojska? Czy jest zdrowy? Nic nie wiem. Jedno jest mi tylko wiadome, że kocham Go niezmiennie, głęboko i dążyć będę do tego, aby być blisko niego. Boję się o niego, bo nie umie mówić >po niemiecku. Ale chyba Bóg nie dopuści do tego, aby Mu się coś stało?

Wojna trwa dopiero 14 dni, a mnie się wydaje, że wieki całe minęły od jej wybuchu. Moje jasne wakacje w Toruniu wydają mi się nieprawdopodobne. Nie mogę sobie wyobrazić, że można było studiować w Poznaniu. A już to, że byłam razem z Józkiem, że nam tak dobrze było razem, snem się wydaje. Jakże mi dobrze było, gdy słyszałam Jego trzykrotny dzwonek u drzwi.

Śledziłam słuchem jak wieształ płaszcz w szafie, jak przechodził jadalnię, korytarz i stukał do drzwi mego pokoju. A potem wchodził już bez pukania, bo był mój, mój, mój! Gdy siedziałam przy biurku, podchodził i całował mnie w szyję i w usta, gdy odwróciłam głowę. Gdy leżałam na kanapie, siadał obok mnie, brał za rękę i pytał pieszczotliwie: „Co jest bachorkowi? Żle się czuje?”

Innym znów razem sama podbiegałam do niego, zarzucałam ręce na szyję i przytulałam się z całej siły. On okrywał mą twarz pocałunkami i było nam dobrze, nieskończenie dobrze. A wieczorem przychodził powiedzieć mi „dobranoc”. To były chwile nasze, tylko nasze. Dwoje ludzi kochających się bez zastrzeżeń i — ograniczeń. Byliśmy sobie wtedy tak bliscy, zarówno duchowo, jak i... Jestem zdecydowana wbrew całemu światu wyjść za Niego! Kocham Go i to powinno wystarczyć. A opozycja będzie. Dość nawet silna w postaci własnego Ojca. Ale dam radę. Przekonam Ojca, a jeśli tego nie dokonam, będę musiała wyjść za mąż wbrew Jego przekonaniu. Trudno!

14 września 1939 r.)

Jak można było zaczynać wojnę wiedząc, jaki jest stan naszej armii? Jak rżnoza było twierdzić, że jesteśmy „silni, zwarci, gotowi”? Jak można teraz z uporem odpowiadać, że „walczyć będziemy do ostatniej kuli i ostatniego żołnierza”? Jak można było tylu ludzi dać zabić i tylu unieszczyć! Jak można było? Nie rozumiem i pełna jestem nienawiści.

Zburzyli moje szczęście, a w najlepszym razie uczynili je odległym i wątpliwym. I tyle, tyle innych mniej lub więcej wielkich nieszczęść. Nie rozumiem i pełna jestem nienawiści!

Dziwię się teraz na przykład, jak mogłam chociaż na chwilę, będąc w Poznaniu, rozstać się z Józkiem? Jestem przekonana, że teraz nie opuściłabym Go ani na chwilę. Obawiam się nawet, że trzymałabym Go za rękę, żeby wiedzieć z całą pewnością, że jest przy mnie. Jedno jest dla mnie w tej chwili pociechą, że przed tym wszystkim zaręczaliśmy się. Jest to więź, która daje pewność, że będziemy się szukać i chyba znajdziemy.

To byłoby okropne, gdybyśmy się tak „rozlecieli” bez tej pewności, że się kiedyś złączymy, na zawsze. Na zawsze — tak chcę, tak bardzo chcę.

>) Data powtórzona.

...Stałam na balkonie i czekałam na Józia. Słońce świeciło przez gałęzie drzew i jasnymi plamami kładło się na ścieżkach parku. Basen lśnił w słońcu. Było mi dobrze. Nagle zobaczyłam Józia, jak skreślił na naszą ulicę. Patrzy do góry i posyła mi ręką pocałunek. Jest mi dobrze, jasno i szczęśliwie. Po chwili wchodzi do mego pokoju i zaraz na wstępie mówi:

„Taka dziś piękna pogoda. Przejdziemy się wieczorem nad Wartą, chcesz?”

„O, chcę.”

Latarnie już są zapalone, gdy wychodzimy na ulicę. Józio bierze mnie pod rękę i idziemy Placem Bernardyńskim, skręcamy na ul. Raczyńskich, gdzie pachną lipy. Z głowami podniesionymi do góry wachamy lipy i śmiejemy się jak dzieci, że to śmiesznie wygląda.

Nad Wartą jest chłodno i wilgotno. Siadamy nad brzegiem i patrzymy na drugi brzeg. Rezultatem podobnego spaceru jest prawie zawsze powiększenie migdałów i wyrzuty sumienia Józia, że pozwolił mi siadać na ziemi.

Chodzimy po jakichś wertepach, gdzie wiatr wieje niemiłosiernie i gdzie Józciu z tego powodu nie może zapalić papierosa. Wracamy znów aleją pachnącą lipami. Wchodzimy na trzecie piętro. Jestem już mocno zmęczona i Józciu strofuje mnie jak małe dziecko, że to niby mogłam powiedzieć, że jestem zmęczona. Cóż, kiedy mi tak dobrze było iść przy nim. Wchodzimy do „naszego” pokoju i Józio przez długi czas nie wypuszcza mnie z objęć, bo „nie mógł mnie przez tak długi czas całować”. Kochany bachorek!

„A teraz kładź się przedziutko. Za dziesięć minut przyjdę powiedzieć dobranoc.”

„Piorunem” załatwiam swoją toaletę wieczorną i wskakuję do łóżka. Przykryta kołdrą po samą głowę uśmiechem witam wchodzącego Józia. Jest nam dobrze, jasno i szczęśliwie.

Jest mi źle bez Ciebie, Maleńki.

18 września 1939 r.

Gdy Ciebie coś boli czuję to tak, jakby w nas jedno biło serce.

24 września 1939 r.

Jedna tylko szyba, a już cały świat.

Twoja twarz, liść kasztana i niebieskie niebo.

Jedna tylko szyba — i już cały świat.

I nie chcę innego.

Janina Welke Siwkowska

Zdaje mi się, że się nam będzie dobrze powodziło... W Niemczech... Śmiać mi się chce. Można było urządzić sobie raj na ziemi mając te pieniądze w Poznaniu.

Chcę mieć motocykl!

Nic się teraz nie dzieje u mnie. Teraz dopiero widzę, jakież miałam bogate życie. Dziś nuda, zastój, nuda, bezruch i tak bez końca. Wygrzebuje więc z popiołów przeszłości niedalekiej rozżarzone węgielki wspomnień i dmucham na nie i przybierają znów żywe barwy.

Był wieczór w moim pokoju. Byłam zmęczona świeżym powietrzem i przechodzką i leżałam z zamkniętymi oczami. Józio pochylony nade mną muskał delikatnie wargami moje włosy i oczy. Oplotłam Mu szyję ramieniem i zbliżyłam Jego usta do moich.

— Szula! Cudnie wyglądasz... Jak mały, kochany dzieciak i jak kobieta... Jesteś śliczna i kocham Cię.

Józio ma chłodne i wilgotne wargi. Silne ramię podłożył pod moje plecy i trzyma w ciepłym uścisku. Jest mi tak dobrze, tak bezpiecznie i sennie.

— Masz po pocałunku rozchylone usta, jak byś nie chciała go spłoszyć. Wyglądasz tak cudownie.

Przeciągam się w Jego ramionach. Wiem, że wyglądam ładnie i cieszę się z tego, bo to dla Niego.

Przytulałam się blisko i zasypiam. Józio naciąga mi kołdrę po szyję, całuje w czoło i mówi:

— Pa, bachorku, do jutro.

— Dobranoc.

Takie to były jedyne, kochane wieczory.

5 października 1939 r.

Żyje teraz człowiek z dnia na dzień, zagrzebany w bezczynności po uszy, spędza czas na rekordowym obżarstwie, bo to „potem nie będzie” i nudzi się. Stałam się apatyczna i chyba bomba, upadająca na nasz dom, obudziłaby mnie dopiero.

Polska już należy do przeszłości. Mówiąc o Polsce fizycznej. Wojna u nas skończona, trwa jednak między Niemcami z jednej, a Anglią i Francją z drugiej strony. Będzie się nam dawała dobrze we znaki — obawiam się.

13 października 1939 r.

Tak, niewątpliwie, dużo ludzi poległo, ale nie wszyscy, dużo także wróciło. Wobec tego dlaczego by Józiovi się coś stać miało?

W Wejherowie jeszcze żadnemu porządnemu człowiekowi nic się nie stało. Wobec tego Józiovi też nic się stać nie może. Tona, chociaż był w „piekle hel skim”, żyje. Wobec tego Józio jest zdrowy. Oto logika lęku.

Studia diabli wzięli! Żle? Dobrze? „Nie ma tego złego” itd. Wyjdę bowiem przedzej za Józia, albo zdążę się gruntownie przygotować do mego nowego zawodu.

21 października 39 r.

Słońce, słońce! Józio napisał!

Wywędrował głuptas aż pod Kłodawę i przez miesiąc nie było Go w domu. Dobrze, że wtedy nie można było pisać, bo tylko martwiłabym się niepotrzebnie, a tak stoję już przed faktem dokonanym i jest dobrze.

23 października 1939 r.

Pierwsze nieszczęście.  
Alfons poległ pod Kutnem.

26 października 1939 r.

Witold jest ranny i znajduje się w obozie koncentracyjnym.\*) Bogu dzięki, że przynajmniej żyje.

1 listopada 39 r.

Taki zastój, taka nuda panuje teraz w mym życiu, że po prostu pragnę już zmiany nawet w postaci pracy w Niemczech.

Ojciec zawsze już pragnął, żebym pracowała później w dziedzinie, związanej z Jego zawodem. Teraz więc prawdopodobnie będę studiowała, krótko zresztą, w dziedzinie chemiczno-lekarskiej, a potem będę pracowała w szpitalnym laboratorium. To by mi nawet odpowiadało, bo nie znoszę tylko teorii i długich studiów. Posady takie są podobno dobrze płatne (tak mówi Ojciec), a mam zamiar oszczędzać na „ży-cie przyszłe”.

Żeby tylko nie było tych nudów, tej zabijającej inteligencję i indywidualizm bezczynności. Z drugiej znów strony jestem pewna, że czasem będę z żalem wspominała obecne czasy. Taka już jestem „pomy-lona”.

2 listopada 1939 r.

Sama nie wiem, jak się to stało, gdy nagle wspomnienie fizycznym wprost bólem targnęło mym sercem.

Było to w dniu imienin Józia. Nazajutrz miałam wyjechać do domu na wakacje wielkanocne.

Późnym wieczorem wyszliśmy jeszcze z Józkiem odprowadzić gości. Powietrze było mroźne, niebawem zaczął padać śnieg. Towarzystwo nasze oddaliło się od nas znacznie tak, że zostaliśmy z Józkiem i Zdzisławem Norkiem daleko w tyle. Było nam bardzo wesoło. Postanowiliśmy odprowadzić Zdzisława do domu. Koło Zamku wpadł Józiovi pomysł do głowy, aby Zdzisława odwieźć sankami do domu, tym bardziej, że

staniał się lekko na nogach. Gdzieś koło Przeczniczy zobaczyliśmy stojące sznurem sanki. Wsiadliśmy ze śmiechem i w końcu zajechaliśmy w jakąś małą uliczkę, gdzieś naszogo towarzysza wysadzili. Tacy byliśmy wszyscy „rozpuszczeni” i zamroczeni, że gdy na pożegnanie Zdzisława pocałował mnie w policzek, każdemu z nas wydawało się to rzeczą naturalną.

Sanki zawróciły, Zdzisław brodził w śniegu do drzwi swego domu, a my jeszcze z sanek upominaliśmy go, żeby szedł wprost do domu i nie wstępował gdzieś do jakiegos szynku „na dobranoc”.

— Wiesz, Szula? Jutro już wyjeżdżasz. Będziemy tak długo jeździli, jak długo nam starczy pieniędzy, chcesz?

— Wspaniale! W domu każde z nas musiałyby pójść zaraz do swego pokoju, a tak będziemy przynajmniej dłużej razem, prawda?

I jechaliśmy przez uśpione i ośnieżone ulice, a woźnica miał nas zapewne za wariatów. Lecz cóż nas to mogło obchodzić? Trochę było zimno i ostatecznie nie obyło się bez przygody w postaci wywrotnego konia. Czy ten woźnica domyślał się, że się za jego plecami całowaliśmy? Chyba tak, bo cóż mogą tacy młodzi pasażerowie, jadący nocą po mieście, innego robić?

Wokoło nas była taka prawdziwa, marcowa noc. Nieprawdopodobnie cicho i wprost bajkowo pięknie. Pola na Sołaczu miały wygląd szaro-błękitny. Miasto zasypane było śniegiem i wszędzie cisza. Ulice puste i tylko światło latarni stanowiło jedyny jasny punkt na szaro śnieżnym tle ulicy.

O czwartej nad ranem zajechaliśmy przed dom. Ostatni pocałunek w drzwiach mego pokoju przypieczętował tę rozkoszną eskapadę.

A nazajutrz pojechałam do domu, ale przecież wróciłam. A teraz?

Czyżby to było przecucie, że widzieliśmy się tyle razy „nadprogramowo”? Razem jechaliśmy do Koronowa na „duże wakacje”, spotykaliśmy się w Koronowie. Potem Józio przyjechał nad morze i do nas, i tu zaręczyliśmy się.

Gzyżby to wszystkim razem wzięte miało być za-dosćuczynieniem za terazniejszą, długą rozłąkę? Dało mi dużo szczęścia, ale teraz jest tylko wspomnieniem, a ja chcę szczęścia zawsze...

10 listopada 39 r.

Po raz pierwszy widziałam z bliska okopy. Szliśmy po owoc do Ustarbowa. Po drodze przechodziliśmy przez linię frontu. O takich rzeczach słyszało się zawsze tylko w opowiadaniach z wojny światowej. Teraz zobaczyłam wszystko na własne oczy.

Wzgórza pocięte pasami okopów. Rozkopana ziemia w miejscu, gdzie stały armaty i karabiny maszynowe. Baraki zbudowane z belek i liści w celu obrony, a raczej w celu zamaskowania się przed samolotami obserwacyjnymi. Byłam w siedzibie sztabu. Jak się to szumnie nazywa, a to był zwykły podkop, podparty potężnymi słupami z wejściem w postaci rowu i ze szeroką szczeliną na obserwację. Po drodze widzieliśmy dwa groby żołnierzy polskich. W lesie dużo drzew strzaskanych albo zgoła ściętych. Teraz wszystko spokojne, ale jakby po gwałtownej burzy.

i Nawet tam, chodząc po okopach, nie mogłam sobie wyobrazić ze zwykłą jasnością, jak właściwie taka bitwa wygląda?

Okopy z jednej i z drugiej strony. Dobrze. Armaty, c. i lkm-y przygotowane. W porządku. Z jednej i z drugiej strony żołnierze. I co? Strzelają? Jakże? Przecież to ludzie?

I o ten humanitaryzm rozbija się całe rozumowanie.

11 listopada 39 r.

„Przyływy i odpływy” uczucia w miłości do Józia mają miejsce tak samo, jak w moich przelotnych sympatiach. Co to znaczy?

Poza tym myślę czasem, że On sobie spokojnie siedzi w łożu, podczas gdy inni walczyli, a teraz siedzą w obozach. To daje dużo do myślenia, ale ja nie chcę myśleć. Nie chcę wywoływać wilka z lasu. Przecież więzienia są w Poznaniu także.

\*) Chodzi zapewne o obóz jeniecki.

Za — nie wiem już ile — dni skończę lat dwadzieścia. Otwieram szerzej z przerażenia oczy i wierzyć mi się nie chce. Dwadzieścia lat!

— Czy to źle? — spyta ktoś.

— Tak, tak, źle! Rozpaczliwie i boleśnie. — Chce mi się krzyczeć. — Talki cudny okres życia, a ja co?! Co robię? Gdzie jestem?

Wiosna mojego życia — słowa nabrzmiewają goryczą i zalem. Wiosna mojego życia — myśli krzyczą i szarpia się buntem. Nie chcę. Zbyt pięknie przedstawiałam sobie ten okres życia i teraz pokutuję. Chciałam młodości. Ale nie takiej dalekiej, bolesnej, o niepewnym jutrze. Nie takiej ranionej tęsknoty bez nadziei.

Mam chęć stanąć gdzieś, gdzie mnie wszyscy zobaczą i usłyszą. Ja chcę miłości bliskiej. Ja chcę miłości, która pozwoli mi przytulić się i zapomnieć. Ja chcę ręki, która jest mocna i pewna, pieszczotliwa i kochana, abym się na niej oprzeć i całować mogła. Ja chcę — Boże, czego ja bym chciała! Ale czy to trochę miłości, to już tak dużo? Przecież w zamian za to rezygnuję z prawa do bogactwa i z wszystkiego co mi na wet na myśl nie przychodzi

Buntuję się. Z całego serca. Ale to jest bunt bezsilny i to jest najgorsze.

Czasem, gdy rozsądek dochodzi do głosu, stwierdzam, że nie powinnam narzekać. Pisząc to, myśl mi ja gorzko się uśmiecha. Nie mam co narzekać. Naprawdę.

Ale — mam zamiar być rozsądną. Innym wzięli mieszkania — nam nie. Innych wysiedlili — nas nie. Bliscy ich siedzą we więzieniu — u nas nikt. No? Czy nie doskonale? Właśnie. Tego mi za dużo — tamtego niedostaje. Wszystko na opak.

Jestem teraz zawsze zdenerwowana. To dzięki tej wiecznej niepewności. Scyszę z Ojcem na porządku dziennym. Dawna harmonia nie zaistnieje nigdy.

Często wracam teraz myślami do dawnych znajomych. B.) na pewno po wojnie osiedli się we Francji. Tam da sobie radę. Leon albo w obozie koncentracyjnym, albo... Nie, w to mi się wierzyć nie chce. Każdy inny, tylko nie on. On był zbyt młody, zbyt silny, zbyt żywotny. Żałowałabym Go szczerze.

Tak mi dzisiaj myśli po głowie sikacza, jak zające i ich połapać nie mogą. A jedna z nich jest taka... Jeśli Ojciec w żaden sposób nie będzie się chciał zgodzić na ślub z Józkiem, to albo skapituluję (z Ojca), albo — owszem — zgodzę się na kogoś innego, pod tym jedynym warunkiem, że zastrzegę sobie, aż pomimo wszystko będą się spotykała z Józkiem w dalszym ciągu (trochę anormalne, ale nie szkodzi), będą do Niego jeździła i pisywała listy, słowem — mój mąż będzie musiał zgodzić się przed ślubem na to, że będę miała kołchoł. A czy się taki głupi znajdzie? Smdem wątpię — wobec tego kapitulacja.

Mam dość, siakrew!

(Cdn.)

\*) W pamiętniku podano nazwisko.

# Wspomnienia z młodości

(dokończenie)

Anna Łajming

Rano po dzwonku wyskoczyłam z łóżka i podeszłam do okna. Wszędzie stały kałuże, deszcz musiał pluskać przez całą noc. Ochłodziło się. Szumiął silny wiatr, kolebały się wysokie drzewa w parku.

W biurze trudno mi się było skupić. Słyszałam nieustanny turkot młockarki w stodole i gulgot indyków. Na podwórzu krzątała się żona dojarza, która aż kulała pod ciężarem pełnego wiadra. Cieśla już podniósł szkielet dachu szopy, na którym powiewał kolorowy Wieniec. Jednak szef, choć często spacerował po rozległym podwórzu, nie zwracał uwagi, ani na cieśnię ani na szopę. Toteż ikiedy Tchórzewski wszedł do biura, cieśla jakby tylko na to czekał, wślizgnął się za nim. Chodziło mu o „dziada”, ewentualnie o jeszcze jedną zaliczkę, itóre wysyłał rodzinie, a które na zlecenie dziedzica przekazywane przez Tchórzewskiego Wyplacałam. Ale tym razem rządca obojętnym głosem powiadomił cieśnię, że dziedzic zrezygnował z dalszej budowy. Resztę należności wypłaci sekretarka.

Cieśla stał przez chwilę nieruchomo jak słup. Na jego bladej twarzy wystąpiły krople potu. Podeszedł do biurka i wilgotną ręką podpisał odbiór należności i wyszedł ibez słowa.

Zawsze kiedy zabrzęczał telefon podnosiłem słuchawkę z biciem serca. Tym razem dzwonił rotmistrz Sokołowski, a że głos miał podobny do Łajminga, zadzgotałam. Sokołowski prosił, abym zapytała szefa, czy ma ochotę na brydża?

— Sikorski wrócił wczesnym rankiem z Sopotu i na pewno jeszcze śpi — powiedziałałam Sąsiad chwilę pomilczał, jaikby się bardzo zdziwił i prośby nie kazał powtarzać.

Następnego dnia w czasie młocki usłyszałam piekielny wrzasik. Ujrzałam zbiegowisko, a po chwili wprowadzono do biura jednego z robotników. Miał

pokrwawioną kuszulę na plecach. Z młookarkd wyskoczył kamień i zdarł mu skórę na łopatce. Zdjęto z niego koszulę. Ranę obmyłam wodą utlenioną, przyłożyłam gazę i zabandażowałam plecy tak, jak mnie ikiedyś uczono w szpitalu. Ohłop poweselał i poszedł do domu.

Kiedy wieczorem wychodziłam z gabinetu szefa spotkałam się z panią Sikorską. Wiedziała już o wypadku. Powiedziałałam, że rana była powierzchowna więc ją opatrzyłam, gdyby nie było mu lepiej, zawsze może zabrać się z mleczarkiem do lekarza.

Dziedziczka wysłuchawszy mnie, zdziwiona zapytała zniżonym głosem:

— To pani opatrzyła mu ranę?

Chciałam powiedzieć, że w szpitalu widziałam już obnażonych mężczyzn do pasa, ale tym bym tylko pogorszyła sprawę, więc milczałam.

Szefowa obrzuciła mnie takim wzrokiem, że aż poczułam zimno na plecach.

Deszcz przestał padać dopiero po paru dniach. Zaświeciło słońce i w któreś słoneczne przedpołudnie był telefon z Torunia. Dzwonił Łajming, a ja nie mogłam mu dać konkretnej odpowiedzi. Prosiłam jeszcze o parę dni namysłu.

Za trzy dni była niedziela. Dowiedziałam się, że Łajming przebywa w Gniszewie u Sokołowskiego, który znając jego rodzinę jeszcze w młodości, opiekował się nim. Aby wyprowadzić wszystkie księgi na bieżąco, w to niedzielne popołudnie także pracowałam. I Wtedy usłyszałam galop koński. To przycwalał na koniu Łajming. Zmieszałam się okropnie. Byłam w codziennej sukience, gorączkowo porządkowałam w nieładzie włosy. Ale on niczego nie zauważył. Rozmawialiśmy bardzo długo zanim wyraziłam zgodę na małżeństwo. Natychmiast powiadomił o tym pana Sikorskiego. Chodziło o dwa dni

urlopu dla mnie na wyjazd do rodziców. Szef złożył mi gratulacje. Pani Sikorska postanowiła uczynić to, jak się wyraziła., dopiero po powrocie od moich rodziców, co miało nastąpić w następną niedzielę.

O wszystkim doniosłam rodzicom i już w czwartek otrzymałam odpowiedź. Mama pisała:

„Teru ma wierne, czemu te tak rzodko piszesz. A nic nie napisałaś co to za jeden ten twój kawaler i co on robi? Le to, że teru, czej mosz tako fejn robotę, chcesz się żenić. A czemu tak chutko? Żebe le nie boł pijok? Bo pijak to je bijok! Okunka Florian też se chutko ożenił i jak mu iszło? Młynorz ich oboje wywałoł truteń, a że ni. mieli fidge isc, ze zmortwienia le głowa mu zabolęła i umarł. Okunków nawet nie jechali na pogrzeb, bo to boło dalek a ibana je drogo. Piszę ce to na ostrzegę. Tak to je, jak człowiek chwyto dwie sroci za ogon. To se tak letko mówi: ożenić. Ale zczim? Lando, wscich Lucja jiu szła na szterdziesitkę i do żenioci se nie kwapioła, a jeno fejn chłopca dostała i do Chojnic isę ożeniła. A ta Leosia Windelec, co tak naszygo Janka chciała, ożeniła se z tym młodym Sisiolą z Poloszka; jeno aż na Półmack, gdzie ten Murawiec sedzy, bo gdzie dzys młode ludze mają mieszkać? Dłotego rób co chcesz, jes staro dosc. Wszetcki se żenia, żeń se i te. Leno żebes se dobrze statkowała. Bo wuj Albert z Wilczewa z Józefką, co u niego służoła, mo nieszlubne dziecko. Ksadz go doł wołać, ale on nie szedł. Piszę ce to na ostrzegę, żebes wiedzioła, co se może taczmu dzew.uso.wi przedzarzec. Alfons przedtoł porę funtów miodu, żebe sobie kupie cos na skórę, głępi bies. kupioł sobie mandolinę. Teru le wiedno brzdąko a mnie to nerwuje. Janek Jesz z inszyna knopami nareszce wepsnął se do tuj Gdyni i pisoł, że mioł szcześnie dostać robotę. Wiele przejechało nazód. A ten stolorz z tym jednym oczem, co ito od nos do młyna szedł, mioł se żenić z tą kulawą Berto, ale jak do tego przeszło, ona go raptownie inie chciała, bo se namesioła, co ze sobą chce dwoje starych ledzy? Ona kulawa a on ślepi. A ta Franciszka Somionczeno z Kaszubę zaru po pogrzebie obzerała se za chłopem, bo co to je za giburstwo bez chłopca? I prowadę mo. A tak jesme zdrowi, le Agatę mnie je żol, że leży i nic ji pomoc ni mogę. I jesz mnie w głowie nurtuje, co to może bec za jeden, ten twój? Natoamę po ciebie przejedze Alfons a nie tata, bo koń ju se dziebło ułagodzoł a tata ju nie je taczni flink jak doWni”.

Do domu wyjechałam w sobotę sama. Wówczas młodym ludziom nie wypadało jeździć razem, zresztą mój przyszły mąż przebywał w Gniszewie i miał przyjechać dzień później. Po drodze, w Tczewie zrobiłam jeszcze zakupy. Na ul. Hallera kupiłam u modystki letnią czapkę do jasnego płaszcza i sandały. Odwieczną pilotkę i czarne, zamszowe czółenka kupione niedługo w chojnickim lombardzie, mogłam nareszcie wyrzucić.

«Na peronie w Lubni powitał mnie Alfons. Konia zostawił w zajeździe u Turowskiego, skąd nie widział przejeżdżającego pociągu. Alfons rozmawiał i patrzył na mnie inaczej niż przedtem. Był w czarnej, gumowej pelerynie i kiedy wiatr zawiął peleryna się nadeła, koń się sponoszył i zaczął się szarpać.

Kiedy zajechaliśmy przed dom na progu pokazała się ciocia ze łzami w oczach. Pokazałam jej wianek na głowie i pierścien na palcu, a ona uśmiechnęła się rzewnie i serdecznie mnie uściśnęła.

Rodzice wprowadzili mnie do drugiego pokoju, gdzie musiałam się wypowiedzieć. Kiedy mama między innymi zapytała, czy aby on jest dobrym katolikiem, powiedziałam takim bezdusznym głosem, jak Tchórzewski. cieśli o skończonym zarobku, że nie jest katolikiem a prawosławnym. Mama chwyciła się za głowę i zrobiła ruch, jakby chciała wstać, została jednak, isplotła dłoń i zmartwiona zaczęła narzekać na wyraźny palec boży.

— A bodej bes tam z twoimi fizmatentami! — warknął ojciec i machnął ręką.

Mama była zniechęcona i odeszła do kuchni, a ja długo i serdecznie (rozmawiałam z ojcem o mojej pracy, o dobrych pracodawcach i o tamtejszej uro-

dzajnej glebie. A kiedy ojciec na chwilę się zamyślił, zauważyłam u niego mocne oznaki starości: był szpakowaty i lekko przygarbiony; z piersi razem ze śmiechem wydobywał mu się ochryply świst, jak niedłyś Heringowi...

Na drugi, dzień w niedzielę pojechałam z Alfonsiem po gościa na dworzec. Po przywitaniu się, pierwszym jego pytaniem było, czy rodzice nie są przeciwni naszemu związkowi. Czułam, że mój przyszły mąż jest jakiś stremowany. Serdecznie przywitał się z Alfonsiem. Cieszyło mnie, że gość zachwycał się okolicą, w której wyrosłam, starym kościołem w Leśnie i pachnącym sosnowym lasem.

W Parzynie na przywitanie gościa wybiegł z domu ojciec ubrany uroczysto w jaskółkę i wąskie spodnie. Nabrał nawet jakiejś gętkości i żywo wprowadził nas do domu, gdzie przedstawiał mojego przyszłego męża matce.

Podczas ogólnej rozmowy mama więcej milczała, patrzyła z ukosa, jakby mu nie dowierzała. Siedziała nachmurzona, a jej twarz przypominała mi wujka Edla. Mój przyszły mąż przypuszczał, że była mu nieprzychylna. Dlatego rozmawiając z ojcem o bieżących sprawach, niespokojnie zerkał na mnie i drgnął nerwowo, ikiedy zegar wybił godzinę. Wtedy mama bez przeproszenia wybiegła do kuchni, by przygotować obiad

Na domiar złego do kuchni weszła zrozpaczona Rekowska. Otrzymała od księży Palotynów z Krakowa podziękowanie za przesłaną im ofiarę, a ona nic o tym nie wie. Wysłała tylko ostatnią ratę za centryfugę. Mogła popłacać blankiety i wysłać blankiet za książeczki misyjne, które dostarczał Teodorek z Kaszuby. Zaraz napisałam w jej imieniu do księży wyjaśnienie, dołączając właściwy z prośbą o przelanie kwoty odpowiedniej firmie. Rekowska dziękując opowiedziała, że była z tą sprawą aż w Lendach /U Franusia, ale on leży chory, bo ma wodę w kolanie, które jeszcze za Niemca sflułł sobie na rowerze. Na pewno już z łózka nie wstanie.

Mama znając Franusia, bardzo się tym przejęła. Dlatego po obiedzie, kiedy zostaliśmy z rodzicami sami i nastąpiła jakaś kłopotliwa cisza, a mój przyszły mąż ukradkiem spojrzął na zegarek, mama zaczęła mu opowiadać starą historię o Fransiuu, który okulał w wypadku rowerowym i nie mógł już zostać ani leśniczym ani nje otrzymał agencji pocztowej, którą wydrzeć chciał takiej Alenii Czapiwskiej, a teraz leży na to...

Nieznacznie trąciłam mamę w ramię, a mama natychmiast urwała jak na komendę. Na szczęście ojciec powrócił do poprzedniego tematu, o chorobach krów.

Wyszłam z pokoju, zostawiając ich samych. Wróciłam po dłuższej chwili, kiedy już było po oświadczeniach. Słyszałam tylko jak mąż zapewniał rodziców, że mogą być o nim spokojni, będzie dla mnie dobrym opiekunem

Mama była za tym, aby nie spieszyć się ze ślubem. Łajiming jednak tłumaczył, że na drugą połowę sierpnia zaplanował urlop i w tym czasie chcemy wziąć w Tczewie ślub i wyjechać zaraz w podróż poślubną do Poznania, na Powszechną Wystawę Krajową i do Torunia. Rodzice wreszcie zgodzili się. Wtedy mąż podziękował rodzicom za wychowanie jego przyszłej żony i za zaufanie, a mama, choć przytakiwała, zmrużonymi oczyma patrzyła w okno.

Mój przyszły mąż poweselał, a nawet pobrzidakiwał z Alfonsiem na mandolinie. Zhliżał się czas odjazdu. Nazajutrz rano musiałam być w pracy. Tchórzewski zrobił się jakiś mrukiwy, był zmęczony i niechętnie mnie zastępował. Poza tym na stacji w Tczewie miały być konie z Gorzędzija i Gniszewa.

Wyjeżdżaliśmy już razem jako narzeczeni. Alfons zjechał i już mieliśmy wsiadać do wasagiu, kiedy spostrzegłam brak rękawiczek. Cofnęłam się do izby. Na środku pokoju stała rozgorączkowana mama. tajemniczo mrugnęła do mnie i powiedziała tak głośnym szeptem, że gdyby gość stał za drzwiami, zrozumiałaby każde słowo:

— Ten tu, jak żyw żywota, więcy se nie pokoże! I machnęła ręką.



— A czemu?

— A ternu, że on się nawet nie spytał, wiele te z doma dostaniesz?...

Nie wiedziałam co na to odrzec i prędko wyszłam. Ojciec na pożeganie długo nam kiwał maciejówką.

Zauważyłam, że mój szef, pan Sikorski ma kłopot. Później dowiedziałam się, że w skrytości szukał kupca na Gorzędziej. Dlatego wyraził życzenie, abym pracowała u niego do końca jego pobytu. Dawał nam nawet mieszkanie nad biurem, o które w mieście było tak trudno oraz konie do dyspozycji. Mąż się nie zgodził.

W dniu moich imienin otrzymałam od posłańca z Gniszewa paczuszkę z listem i wiązaną róż. W pu-zderku był złoty pierścionek z rubinem. Nie przepadałam za biżuterią, ale róże bardzo mnie ucieszyły. W tym dniu zjawił się także w biurze ks. Wilczewski, by skorzystać z telefonu i jednocześnie przekazał wiadomość o biskupim zezwoleniu na nasz ślub kościelny. Czekałam na telefon z Torunia. Wreszcie zadzwonił i w słuchawce usłyszałem głos Łajminga. Od razu zapytałam: pan Łajming?

— Ależ nie! Tiu mówi taki stary, łysy rotmistrz Sokołowski! — Przeprosiłam. Zapytał, czy otrzymałam pozostawioną przez Łajminga dla mnie przesyłkę? A potem dał jeszcze jakieś ważne polecenia dla szefa, prosząc bym o tym pamiętała i żartując dodał, że inaczej ślubu nie da.

W tym dniu pracowałam do późnego wieczoru. Zawsze tak było kiedy zbliżała się wypłata. Tego wieczoru jeszcze zadzwonił Łajming z Torunia. Uzgodniliśmy, że ślub cywilny weźmiemy pierwszego sierpnia w Gniszewie i będę nadal pracowała w Gorzędziejtu, dopóki pan Stroński nie znajdzie dla nas pokoju w Tzewie, po czym dopiero weźmiemy ślub kościelny.

Pierwszego sierpnia wstałam wczesnym rankiem i otworzyłam okno. Niebo było bezchmurne, świeciło słońce. Z kuźni słychać już było uderzenia młotów, w dalekim obejściu piałą koguty, porykiwały krowy. W polu żniwa były w pełni, a ja ubierałam się w czarną jedwabną sukienkę, którą kupiłam w Tzewie i w której jechać miałam do ślubu w Gniszewie. Gotowa do wyjazdu poszłam jeszcze do biura. Szef dał mi czek na dwa tysiące złotych prosząc, abym wracała przez Tzew i z banku pobrała pieniądze na wypłatę dla robotników. Pracowałam do chwili, kiedy przed biuro zajechało lando z Gniszewa. Na tylnym niskim siedzeniu jakby schowany, siedział Łajming. Wyskoczył z powozu i wszedł do biura by podać mi puszeczkę.

I oto siedziałam obok przyszłego męża i w tym dniu przyjąć miałam jego nazwisko. Dobrze jest iść przez życie razem z serdecznym przyjacielem i opiekunem. Nie była to z mojej strony żadna wariacka miłość, jak do subiekta z Brus. a raczej coś, gdzie przeważa szacunek, tak jak to było w stosunku do niezwykłego Barana z Chojnic.

Pamiętam, mijaliśmy pola gęsto zastawione sztygami, ukwiecone łąki i równiny bez lasów. Z dala ukazał się nam Tchórzewski na koniu. Pędem zbliżył się do nas, zeskoczył z konia i z wymuszonym uśmiechem złożył nam życzenia. Całując moją rękę nie spojrzał mi w oczy, jakby czuł jakiś żal, choć później w Tzewie chętnie do nas zaglądał, huśtał nasze dzieci. Odjeżdżając coś jeszcze do niego mówiłam, on jednak się nie obejrzał i to na chwilę zmąciło mój dobry nastrój.

Aktu ślubu udzielił nam pan Sokołowski. Jako świadkowie byli nieznani mi panowie z Warszawy, goście pana domu. Pani Sokołowska wraz z Francuzką bawiły za granicą. Pamiętam, że ręka mi drżała, kiedy składałam już ostatni podpis: Anna Łajming, z domu Trzebiatowska. I jak potem składano nam gratulacje i zaproszono do wielkiego salonu na obiad. Za ogromnym okrągłym stołem siedzieliśmy od siebie w dużej odległości. Potrawy obnosiły dwie pokojówki. Dwudrzwiowe drzwi balkonowe szeroko stały otwarte, a wychodziły na wspólny ogród pełen róż. Było tam o wiele paradniej niż w Gorzędzieju.

Odjechaliśmy tym samym wozem do Tzewa. Na moim miejscu leżała wiązanka różowych róż. Prócz sprawy w banku, chcieliśmy obejrzeć proponowane nam przez pana Strońskiego mieszkanie, wolinę od piętnastego sierpnia i pozalać inne osobiste sprawy. Postanowiliśmy, że zwolnię się w połowie sierpnia, na jeden dzień pojedę do domu po resztę rzeczy, a ślub kościelny weźmiemy siedemnastego o godz. 9-tej rano. O godz. 11-tej mieliśmy pociąg do Poznania, gdzie kolega męża załatwił dla nas hotel i bilety do opery. Poszliśmy też do księgarni i drukarni „Gońca Pomorskiego”, by zamówić zawiadomienia o ślubie. Mój przyszły mąż oglądał wzory druku a ja rozglądałam się po biurze nie przypuszczając, że za parę tygodni w tym samym biurze obejmę pracę w dziale ogłoszeń. Oglądaliśmy też wystawy sklepowe i póki mąż kupował raketę tenisową, ja weszłam do sklepu i, zamiast kupić sobie potrzebne białe buciki, kupiłam naboje do wiatrówki. Alfonsa. Nie umiałam rozsądnie gospodarzyć pieniędzmi i przez długie lata musiałam księgować wydatki domowe, zanim mąż zaczął oddawać mi od razu całą pensję na gospodarkę.

Czternastego sierpnia nie było w majątku ani jednego wolnego konia aby mnie odwieźć na stację. Nawet szofer zatrudniony był w polu. Rzeczy zostawiłam w Gorzędziejtu. Więc odwoził mnie samochodem przy pięknej pogodzie sam dziedzic, mimo że robiłam mu talki kawał, zostawiając biuro w same żniwa. Zdziwiona byłam jego ofiarnością i szczerobliwością w tym dniu, ale on bywał rozmaity. Często niemożliwie skąpy, bo nieraz przychodziło mu do głowy kontrolować ilość groszowej dykstryny w butelce, którą wlepiąłem dokumenty do akt. Wówczas na dworcu Sikorski jeszcze kupił dla mnie bilet. Odprowadził mnie później na peron, gdzie przystanęliśmy przy wagonie III klasy, choć jeździłam IV-tą i wręczył mi bilet. Ja podziękowałam mu za posadę, on życzył mi szczęścia w życiu. Wchodząc do wagonu, wstrzymywałam łzy, bo ciężko mi było rozstać się z takim pracodawcą.

•W domu pakowałam pościel i bieliznę do ogromnego kosza. Mama swoje wątpliwości co do zajęcia mego przyszłego męża wypowiadała na głos: — Chłop co nie umie secierą zawiadować, le w papierach grzebać i piórem drapać, to ju nie je chłop.

Ja milczałam? Biedna mama nie przypuszczała, że za parę lat wyraził się o nim jak o najlepszym i najczulszym synu.

(Zauważyłam, że i ojciec wodził za mną smutnym wzrokiem. A ciocia zmartwiana coś mi na migi oznajmiała, czego zrozumieć nie mogłam, dopóki nie zaprosiła mnie na górę. Tam otworzyła swoją czarną skrzynię i pokazała pożarte przez mole wełniane chusty i szale. Była zrozpaczona i machnęła ręką. Do kufra sypała naftalinę i pieczołowicie odkurzała skrzynię z zewnątrz. Nikt z nas nie przypuszczał, że 16 lat później spali się ta skrzynia z całym domem podczas działań wojennych w roku 1945. Posiedzieliśmy na niej przez dłuższą chwilę, a ciocia wspominając różne sprawy z przeszłości zapytała o mego męża. Powiedziałam, że wrócimy tu oboje po dwóch tygodniach wprost z Torunia. Otworzyłam górne okienko. Alfons krzątał się przy pasiekach. Droga, na bosaka brnął w piasku jakiś wędrowiec z zarużonymi przez ramię butami. A że był to człowiek nieznan, z cudzej parafii, Ludzie powychodzili z chat i przypatrywali się jemu dopóki nie znikł w lesie. A gdy słońce już wisiało nad jeziorem, sąsiad Rekowski chodził po swoim ogrodzie, zbierał kamyczki i oglądał je. Te, które w promieniach zachodzącego słońca świeciły się niby diamenty, chował do kieszeni. A zachód słońca był złoty i czysty. Zapowiadała się długotrwała pogoda. Z górnego okienka patrzyłam też na moje górzyste pola i lasy, które opuszczałam. Był to mój ostatni panieński wieczór w domu rodzinnym.

Gospodini w Tzewie przyjęła mnie serdecznie. Zaprowadziła do modystki, która przygotowała mi wianek z welonem i poprawiła kupioną suknię. Nazajutrz rano, w dniu ślubu, pomogła mi się ubrać. Byłam już gotowa, minęła godzina 9-ta a mąż się

nie zjawiał. Nie chciałam usiąść. Stałam na środku pokoju ubrana na biało i razem z gospodynią nie-pokoiliśmy się tym bardziej, że czarna limuzyna Sokołowskiego już czekała przed domem. Stałyśmy, tak przez chwilę, a gospodyni przepowiadała, że to nie-dobra wróżba — tak czekać będę codziennie na męża przez całe życie.

Pamiętam, że w tym dniu Wszystko odbywało się w pośpiechu. Po akcie ślubu i lampce wina w restauracji we czworo, pędem jechaliśmy do domu, a przebrawszy się, spieszyliśmy znów na dworzec. W Poznaniu okazało się, że pociąg przybył z opóźnieniem i ledwo zdążyliśmy się w hotelu zameldować, znów pędziliśmy do teatru.

Gospodyni niecierpliwie wyglądała przez okno na ulicę. Co chwilę drzwi się otwierały, ale to przychodzili pocztowcy z telegramami. Ja już ze zdenerwowania dostawałam lekkich dreszczy, kiedy do pokoju wpadł zdyszany mąż z bukietem w rękę. Okazało

się, że właśnie na ten bukiet czekać musiał w kwiatarni. Pani domu zdziwiona, że jeszcze nie jesteśmy z sobą na „ty”, czym prędzej przeżegnała nas święconą wodą i odjechaliśmy do kościoła. Było już grubo po 9-tej.

Rotmistrz Sokołowski z drugim świadkiem oraz ks. Steinem oglądali stare zewnętrzne mury zabytkowego kościoła Sw. Krzyża w Tczewie.

— No, dzieci! — zawołał basem na całe gardło Sokołowski. — Czekaliśmy na was.

Weszliśmy do chłodnej świątyni i, jak młode się zdawało, zbyt spieszenie zbliżyliśmy się do głównego ołtarza i zbyt głośno zabrzmiały organy, bo aż się wstrząsnęłam. Po wysłuchaniu krótkiego przemówienia kapłana, klęcząc ze wzruszeniem powtarzałam słowa przysięgi: — ...Ślubuję ci wierność, miłość i nie opuszczę cię aż do śmierci...

Koniec

# Z Riwiery do wolnego Rzymu

Franciszek Rutkowski

## NA RIWIERZE

Na dworcu poinformowano mnie, że OT — Leitstelle znajduje się nad Jeziorem Garda, dokąd udałem się autobusem. Tam otrzymałem bilet do Verazze. Wiosna była w pełni. Wspaniały nadjeziorny krajobraz barwiony kwitnące brzoskwinie. Później, kiedy jechałem już pociągiem nie mogłem oczu oderwać od widoku za oknem.

W Genui spotkałem, znajomego mi jeszcze z Rygi, Niemca Roeselera, od którego dowiedziałem się, że nasza jednostka, stacjonuje w Savona. I rzeczywiście w koszarach znalazłem całą naszą grupę, a więc Fichtnera, który był tutaj kierownikiem i bliskich mi ludzi Wacka Pawlaka, co mnie najbardziej ucieszyło, Krzezińskiego, Bronisława Krefta i wielu innych. Po kilku dniach zostałem pomocnikiem magazyniera w Albissola, pięknej miejscowości nad morzem. Razem z Pawlakiem i jakimś Niemcem zamieszkałszy w hotelu „Wanda”. W niedzielę 16-tego czerwca wybraliśmy się z Wackiem do San Remo, miasteczka rozlokowanego na galeriach wykutych w skałach. Na ścianie pewnej willi zauważyliśmy tabliczkę z napisem, że tu mieszkał Ignacy Kraszewski. Jakoś miło nam to było stwierdzić.

Niemcy spodziewali się desantu od strony morza, więc „nasza” firma budowała od tej strony bunkry. Często nad Albissolą pojawiały się alianckie samoloty zwiadowcze, ale któregoś dnia był nalot bombowców. Schroniłem się wraz z innymi w wykutym w zboczu schronie. Kiedy po nalocie wyszedłem z tej sztolni miałem wrażenie, że całe miasto leży w gruzach, kurz i pył przesłaniał wszystko. Kiedy pył opadł stwierdziłem, że miasteczko wcale nie ucierpiało, chmury dymu i kurzu pochodziły z Monte Cepucini, na której szczycie budowano bunkier. Jedną z bomb przebiła tunel kolejowy, gdzie pracowali nasi robotnicy. Było kilku zabitych, głównie Włochów. Następnego dnia jechaliśmy do Romano. W drodze zaatakował nas aliancki samolot. Zeskakując z wozu zwichnąłem nogę i musiałem udać się przygodnym środkiem lokomocji do Mediolanu. W szpitalu spędziłem blisko dwa tygodnie, pod czułą opieką siostry zakonnej Swinarskiej, która pochodziła gdzieś spod Lubawy. Dzięki jej interwencji miałem

wspaniałą opiekę lekarską i znaczną prolongatę kuracji. Czas spędzałem na hojnie dostarczanej mi lekturze, między innymi i „Boskiej Komedii” Dantego, którą nabyłem w Mediolanie.

W kilka dni po moim przyjeździe do Romano opuściliśmy to miasteczko w wielkim deszczu, przenosząc się do Mede. W Voghera dołączyli do nas trzej Włosi, dwaj studenci z Turynu i majster drogowy Ugolini, którzy otrzymali przydział do naszej grupy. Szczególnie utkwiał mi w pamięci Ugolini, którego nazwisko skojarzyło mi się z nie-szczęsnym Ugolino z XXXIII pieśni Dantego, a to z powodu przekleństw, jakich przedtem nie byłem nawet w stanie sobie wyobrazić. Ten stary wyga, wiele lat spędził gdzieś w afrykańskich koloniach włoskich, mimo przekleństw, był wspaniałym towarzyszem. Z humorem twierdził, że ma już przygotowane miejsce w którymś lam kręgu piekła.

W Mede odkomenderowano nas do Mezzana Bigli, gdzie wkrótce zdobyłem wielu przyjaciół. Szczególnie sympatyczna była rodzina Mariani, u której byłem zakwaterowany. Dziadek, patriarcha z jakąś przyjemnością rozmawiał ze mną, a jego małeletnie wnuczki, Anemarie, Katarzyna i Emilia bardzo się o mnie troszczyły. Moja torba była czarodziejska, nigdy nie ubywało z niej owoców. Wspaniali ludzie. Ubodzy, ale o złotych sercach.

W dniu, w którym wracaliśmy do Mede spadł śnieg. Słońce właśnie wschodziło i w jego czerwonych promieniach stosunkowo wysokie, białe wiejskie domy do połowy zanurzone w opadającej mgłę wyglądały jak góry lodowe na oceanie.

W Mede prawie codziennie miałem gości z Mezzano i to z prezentami, owocami i ciastem, że aż mi było przykro, a szwabi zaczęli na mnie patrzeć podejrzliwie.

Niemcy z naszej grupy wyjeżdżali na kurs wojskowy. Schachtmeister Rudel oświadczył mi, że ja także muszę pojechać. Z jakiej racji? Przecież Auslanderów to nie dotyczy? Wacek nie jechał, Janczak też, nawet nasi dwaj Hiszpanie byli z tego wyłączeni, a więc czemu ja? Odmówiłem. Szwab zezłościł się i stawił mnie do raportu przed Frontführerem von Klommmhaus. Ten z początku ry-

cząć na mnie, jak to Niemcy potrafili, ale w końcu jednak udzielił mi głosu, abym uzasadnił odmowę. Wyjaśniłem, że jestem Polakiem, nie korzystam z praw volksdeutschów i w razie czego nie mogę walczyć przeciw moim braciom, czy sprzymierzeńcom. Wystuchał mnie ciepłowie i ku memu zdumieniu powiedział, że rozumie ludzi z Pomorza, którego historyczne dzieje były tak zmienne i różnorodne. Podeszedł do mnie, uściśnięt mi rękę i kazał odmaszerować. Sprawa więc była wygrana. Rudel wściekły stał jak zmyty pies. Przez te kilka dni nieobecności Niemców gospodarzyliśmy po swojemu. Kiedyś pewnego wieczoru wracali z hotelu „Italia”, nasz współtowarzysz Janczak potknął się na bruku i zawołał „Diabla Italia! Doprawdy Pan Jezus tu ni miał letko”.

Po powrocie z kursu naszej niemieckiej grupy nadszedł rozkaz przeprowadzki, tym razem do Casale. Kiedyśmy zbliżyli się do Padu opanowało nas przynębienie. W promieniu kilkuset metrów od mostu wszystko było straszkane od bomb. Samo miasto nie było piękne, a koszary dobyły nas do reszty. Ze zmartwienia poszliśmy wieczorem do teatru. Dawano „Paese delie campanelle”. Gra była słaba, ale zawsze rozrywka. Któregoś dnia w owym czasie zarządono alarm, bo partyzanci zjebili jakiegoś faszyzę, ale dla nas ważniejszy był inny fakt. Otóż Wackowi udało się poprzez jakiegoś agenta nawiązać kontakt z partyzantami. Powzięliśmy więc decyzję, którą dawno nosiliśmy w sobie. Spakowałem zbędny, obciążający bagaż, przede wszystkim książki i potajemnie oddałem go na przechowanie zaufanemu Włochowi. Czekaliśmy tylko na dogodną okazję, by zmienić naszą drogę życiową.

## WŚRÓD GARIBALDCZYKÓW

Wszystko układało się dobrze. Następnego dnia z polecenia Wujka pojechać miałem do Mede, a Wacek na jakiś miesiąc na Padzie. Powiadomiliśmy łącznika partyzantów. Wczesnym rankiem ruszyliśmy na służbowych rowerach w drogę. Było ciemno i mgliście. Kiedyśmy się zbliżali do Padu poranna mgła zgęstniała. Wjechaliśmy na most bardzo ostrożnie, gdyż znajdował się w naprawie. Rzeki nie było widać. Ostrożnie, wąskimi kładkami posuwaliśmy się naprzód. Przejchawszy most, zatrzymaliśmy się przed skromną gospodą. Lekkie stuknięcie w okno i ostrożnie rozwarły się drzwi. Weszliśmy przez sień do małego pokoiku, gdzie powitał nas gospodarz i przedstawił nam przewodnika. Wypiliśmy po wermucie i nasz przewodnik, którego fizjognomia nie budziła zbytniego zaufania, dał znak, że czas w drogę. Dopiero gdzieś po dwóch godzinach, kiedyśmy zoczyli z szosy w pełną drogę, zaczęło świtać. Teren wydawał się bezludny. Gdzieś tam rosły drzewa i krzewy, ale i te znikły, kiedyśmy zataczając wielki łuk, znów zbliżyli się do rzeki. Nareszcie stanęliśmy nad korytem Padu. Do brzegu dobijał właśnie prom, na który czekało mnóstwo ludzi. Na nasz widok cofnęli się wszyscy i weszliśmy na prom jako pierwsi. Przewodnik zapewnił nas, że najgorsze jest już po nami, gdyż tereny po tamtej stronie rzeki są kontrolowane przez partyzantów. Nareszcie i przeciwległy brzeg. Daliśmy naszemu Charonowi napiwek, a jego zdzwione oczy zdawały się pytać: „Czy jesteście jeńcami partyzantów, czy zbiegami z wojska?”.

Już w szybszym tempie przejechaliśmy jakąś wioskę i po chwili znaleźliśmy się u podnóża wyrosłych nagle gór. Wjechaliśmy w ciemny jar. Po pewnym czasie zatrzymał nas głos wartownika z posterunku na stoku. Przewodnik zamienił z nim kilka zdań w dialekcie i ruszyliśmy już pieszo stromą drogą, aż doszliśmy do jakiejś wsi. Zatrzymaliśmy się przed budynkiem komendantury grupy partyzanckiej. W izbie zostaliśmy przedstawieni komisarzowi, starszemu już mężczyźnie w ubraniu cywilnym. Po spisaniu niezbędnych formalności wybraliśmy sobie pseudonimy, Pawlak – Walter, ja – Fronc. Następnie komendant brygady zaprowadził nas do znajdującego się na zboczu obozu – distaccamento. Komisarzem politycznym naszej grupy był student filologii, zwany Mister, a komendantem student architektury z Torino – Piave. Otrzymaliśmy broń i trzykolorowe wstążeczki, które przypięliśmy do bluzy. Nasza grupa była bardzo barwna. Większość nosiła czerwone koszule lub pulowery, czerwone berety, albo inny drobiaż w kolorze czerwonym. Wierzchnim ubraniem była bluza lub płaszcz koloru khaki.

Minęło kilka tygodni. Na świecie dużo się zmieniło, ale nie nadchodził upragniony koniec wojny. Dużo nadziei wiązaliśmy z włoską ofensywą. Zginęło kilku garibaldczyków, były kilka razy alarmy, ale obywało się bez większych potyczek. Trzy strzały w nocy lub wczesnym rankiem wprawiały w ruch wszystkie grupy, każdy chwycił za broń. W tych godzinach alarmu byliśmy wszyscy przedwznie zjednoczeni. Najczęściej jednak alarmy i przyjazdy republikanów miały miejsce o świcie. Chłód przejmował wtedy ciało do szpiku kości, oczy usiwowały przebiec poranne ciemności, a ucho uchwycić najmniejszy szelest.

Którejś nocy miałem wartę. Długo patrzyłem na Wielki Wóz. Stał gotowy do drogi na niebieskim dziedzińcu z dyszlem skierowanym na północ. Wystarczyło pójść przy tym dyszlu i dojść na własne podwórce.

W marcu stoczyliśmy zaciętą bitwę z oddziałami Brygada Nera w pobliżu Casalino. Byli ranni i zabici. Następnie utarczka z kolumną niemiecką miała miejsce niewiele dni potem, przy szosie Turyn – Mediolan, w pobliżu miejscowości Pontestura. Brygada nasza wzięła do niewoli kilku Niemców, których dowództwo naszej dywizji wymieniło na wziętych do niewoli garibaldczyków.

Któregoś wieczoru dowództwo, przewidując marsz na Casale, nakazało nam trzymać się w pobliżu distaccamento. Zebraliśmy się więc wszyscy na bajecznie kwiecistej łące i czekaliśmy. Ponieważ do północy żaden rozkaz nie nadszedł, wróciliśmy na kwatery. Noc była piękna, więc siedzieliśmy sobie przed domem i palili papierosy, gdy nagle rozległ się głos dzwonów z pobliskiego kościołka. Głos dzwonów w dolinie i o tej porze? Czyżby wieściły światu pokój? Przypuszczaliśmy, że może zajęto Berlin. Tymczasem dzwony rozkotysały się na dobre. Zbiegliśmy w dół do wioski, by się dowiedzieć o co chodzi, a tymczasem ludzie pytali, nas o to sama Wreszcie dowiedzieliśmy się o przyczynie tego poruszenia. Otóż partyzanci wyzwolili i zajęli szereg miejscowości w Piemontcie. Dzwony więc obwieszczały światu, choć może nieco przedwcześnie, że Manfredato jest wolne. Wysłane sztafety przyniosły wieść, że głosy dzwonów dobywają się ze wszystkich dolin i łączą się na szczytach gór w zgodny akord: „Manfredato jest wolne!” Na placu wsi zebrała się cała ludność. Rzucali się sobie w ramiona, całowali i płakali ze szczęścia, a dzwony biły bez ustanku. Rankiem przyszedł rozkaz, że mamy pojechać do Casale i je zająć. Zrobił się ruch. Za chwilę podjechały po nas samochody.

## KAPITULACJA NIEMIECKIEJ GRUPY ARMII C

Był to wielki triumfalny przejazd, ze wszystkich naszych wozów brzmiała radośnie pieśń „Avanti populo alla ribossa, bandiera rossa, bandiera rossa...”. W tym okresie we Włoszech wszystkie grupy partyzanckie mimo różnego zabarwienia politycznego zgodnie walczyły z wspólnym wrogiem i ten dzień j następnie były ukoronowaniem ich wysiłków, ofiar i walki. Tego dnia byliśmy zarzućeni kwiatami.

W Casale wjechaliśmy najpierw na zamek. Za chwilę sprowadzono tu grupę niemieckich żołnierzy i rozbrajano ich. Nieco później nadeszła pod partyzancką eskortą cała znana mi grupa z Organizacji Todt. Na polecenie dowództwa Pawlak i ja musieliśmy wyselekcjonować Niemców i Polaków. Wśród obecnych jednak nie było ani naszego Truppführera Fichtnera, polakożercy Rhodoga, ani Frontführera von Klommlhausa, któremu chciałem się zrewanżować jakimś wspaniałomyślnym c dopuszczalnym gestem. Przed poddaniem się grupy popełnił samobójstwo. Pierwsi dwaj podobno nie wrócili z urlopow. Sądzę raczej, że z tych urlopow nie próbowali wrócić.

Tymczasem na placu zrobiło się zamieszanie. Wybuchł granat przez kogoś rzucony. Jednemu z naszych ludzi wyphnęły prawie wszystkie wewnętrzności, inny miał bardzo pokaleczone nogi. Rannych było więcej. Dopiero po chwili dowiedziałem się od Wacka, że i on jest ranny w nogę. Na szczęście niegroźnie. Nosił wyskide buty j to może zmniejszyło siłę uderzenia. Miał parę odłamków w nodze i też musiał udać się do szpitala.

Silna i dosyć dobrze uzbrojona grupa faszystów włoskich i Niemców znajdowała się jeszcze w tzw. inspektoracie i nie chciała się poddać. Szczególnie bali się faszyci. Ich parlamentariusze prosili o zawieszenie broni do

godz. 9 wieczór. Zgodzono się na to. Jo zaś i kilku towarzyszy otrzymaliśmy nakaz udania się do Casalino i przywiezienia pare ciężkich karabinów maszynowych. W Casalino tymczasem utworzono coś w rodzaju sądu wojennego, który urzędował w bytej siedzibie naszego dowódcy. Co chwilę wyprowadzano kogoś z domu, a odgłos strzałów mówił, jaki zapadł wyrok. Po niespokojnej nocy, której ciszę przerywały wystrzały egzekucji, wczesnym rankiem ruszyliśmy z powrotem do Casale

Tu okazało się, że grupa, która zamknęła się w inspektoracie, poprosiła o prolongowanie rozejmu do 9 rano, na co wyrażono zgodę. We wczesnych godzinach rannych nasza grupa zajęła miejsce na jednym z rogów placu, ustawiła tam ckm i czekała na godzinę dziewiątą. Było chłodno. Nagle podbiegła do mnie mała dziewczynka, prosząc mnie na kawę. Odmówiłem, jednak prawie równocześnie jakiś jegomość wciągnął mnie do swego mieszkania na filiżankę kawy i świeże bułeczki. Gospodyni zaczęła mnie wypytywać: kim jestem, skąd itd. Nagle na ulicy rozległy się strzały, potem całe serie. Wybiegłem zaniepokojony, ale w bramie już jakiś młodzik uspokoił mnie, że to strzelają na wiwat, gdyż nadeszła wieść, że partyzanci zajęli Mediolan. I znowu jak przed dwoma dniami w Casalino ludzie szaleli z radości, rzucali się sobie w objęcia, wielu płakało ze szczęścia. W tym momencie radości podeszła do mnie szczipa panienczka w niebieskiej sukience zapytując, czy nie zechciałbym w ten pamiętny dzień przyjść do jej domu na obiad. Jej mamusia i ona byłyby z tego niezmiernie rade. Stanąłem zakłopotany i spojrzałem na zegarek. Godzina była wczesna i do obiadu jeszcze daleko. „Dobrze, ale o której mam przyjść, jeśli mi okoliczności pozwolą?”. „O pół do pierwszej, jeśli można, bardzo prosimy” – odrzekła i podała mi swój adres. Miała w oczach coś urzekającego, że nie mogłem odmówić.

Tymczasem moi koledzy odsuwali na bok ludność cywilną, gdyż nadjechali parlamentariusze. Wziąłem zatem i ja delikatnie za ramię moją nowo poznana sympatię i odprowadziłem do bramy. Uśmiechając się skinęła mi ręką, co mogło znaczyć, a więc do zobaczenia.

Parlamentariusze przyjechali omówić warunki poddania się. Jakie to mogły być warunki? Bezwzględna kapitulacja i tyle! Odjechali. Huk wystrzałów na mieście jeszcze nie ustał. Po mniej więcej godzinie, zatrzępotała nad inspektoratem biała chorągiew. Wtedy całe miasto ogarnął szal radości. Otwierały się bramy i okna wszystkich domów, o z nich wychylały się rozradowane twarze. Zatrzępotały trzykolorowe flagi na domach i samochodach. Podzielałem tę powszechną radość, byłem teraz doprawdy zupełnie wolny.

Na przyrzeczony jednak obiad o oznaczonej godzinie pójść nie mogłem. Byłem zbyt zajęty, a poza tym zostałem zaproszony przez komendanta brygady na uroczysty obiad do hotelu „Milano”. Strasznie mi było brak w tych radosnych chwilach Wocka, a przypuszczałem, że również jemu musiało być w szpitalu smutno, więc wyrwałem się na chwilę, aby go odwiedzić. Na szczęście rana nie było groźna, co mnie uspokoiło.

Do zaproszonego domu poszedłem dopiero pod wieczór. Byłem tam później jeszcze kilka razy. Ostatni raz trzeciego maja.

Pierwszą noc w wolnym Casale spędziłem w hotelu „Milano”, gdzie po długim czasie spałem jak król. Następnego dnia moja brygada zakwaterowała się w czernych, poartyleryjskich koszarach. Zastaliśmy tam niesamowity bałagan, który stopniowo uporządkowaliśmy. Życie w koszarach to nie dla nas! – wyrwało się z niejednej piersi przyzwyczajonej do swobody i nieograniczonej przestrzeni. Choć nie brakowało nam niczego, nawet fryzjerzy strzygli i golili nas gratisowo, a wino znajdowało się teraz nagle w każdym domu, ale...

## W APULII

Nie byliśmy z Wackiem zainteresowani rozrachunkami wewnętrznymi Włochów. Mieliśmy ponadto własne plany. Dusiła nas tęsknota za domem, a wydawało się, że teraz będzie możliwy powrót do Ojczyzny. Ruszyliśmy więc wczesnym rankiem, zdaje się 7-mego maja 1945 r., na pożyczonych rowerach do Mediolanu, niby po informację, ale właściwie w przekonaniu, że już nie wrócimy. Przeje-

chaliśmy Mortarę i dopiero w Voghera zatrzymał nas jakiś partyzant. Kiedyś mu pokazał nasze partyzanckie legitymacje, zasalutował pięścią, przeprosił i znikł. O godzinie 11-tej stanęliśmy w Mediolanie. Było święto (zdaje się Wniebowstąpienia) i biura aliantów były nieczynne. Oddaliśmy rowery do przechowania na stacji i poszliśmy oglądać wyzwolone miasto. Zaszliśmy również do katedry. Owiato nas w to gorące południe chłodne wnętrze starej budowli. Katedra zbudowana z białego marmuru jest równie piękna zewnątrz jak i wewnątrz, tysiące kolumniek, wieżyczek, baldachimów i figur.

Niebawem natknęliśmy się na placu na kolumnę samochodów. Byli to żołnierze polscy z 2-go Korpusu. Uściski nie miały końca. Umówiliśmy się na spotkanie wieczorem. Wieczorem, przy wermucie, opowiedzieli nam dzieje 2-go Korpusu, swego tułactwa. Ich zdaniem nasz powrót do Polski był jeszcze niemożliwy. Radzili nam poczekać aż się trochę wszystko ustabilizuje. Nasza radość zmieniła się w cichą rezygnację. Nazajutrz spotkaliśmy się z polskimi oficerami, którzy radzili nam podobnie i zaproponowali wspólny wyjazd na południe. Zdecydowaliśmy się i ruszyliśmy z nimi w kierunku Bolonii. Dzień był piękny. Wkrótce przejechaliśmy Pad, miniliśmy Piacenzę i dotarliśmy do wzgórz, wśród których leży Bolonia. Wszędzie widziało się znaki wojny i coraz więcej naszych żołnierzy! Pod wieczór stanęliśmy na polskiej placówce w Castello S. Pietro. Po dobrej kolacji i odśpiewaniu po tylu latach „Wszystkie nasze dzienne sprawy...” poszliśmy spać z chaosem w głowie.

Nazajutrz 13 maja pojechaliśmy wszyscy na mszę polową. Miło było popatrzeć na nasze oddziały, dobrze ubrane i słyszeć polskie pieśni kościelne w wykonaniu orkiestry wojskowej i usłyszeć po polsku ewangelię. Po południu przyjechały po nas samochody, by powieźć nas dalej. Przebiekiwano, że ze względów formalnych będziemy musieli przejść kwarantannę. Trzeba sprawdzić przeszłość i dokumenty różnych ludzi, którzy zgłaszają się do polskich oddziałów, zdać niemieckie graty i przejść badania sanitarne. Ciężarówka zawiozła nas do Forli. Tu kazano nam wysiąść i ku naszemu zdziwieniu zaprowadzono nas do obozu jeńców. Szkot przeprowadził rewizję osobistą. Po kilku godzinach zjawił się polski oficer łącznikowy i przeprowadził nas do polskiego obozu. Za dwa dni przyjechały po nas wozy 2-go Korpusu i ruszyliśmy dalej, na południe. Jechaliśmy wzdłuż Adriatyku, wśród drzew i ogrodów oliwnych i przez miasteczka z wąskimi, brudnymi uliczkami. Nocą stanęliśmy w Tivoli. Nazajutrz przejechaliśmy przez Bari i pod wieczór stanęliśmy w polskim obozie przejściowym „Jolanta”, położonym na skalistej płaszczyźnie w grupie drzew oliwnych. Przeszedłszy gruntowną dezynfekcję, otrzymaliśmy żołnierskie mundury i zżyliśmy się z widokiem odczynku. Od czasu do czasu miały miejsce pogadanki, a pod koniec nawet rekolekcje. Pewnego jednak dnia zaczęto przydzielać nas do formacji. Mnie wybrał mjr Kirchmeyer do swego oddziału żandarmerii. W dzień później samochód zawiózł nas do Arnessano, małego południowego miasteczka, gdzie była nasza kwatera. Z Wackiem po tak długiej wspólnej wódcze musiałem się rozstać. W Arnessano spędziłem 10 tygodni.

Dni wypełniała nam nauka regulaminów, prawa i kryminalistyki, nauka o broni i musztra. Dokuczały nam straszne upały. W czasie musztry pot zalewał oczy. Kiedy więc była przerwa uciekaliśmy pod drzewa oliwne, w ich skąpe cienie. W czasie żaru liście drzewa ustawiają się pionowo do słońca. Wylewaliśmy z hełmów pot i ciężko dysząc łapaliśmy rozgrzane powietrze, które zdawało się parzyć nozdrza i płuca.

19 lipca poszedłem wieczorem za miasto i usiadłem za ogrodem oliwnym, przy winnicy. Wówczas podszedł do mnie jakiś Włoch, poczęstował śliwkami i rozpoczął rozmowę, a mnie tak nie chciało się rozmawiać. Po chwili przybiegły dwie dziewczynki, może jego wnuczki i poczęstowały mnie jeżynami. Ile lat nie jadłem tego owocu? Przypomniła mi się z czasów dzieciństwa łąka nad jeziorem, na skraju której rosło tyle tych krzewów.

Dowiedziałem się, że w Aiessano przebywa Wacek. Pojechałem do tego miasteczka, położonego na samym końcu napiętka włoskiego buta. Moje informacje były jednak błędne. Nie zastałem go tam. Po drodze zwiedziłem Lecce i wróciłem wieczorem. Tu dowiedziałem się, że za kilka dni zmieniamy miejsce pobytu. Kurs trwał zatem od 4 lipca do 4 sierpnia, plus tydzień przygotowawczy, razem 10 tygodni.

Po trzech dniach podróży stanęliśmy w Urbino. Do miasta otoczonego murem i ozdobionego malowniczym zamkiem zjeżdżaliśmy stromą serpentyną. Na tych drogach mieliśmy się uczyć jazdy na motocyklu. Miasteczko sympatyczne, z własnym uniwersytetem. Czekając na kurs, którego jak się później okazało nie było. Musiałem poświęcić nasz pluton w mustrze aż do czasu opuszczenia Urbino. Naszym nowym miejscem postoju był pałac położony 152 m nad poziomem morza\* nie opodal Porto di Potenza Picena. Przez sześć tygodni kursu była teoria. Praktyka wynikała dość nieoczekiwanie. W nocy zbiegli dwaj więźniowie i trzeba było urządzić pościg. W kilka dni później otrzymałem list od przyjaciela z lat szkolnych Franciszka Żbika, jak się okazało studenta teologii Seminarium Duchownego w Rzymie. Nareszcie odezwał się ktoś mi bliski.

Sprawa moich studiów zdawała się być realna. Z dowództwa zażądano opinii o mnie. Nareszcie też odbyć się miał odroczone kursy motorowe. Kupiłem kilka książek i na wrażliwym zacząłem się uczyć włoskiego.

W dzień wolny od zajęć wybraliśmy się całą paczką do Loreto, którego atrakcją jest Domek **Nazaretański**. Według legendy został on **przyniesiony** tu przez aniołów, kiedy Turcy zajęli Ziemię Świętą. Domek zbudowany ze zwyczajnej wypalanej cegły, na zewnątrz obudowany jest marmurem. Wygląda jakby wstawiono go do szafy ozdobionej bogato posągami i reliefami. To jest ponoć dzieło Bramante'go. Nad nim wznosi się potężny kościół gotycki z XV w.

Zamiast na kursy motorowe wysłano nas na kurs uzupełniający żandarmii anielskiej do Senigallii. W dzień przed wyjazdem wezwał mnie do siebie sympatyczny por. Wierzbicki i zapoznał mnie z opinią, jaką mi wystawił. Myśl o studiach dodawała mi siłę i otuchy. Na kursie, prowadzonym przez Anglików, panował straszny dryl. Kurs ukończyliśmy 15 grudnia i po dwóch dniach znaleźliśmy się znowu w Urbino. Na szczęście nie zatrzymaliśmy się tu długo. W przeddzień wigilii Bożego Narodzenia nasza grupa wyjechała na kurs psów policyjnych. Pocieszano nas, że kursy motorowe wcześniejsze zdołamy odbyć, a teraz jest okazja skończenia tak specjalistycznego kursu, który nam, żandarmom na pewno się przyda.

W samą wigilię zebraliśmy się o godz. 5-lej w świetlicy na wspólną wieczerzę. Było nam trochę smutno i spotkanie nasze specjalnie się nie przeciągnęło. Po odśpiewaniu kilku kolęd niektórzy poszli z opłatkiem i keksem do swych psów, inni rozeszli się na kwatery.

15 lutego nadszedł rozkaz, że 17 mam wyjechać przez Anconę, gdzie jest punkt zbiorczy, na studia do Rzymu. Zatem zamknąłem 9-miesięczny okres wojskowego życia, spędzony na różnych szkoleniach i kursach. W przeddzień wyjazdu poszedłem pożegnać się z moją ulubienicą Matką. Byłem w tym oddziale od 23 grudnia, ale tego nie żałowałem. Pierwszego dnia psy powitały mnie ujadaniem, jednak już następnego większość z nich przychylnie merdała ogonami. Najpierw przydzielono mi obrzucanie, piaskową wilczyce. Frou, której przewodnik był w szpitalu. Ten, kto nadał jej to imię (a kto, łatwo zgadnąć) dobrze znał jej temperament. Szła przy mnie, a właściwie ja przy niej. Powolna, z pewną pogardą w mądrych ślepiach, które zdawały się mówić: „Co ty tam wiesz”. Przywykła do mnie szybko, ale kiedy tylko wrócił jej przewodnik, już tylko tolerowała moją obecność. Wtedy przydzielono mi bezpieczeństwa bokserkę, właśnie Matkę, już z angielskiej szkoły. Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy w klatce, wydała mi się ucieleśnieniem brzydoty. Wkrótce jednak miałem się przekonać, jak względne jest pojęcie piękna. Uważałem ją później za najpiękniejszą z całej psiarni. Kiedy zawołałem „Matka, lei!”, kładła się posłusznie jak żaba, a cały oddział wybuchał śmiechem, była jego pieszczoszką. Elegancko robiła przeszkody, jak miała na to ochotę. Jej radość z naszych rannych spotkań udzielała się i mnie. Odchodząc po raz ostatni od klatki, odwróciłem się kilka razy. Jej wzrok śledził mnie nieustannie, a mordka wyrażała głębokie wzruszenie. Doleciał mnie cichy skowyt żalu, skargi czy pożegnania.

Wieczorem odbyło się towarzyskie spotkanie. Rano więc był kłopot z odjazdem. Wreszcie kierowca Chrościel, choć niewyspany, zdecydował się odwiedzić mnie do Ancony. Jechał ostrożnie, co nie było w jego zwyczaju, a jednak mimo to przed Loreto zawadził karoserią o drzewo. Na szczęście zabrał mnie do Ancony mijający nas inny wojskowy samochód.

Punktualnie o godz. 8.15 wyruszyliśmy do Rzymu. Szosa witała się zygzakami wśród gór o gołych zboczach albo porośniętych jakąś roślinnością. Gdzieś w późnych godzinach popołudniowych osiągnęliśmy Kampanię z charakterystycznymi dla niej krajoznacznymi piniami. Nareszcie wyłoniła się panorama wiecznego miasta. Roma – w tym krótkim wyrazie zawiera się historia wielu narodów i olbrzymiego imperium, wspaniałej kultury i wielkiej religii, i mojej wówczas nadziei.

# Wspomnienia z wojny<sup>141</sup>

Alfons Filip

## PRZEPROWADZKA Z CZARNEGO DO KWIDZYNA

Roboty ze sprawami organizacji było dużo i przybawało coraz więcej. Do tej pory robiłem to chaotycznie a należało- uporządkować.

Przede wszystkim konieczne było utworzenie odpowiednich rejonów. W każdym rejonie należało wyznaczyć przedstawiciela organizacji, który by kierował powierzonym mu rejonem a szczególnie pomagał radą naszym ludziom. Poza tym w każdym rejonie, niezależnie od przedstawiciela czyli komendanta rejonu, towarzyszył mu również obserwator. Rola obserwatora miała polegać jedynie na obserwowaniu okolicy oraz komendanta danego rejonu. Tak zorganizowałem rejon Łasin. Komendantem został tu Antoni Karpiński z Szembruka, a obserwatorem Jan Kowal z Nogatu. Jeden o drugim nie wiedział.

Aby właściwie prowadzić całą organizację trzeba było się więcej ruszać. Każdą niedzielę musiałem wykorzystywać na wyjazd. W Czarnem takich warunków

nie miałem, tu wszyscy mnie znali. Przed przyjęciem kierownictwa organizacji rozmawiałem w młynie z Polakami z niedużego obszaru, z iluś tam wsi. Wyслуchiwałem wszystkich nowin. Teraz to nie wystarczyło.

A Draht i mój żandarm stawali się coraz więcej podejrzliwi. Jeśli wróciłem z wyjazdu późno wieczorem to na drugi dzień pytali się gdzie byłem. Wracając, zachowywałem się cicho, żeby nikomu mnie nie słyszało, jednak NDraht zawsze wiedział o której godzinie wróciłem i niby to po przyjacielsku radził mi, żebym nie chodził wieczorami, bo gdy napotka mnie Laidwache (straż ludowa) będą miał nieprzyjemności.

Do Kwidzyna jeździłem tylko w te niedziele, w które odbywały się nabożeństwa dla Polaków, to znaczy raz w miesiącu, w pierwszą niedzielę. Z Kwidzyna wracałem pociągiem popołudniowym, aby nie wzbudzić podejrzeń. (W tym czasie była trasa kolejowa Kwidzyn—Kisielice i dalej szła do Biskupca. Na tej trasie była stacja Rozajny, odległa od Czarnego

3 kilometry. Teraz tej trasy nie ma, została w 1945 roku rozebrana). Gdy jechałem do Wawrowic na spotkanie z Florkiem, to już przed/tern meldowałem Drahtowi, że w niedzielę chcę jechać do starej znajomej. Draht naturalnie godził się na taki mój wyjazd, bo, jak mówił z uśmiechem, każdy musi się rozerwać.

Jednak na dalszą metę było to niemożliwe. Miałem do wyboru albo zaniechać energicznego prowadzenia organizacji w rozmiarach w jakich się podjąłem i żyć spokojnie u Drahta, gdzie miałem ciężką pracę, ale za to jakie takie koryto, albo przenieść się do Kwidzyna i prowadzić organizację właściwie. Wybrałem to drugie. Gdybym został w Czarnem, byłbym całkowicie obezwładniony. Poza tym Draht projektował zaangażować na miejsce Kazi księgową, Niemkę. Przy takim obrocie sprawy nie mogłbym w młynie za wiele rozmawiać z naszymi Polakami, a także im pomagać, kiedy w kantorze byłaby Niemka.

Aby wydostać się od Drahta i przenieść się do Kwidzyna, musiałem obmyśleć dobry i pewny sposób. W Ozarnem, u Drahta, jak również u ich wójta zameldowany byłem jako Geselle, czeladnik, ale bez zawodu o który mnie nie pytano, a ja też im nie mówiłem. Teraz chciałem to wykorzystać. Ale jeszcze musiał mi szkodzić pył młyński. W czerwcu 1943 roku zacząłem sobie smarować spojówki oczu sokiem z fajki. Skok z łaski to chyba jedyny sposób na wywołanie choroby oczu, bo gdy raz zalałem oczy sokiem z cebuli to chyba nie dłużej niż po godzinie oczy pięknie mi zbieleły i nie było śladu po chorobie.

Po czterech, może sześciu tygodniach ocznej choroby, Draht łaskawie wysłał mnie do lekarza do Kwidzyna. Wysyłając dał mi w zapieczętowanej kopercie list do lekarza. W tym liście Draht pisał „...ten Polak wcale nie ma chorych oczu, tylko udaje...” i prosił lekarza, aby mnie dobrze zbadał. Listu naturalnie lekarzowi nie dałem. Lekarz ogólny w Kwidzynie po zbadaniu posłał mnie do okulisty do Grudziądza. Draht dał mi znów list o tej samej treści. I tego listu nie oddałem. Okulista stwierdził chroniczne zapalenie spojówek i zastrzegł w opisie choroby, że nie mogę pracować w pyłe, np. w młynie. To mi wystarczyło. Draht po każdym moim powrocie pytał, czy lekarz nie dał dla niego listu i co mówił na jego list. Odpowiadałem jednakowo: „Owszem, dałem lekarzowi list, ale on po przeczytaniu rzucił go do kosza”.

Najgorsze miałem poza sobą. Został mi jeszcze Urząd Zatrudnienia i musiałem tak lawirować, aby dostać przeniesienie do Kwidzyna. Pomógł mi w tym jeden z moich ludzi, wspomniany już Zbigniew Czysz. Załatwił mi pracę w ślusarni, w której i on pracował. Właściciel ślusarni, jaś się nie mylił, nazywał się Bertram. Udało mi się tam Wkręcić, bo podałem się za czeladnika ślusarskiego. Zbigniew Czysz dał mi także mieszkanie. Miało ono wyjście na dwie ulice, co było mi bardzo na rękę. Do Kwidzyna przeprowadziłem się w połowie lipca 1943 roku.

Tutaj całkowicie zmieniłem postępowanie. O ile w młynie, w Czarnem, byłem normalnym, na ogół dość energicznym człowiekiem, w Kwidzynie na ulicy i w ślusarni stałem się niepozornym cfamajdą.

Nie przypuszczałem nawet, że to moje ciamajdostwo uratuje mnie przed wpadnięciem w ręce Gestapo. Zresztą przez cały czas okupacji miałem zawsze bardzo wiele szczęścia. To nie była moja mądrość, ani spryt, to było szczęście.

W tym mniej więcej czasie Draht zwolnił Kazię i zaangażował Niemkę. Kazia zaczęła pracować w piekarni w Kwidzynie; Czysz postarał się również o mieszkanie dla niej. Właścicielem piekarni gdzie pracowała Kazia był dawny działacz polonijny. Nazwiska tego piekarza nie pamiętam, może Klamer ale nie jestem pewny. Po dojściu Hitlera do władzy stary piekarz wycofał się z życia politycznego i przeistoczył się w poprawnego Niemca. Hitlerowcem nie był i po cichu sprzyjał Polakom.

Zabrałem się energicznie do pracy w organizacji. Możliwości miałem świetne. Praca w ślusarni trwała 10 godzin dziennie, o 17-tej kończyła się. Po

tej godzinie nikt nie patrzył gdzie i po co wychodzę oraz kiedy przychodzę. Przychodziło do mnie dużo Polaków jak również i ja wychodziłem. W niedzielę wychodziłem poza miasto na odległość nieraz 15 kilometrów dla nawiązania kontaktu z naszymi ludźmi. W wędrownkach po Kwidzynie i poza Kwidzyn pomagał mi trochę Zbigniew Czysz. Badałem teren, rozmawiałem z ludźmi, którzy nie budzili zastrzeżeń, zapraszałem do siebie. Teraz widziałem, że przejście do Kwidzyna usprawniło mi prowadzenie organizacji. Nasi Polacy z terenu, ze wsi, przyjeżdżali raz w miesiącu do kościoła i w tym czasie mogłem z nimi kontaktować się.

Szczególnie nabożeństwa dla Polaków pomagały w kontaktowaniu się z ludźmi z terenu, a wejście z dwu ulic do mojego mieszkania ułatwiała mi ukrywa nie spotkań.

Razu pewnego przyszło do mnie kilku ludzi z propozycją wstąpienia razem z nimi do tajnej organizacji. W toku rozmowy dowiedziałem się, że po Kwidzynie kręci się jakiś gość i werbuje ludzi. Ci, co przyszli do mnie byli bodajże hydraulikami. Widocznie pracując gdzieś na mieście rozmawiali z sobą po polsku, a ten drań-prowokator podsłuchiwał i przyczeplił się do nich. Muszę zaznaczyć, że ci ludzie nie byli zapaleńcami, ale mężczyznami w średnim wieku, koło 40-letni i zdawali się być roźważni. Niemniej musiałem być ostrożny. Oświadczyłem im, że nie mogę się do tej organizacji zapisać i również im tego nie radzę. Przekonałem ich, bo później dowiedziałem się od jednego z nich, że odmówili facetowi i mieli spokój.

Jednej niedzieli, w połowie sierpnia 1943 roku, pojechałem do Torunia do komendy korpusu. W tym dniu w komendzie byli też mój brat Adolf i Florek. Zdałem sprawę z działalności i dostałem polecenie: „Na ile możliwe wyjdź z działalności organizacji poza powiat Kwidzyn”. Komendant tłumaczył mi (zresztą sam to widziałem), że Polacy na terenach Niemiec zdani są na łaskę losu. A trzeba tych ludzi podtrzymać na duchu, szczególnie rozpowszechniając naszą gazetkę itd. Dostałem polecenie objąć działalnością powiaty Sztum, Malbork i Elbląg. Wydać polecenie było łatwiej, aniżeli wykonać je. Ale stopniowo miałem zamiar wykonać polecenie mi zadania.

## WPADKA

Przy końcu sierpnia 1943 r. słychać było między naszymi Polakami, że zakłady Schichau'a w Elblągu (obecnie Zamech) zbierają mężczyzn na tokarzy i spawaczy. W środę 1 września (te daty dokładnie pamiętam) dostałem wezwanie do Urzędu Zatrudnienia i tam też dali mi skierowanie do Schichau'a. Miałem jechać natychmiast. Ja jednak czekając na polecenie z komendy korpusu przeniesienia się do Elbląga — zaplanowałem wyjazd na poniedziałek 6 września. Od środy wieczór do niedzieli południa miałem odprawy z moimi podkomendnymi. W rozmowach ostrzegałem wszystkich przed prowokatorami, zabroniłem kontaktów z różnymi gadułami. Poza tym mówiłem moim ludziom, że prawdopodobnie przeniosę się do Schichau'a.

W niedzielę 5 września wysłałem Kazię do komendy korpusu do Torunia. Tam na dworcu czekała na nią szwagierka mojego brata, Kłodnicka. (Kłodniccy już nie żyją). Zabrała ona Kazię do siebie, bo w komendzie korpusu było już Gestapo. Komendant korpusu zdążył związać a ukrywał się w innym miejscu. Kłodnicka była tylko sympatykiem organizacji, ale była wtajemniczana w działalność organizacji. Przez specjalnego kuriera umożliwiła Kazi porozumienie się z komendantem, od którego Kazia otrzymała polecenie dla mnie, abym przeniósł się do Schichau'a i z Elbląga kierował całością.

Poza tym Kazia spotkała w Toruniu swojego kolegę z szkolnych lat, niejakiego Walka. Ten wziął od Kazi nasze adresy i zapewnił, że następnego dnia, to jest 6 września przyjedzie kurier do nas do Kwidzyna.

W poniedziałek 6 września 1943 r. wczesnie rano wyjechałem do Elbląga i zameldowałem się w biurze przyjęć Schicha'a. Tu dowiedziałem się, że we wtorek 0 godzinie 12 mam zgłosić się na komisję lekarską a w środę jeszcze ma jakąś inną i dopiero w czwartek stanąć do pracy. Przy zameldowywaniu się dostałem z biura przyjęć skierowanie do hotelu robotniczego i kartki żywnościowe (niemiecka pedanteria).

Mniej więcej około godziny 9 byłem już wolny, załatwiłem w biurze przyjęć wszystko. Odniosłem walizkę z rzeczami do hotelu robotniczego. Tam zastałem całą wieść Babel — narodowości z całej Europy. Walizkę oddałem w portierni — portier mówił świetnie po polsku. Po załatwieniu tych wszystkich czynności postanowiłem powrócić do Kwidzyna, bo tam miał przyjechać kurier z Torunia a we wtorek rano wrócić do Elbląga.

Po iprzyjściu do mojego mieszkania w Kwidzynie, około godziny 16, gospodyni przywitała mnie przykrą wiadomością. Powtórzę w przybliżeniu jej słowa: „Co jest z wami? Po was była podicja! Wasze rzeczy policja zabrała!”

Po tak miłej wiadomości nogi mi zwaciały, ale trzeba było szybko się otrząsnąć. Ze spokojem i z wdellkim zdziwieniem odpowiedziałem: „Jakim prawem zabrali moje rzeczy? Idę zaraz na policję po rzeczy”. Wyszedłem, ale nie na policję. Bocznymi ulicami obrałem kierunek Gardeja — Szembruk, do Karpińskiego. On wiedział, że jak przyjdę wieczorem, będzie oznaczać to wpadkę, że na piętach mam Gestapo.

Do Elbląga wyjechałem w skórzanej kurtce i żółtej koszuli, jakie nosili gestapowcy, w czapce i krawacie i tak ubrany powróciłem do Kwidzyna. Przez miasto musiałem iść pomału, aby nie zwrócić na siebie podejrzenia. Szczęśliwie wyszedłem za Kwidzyn, doszedłem do lasu. Tu zrzuciłem kurtkę i schowałem ją pod mech oraz zdjąłem krawat i czapkę. Czapki rzucić nie mogłem, bo mam głowę niemięd-arową (nr 60), schowałem ją pod koszulę na brzuchu i ścisnąłem paskiem od spodni, założyłem okulary. Znając mentalność oszczędnych Niemców byłem więcej jak pewny, że do głowy żadnemu z nich nie przyszłoby podejrzewać kogoś o porzucenie takiej kurtki.

Tak przebrany wyszedłem na szosę. Aby mieć coś w ręce, uciałem po drodze witkę i machając nią szedłem. Szedłem może z pół godziny, gdy usłyszałem za sobą szum samochodu. Nie oglądając się skręciłem w pole i iszedłem niby do pracujących tam ludzi. Samochód minął mnie. Dyskretnie obejrzałem się, rzeczywistość to była stalowa limuzyna, jaką jeździło Gestapo.

Po odejściu od szosy około 100 metrów, gdy samochód już odjechał daleko, aby nie wzbudzić podejrzenia ai ludzi pracujących na polu, siadłem w bruzdzie niby dla potrzeby fizjologicznej. Po wróceniu na szosę maszerowałem już pewniej. Wiedziałem, że drugi raz tą samą szosą Gestapo nie będzie jechało. Mogła mnie chwycić tylko Landwache, ale ta zebrać się mogła nie prędzej jak za 3 godziny, ikiedy ja powinienem być już za Gardeją w lesie. Do lasu Landwache nie wchodziła, o tym wiedziałem. Pogwizdując maszerowałem pomału, aby pozorować spacer.

Około godziny 10 wieczór, 6 września 1943 r. wszedłem do domu Antoniego Karpińskiego w Szembruku. Najgorsze miałem za sobą. Karpiński naprawiał w kuchni rower. Stał tyłem do drzwi. Pamiętam, że powiedziałem cicho „Cześć, Antek!”

Karpiński obrócił się do mnie i usłyszałem: „O Jezu, gonia cię!”. Obracając się, trzymał jeszcze dętkę z koła w rękę, ale jak stanął twarzą do mnie już nic w rękę nie miał. Złapał się rękoma za głowę i usłyszałem: „O Jezu, co teraz?”

„Daj jeść, głodny jestem”. Nic na razie więcej nie chciałem mówić, bo wiedziałem, że dostał jakby szoku. Dał mi chleba ze smalcem i surowego mleka. By-

łem bardzo głodny, w tym dniu prawie nic w ustach nie miałem. W trakcie jedzenia obmyślałem plan rozmowy z Karpińskim. Mieszkał on na wybudowaniu, daleko od wsi, tuż przy lesie. Nikt nie może go podejrzewać, że przetrzymuje trefnego delikwenta, boć przecież jest ich listonoszem. Jadłem i nie odzywałem się. Wieczór u Karpińskiego i w ogóle cały dzień 6 września 1943 r. będę pamiętał, choobym żył 100 lat. Rano była gęsta mgła i dosyć zimno. Koło południa rozjaśniło się i było ciepło. Po południu nawet gorąco. Wieczorem oziębiło się, ale było jasno, gwieździście.\*

Nareszcie przemówił Karpiński: „Słuchaj, czy naprawdę cię gonia?” Odpowiedziałem nawet wesoło: „Teraz chyba już nie, teTaz albo jedzą kolacje, albo śpią”. To go rozruszało. Nawet roześmiał się. Zaczęliśmy rozmawiać, opowiedziałem mu w krótkich słowach przebieg dnia, nic nie mówiąc o ewentualnym aresztowaniu Kazi. Karpiński już uspokoił się i zapytał co ma robić, jakie mam zadania dla niego.

Powiedziałem, że posiedzę u niego parę tygodni. Poprosiłem jednocześnie, żeby nazajutrz, jak będzie w Nogacie z listami, wstąpił do Kowala. Chciałem żeby Kowal przyjechał do mnie, miałem z nim jeszcze imaly rozrachunek.

Karpiński po wysłuchaniu moich relacji zaprowadził mnie na siano do stodoły, gdzie zamieszkałem. Chyba w środę przyjechał do mnie Kowal. Poleciałem mu, aby w najbliższą niedzielę pojechali z Laškiewiczem, piekarzem z Czarnego do Kwidzyna do młodszego brata Laškiewicza żeby ostrożnie dowiedział się co jest z Kazią (bo Kazię znał) i czy były w Kwidzynie aresztowania. Za tydzień Kowal miał mi zdać dokładną relację z wykonania polecenia. Poza tym chciałem wiedzieć co słyhać w Czarnem, czy Gestapo było u Drałita.

Wiadomość z Czarnego przywiózł mi po paru dniach Karpiński. U Drahta Gestapo było, poza tym w Czarnem był spokój. Draht tylko opowiadał, że Filip i Kazia są aresztowani. Stąd wiedziałem już, że Kazię aresztowano. Byłem jednak pewny, że Kazia nikogo nie wyda, że mogą ją bić, męczyć, ale ona na pewno nic nie powie. Żał mi było dziewczyny, ale z drugiej strony byłem spokojny, że nie będzie dalszej wpadki. Czekałem z niecierpliwością na wiadomość z Kwidzyna. Gdy siedziałem w tej stodole, na całym obszarze powiatu kwidzyńskiego Niemcy szukali kogoś — chyba mnie, Landwache dzień i noc rewidowała wszystkie pojazdy.

#### WAŁEK

Siedząc w sianie i czekając na wiadomości z Kwidzyna, rozmyślałem nad wpadką i aresztowaniem Kazi. Skąd Gestapo miało mój i jej adresy? W toku rozmyślenia wracałem myślą do Walka, kolegi Kazi. To była dziwna postać. Przebywał w obozie jenieckim gdzieś głęboko w Niemczech. Z początkiem 1943 roku został przewieziony do obozu w Toruniu. Tutaj miał możliwość wychodzenia na miasto. Kazia miała w Toruniu ciotkę, u której w latach szkolnych mieszkała na stacji. Kiedy Kazia jeździła do Torunia w sprawach organizacji, u tej ciotki spotykała się z Wałkiem. Spotkali isię również 5 września i wtedy Wałek wziął od niej nasze adresy. Właściwie tylko dzięki temu, że miał przyjechać kurier z Torunia, ja wróciłem do Kwidzyna i uniknąłem aresztowania. Na pewno kiedy Gestapo nie zastało mnie w Kwidzynie, pojechali za mną do Elbląga, bo jak mi donieśli z Kwidzyna, po moim wyjściu z mieszkania za godzinę Gestapo było po mnie drugi raz — widocznie przyjechali z Elbląga. Siedząc w sianie stale przemysliwałem „co to był za kurier? co miał przywieźć? czy przyjechał? czy w ogóle miał przyjechać jakiś kurier?”

(Cdn.)

# Uroczëznë w cządze roku,<sup>2)</sup>

Aleksander Labuda

## ZÔPUSTË

Nówieselszim cządem roku je gwës karnawał. Je to czas od Nowé Roku do zôpustów. Lëdze no wsë mają tej wiele czasu. Jidq i jeżdżq se na goscë twë. Wieczór młodzëzna jidze na muzyci i rozgracëje, a starszi lëdze schôdajq sę u sqsada, howorzq i prawiq powióstczi i brawëdë odów-nëch czasach.

Czej sę uszëkuje dobrô saniówka — tej jadq kuligiem o dalszych wsów. Starszi sôdajq na waszëczi i sanie, a z młodszëch kôdzi na swoje sônczci. Na pierwszëch saniach jadq muzykañcë, co muzykujq ob drogę i w karczimie dozgrówny wsë. Czej sę ju natançowalë rësżq wiesoło na-zôdka dodóm.

W tim jistnym wiesołim cządze roku kolëdëjq ksëża w swoich parafiach. Skłôdajq wizytę koźdery katolëcczi rodzëznie i wnôsajq błogostawieñstwo Boszci w chëcze.

Karnawał, kolëdë, kulidzi, muzyci i rozgracë-je kuñczq sę na trzecym dniu zôpustów.

### W niedzielô zôpustnq

Przëszlë zôpustë do nas,  
Bë uzëwac póczi czas:  
Miqska dejta tu na stół,  
Niech choc pudze całi wół,  
Niech choc pudq kurë, wulczi  
I te smaczny gułë, gulczi:

Pliñce pieczta, kuchë, kuchczi  
I niech bëdże kawior ruszci!  
Niech muzyczka rznie od ucha,  
Choc je buten zawierucha:  
Pojmë w tunë na wëmiónczi,  
A o dodóm — ani zmiónczi.  
(lëd.)

We wtórk o dwanôsti w nocë

Kuñczq sę ju zôpustë,  
Kuñc ti wieldzi rozpustë!  
Niech przyñdq lëdze do se!  
Niech skrëcha pudze w niebiosie  
Za wszëtczi gorchë w tim cządze  
Na morzu i na lądze.  
Niech Bóg noma przebóczy  
I nómi zobaczëc roczi!  
(lëd.)

Pierwi le bogatszi lëdze pieklë na zôpustë kuchë i kuszoci, a biedniëszci — le pliñce. Przez

trzë dni piekiwałë białczi plinószczi, rôz z mqczi tej zôs z bulew. Calëchnô wies pôchnëta za plin-cama.

### Pujkowa patelnia

W Stajszewie, dze no jesz do niedôwna zëtë czarownice, białcëskô narzëkałë na te móti fa-briczny patelnie. Ale Pujka (przezwelë go tak, jize miół gromisti i widzałi wqs), co na miół tislewnq rodzënë, dół so u kowôla zrobić dëcht rë-miewnq patelnię, co mia jaż pól metra strëdnicë. Pliñc upiekłi na taczci patelni sygnqł dlô wszët-czech domôcech.

W zôpustë Pujkowa patelnia mia wieldzi od-bët, wëdrowa od sqsada do sqsada — jaż na ostatku dosta dzurkë i cekła. Otrók Pujków dół ję na złomiszcze zamiast do muzeum w Kartuzach.

### Post

Wieldzi post  
Mrzawny gost  
Weznie warna brzëcha,  
Bo z tim zjestku krëcho:  
Nie dô miqska  
Ani kqska,  
Nie dô sadła  
Bësta zjadła.  
Le jesz grzibka —  
Abo ribka  
Na stół jidze.  
A dëcht w biëdze  
Zupë z brzôdku  
Zjész dëcht rôdku.

(lëd.)

abo:  
Mijó wieldzi post  
Ten mrzawny czas;  
Jidze Jaster Gost  
I witô nas.

(lëd.)

### JASTRË

Uroczëznë jaster abo Wielgonocë obchôdaje-më w niedzielę i poniedzótk na zymku midzë Sztrumiannq (25 sztrumiana) a kuñcem łzekwiata.

### Palmowô Niedzela

W Palmowq Niedzelę reno żorgajq knópi wierz-bowi wietewczci z rozpuszczonëma pëczkama. Koź-



di z domôcech zjôdô jeden pęczuszk – prpcëm wszelejaczim chërom, osoblëwie chorobom gar-dła.

Renëchno sqsôd jidze do sqsada, uderziwô go letko wietewkq i gôdô:

Wierzba bije, jô nie bije  
Za tidzeń – wioldzi dzeń:  
Za noce trzë  
A trzë – Jastrë!

dëd.)

#### Wioldzi Piqtk

W Wioldzi Piqtk kol wieczora knôpi jidq do jęzora, raszczi abo błotka i tę zobocq w zebny wodze. Takô kqpiel barni bodej od wrzodów, strëpów i jinszych chërów.

#### Święta

W niedzielę jesz przed wschodem słuńca hailiwajq so ze sztrëmienia, co no ze wzenika na wzanik piënie – wodę wielgonocnq. Ta woda mô bodej moc uzdrowotnq, wësëbtelniô miazdrę i barni od wszelejaczich chër skórnych.

Lëdze skłôdajq so zëczbë – Alleluja! Jidq i jada do koscoła na Rezurekcję. A doma ju czekô na nich bokadny pokrzësnik: jajeczno praznica, jôjka na cwiardo, czëłbasa, sér, kuchë i kuszczi.

W pierszi święto lëdze sedzq doma, nôprzôd w drëdzi święto lëdajq sę goscëc.

#### Dëguse

W drëdzi święto dëcht renëchno chodzq knôpi po wsë dëgowac. Wëkustrzony we wietewczi jałowca abo brzôzk jidq od chëczy do chëczy, dëgujq wszëtczech śpiochów, przede wszëtczim dzewuse. A te, chocy wrzeszczq, redë sę dajq dëgowac, jizë to przëniëse jima zdrowië, piëknôtë i szczescë w miłoce.

W niejednych okalach parobce dëgujq i oblëwajq dzewuse wodq wielgonocnq. Czej te nie zrobi, dzewus robi z taczim kawalerem kuńc:

Żałowôł jes kroplë wodë,  
Nima z nama zgodë!  
Z tobq na muzyczi  
Nie ipudë ju wicy!

(Iôd)

Lëdze z lepszego stónu nie chodzq dëgowac. Ale colemało zjawi sę u nich knôpiczk z wietewkq jałowca w ręce. pozdrôwiô, stanie kol dwiërzi i gôdô wiërtzë z głowë:

Dëguse, hej dëguse!  
Biada, chto jesz w łôzku je!

Bo jak kôze stôrô zwëcz,  
Chôdômë dzys z chëczë w chëcz  
Z wietewkama najich brzôzk  
Powënekac śpiochów z łôzk.  
Uczimë jich rano wstac,  
Nie dac chowie długo ždac:  
– Cobë kruszka dojiła,  
Całq beczkë mlëczka da;  
– Cobë bucza wôzëta,  
Kôzdô trzë centnarë mia;  
– Cobë kluka klukała,  
Co dzeń po dwa jôjka mia,  
Żebë bëło z czegu dac  
Tim, co chodzq dëgowac.

(A. L.)

abo:

Dëguse jidq, dëguse jidq,  
Chowejta, dzëwczëta, nodzi!  
W rëkach trzimajq zelony bidë,  
Zadadzq ból wama srodzi.  
Przësza tu jesma na dëgusa,  
Zaśpiewac chcema o Christuse,  
O Christuse, co z martwych wstôł,  
Alleluja! Alleluja!  
Przësza tu jesma na dëgusa,  
Nas, gospodëni, inie opuscë!  
Jój nama, plinców, >nie żałuja,  
Wszëtczech bogato obdarujta!  
Dëguj! Dëguj! Dëguj! – wołajq knôpi,  
Dëgujq dzewczëta różgq.  
Choc ból je përznę trôpi,  
Dorënczi szafujq ful gôrzczq...  
Christus z martwych wstôł, Alleluja!  
Przëklôd nôm swój dôł, Alleluja!  
Optanta z Nim wszëtcë na wieczi,

Alleluja!

Ma jidzema terô do jinech chëcri,

Alleluja!

(K. Derc.)

#### Zajk wielgonocny

Po dëgusach malinczi dzôtczy, skórne le wstónq, wëbiegnq buten zazdrzec do gniôzdów, co je so wczora uszëkowałë na podworzim abo w ogrodzë. Tam bo je gwës zajk zniôsł!

Wiele ucechë majq dzôitczy, co jesz w ne zaijka wierzq – z jego zniôsłtech jôj'ków i bómków jajo-watëgo sztôłtu.

Zajku, zajku  
Zn'iesë nama  
Choc ipo jajku!  
Jem le sama!  
Nie bój że sę,  
Bo sę ceszë  
Z taczech jajków  
Dobrech zaj'kô'w.

(MW.)

# Ze Słownika Sychty

## Wierzenia i zwyczaje związane z rolnictwem i rybactwem

Opracował Jerzy Treder

Wierzeń i zwyczajów jest w Słowniku Bernarda Sychty ogromna moc, zatem nie da się ich w miarę kompletnie tak prosto zaprezentować. Przedstawi się tu wobec tego fakty nie tak powszechnie znane, jak np. *dëgusë*. Nieco wierzeń i zwyczajów odnotowano przy kultach, przesądach, wróżbach, snach, wiedzy ludowej itp. Niżej zgromadzono fakty odnoszące się do pracy na roli i morzu oraz niektóre inne sposoby zabezpieczania się przed żywiołami.

Zacznijmy od zwyczaju stosowanego w KOWALSTWIE: Przez kowadło przekładano niegdyś ucznia kowalskiego podczas wyzwolin (Stężyca) II 222. Z wierzeniami łączy się inny zwyczaj: *Kowól kładze na noc dwa żelazta na krziż, żebë djôbeł nie włôżł do kuźni* (Mściszewice). *Rob/ał krziż po zgaszeniu ognia i zjimajg młotk z kowadła, żebë djôblë nie gospodarzëłë ob noc w kuźni* (Stężyca) II 221.

HANDEL DOMOKRAŻNY I USŁUGI: Kupiec domokrażny wjeżdżając niegdyś do wsi wołał: *Białczy, pojta kupiac, bo jô warna w jizbę wjadę* (Kępa Żarnowiecka) I 100. *Jajecznik* skupujący jaja wołał kiedyś, wjeżdżając do wsi: *Hańdel na mańdel jedze, szëkôjta jaja* (Kępa Żarnowiecka) II 8. *Białczy, białczy, jô cënëję garczy, bo jem doktorem od dzur – wołał ongiś lutownik wjeżdżając do wsi* (I 126). Do handlu porównaj nadto przysłowia: *Borkowiôn umiérô, a jesz hańdlëje. Borkowiôn konô, a se jesz pitô, czë na tamtim świece będze co do hańdlowaniô* (II 59). Idzie w nich o *Bórkowianach* zamieszkujących wieś *Bórk* i okolice w pobliżu Jeziora Gowidzińskiego w Kartuskiem. Mieli oni opinię nieuczciwych kupców i dlatego nazwa ich stała się synonimem szachraja, oszusta i krętacza (I 59).

RYBOLÓWSTWO. Przysłowie mówi: *Lesôcë zëją z grzib, a Rëbôcë z ryb* (IV 308). Rybakowi dobrze: *Rëbôk spi, a jadra mu lowiô* (Jastarnia), aczkolwiek: *U rëbôka miech piëniëdzy abo gardło wodë* (Jastarnia), *Rëbôk czësto nie wrôcô do dôm*. Ci z kraju drwią z rybaka: *Nôgłëpszi człowiek to rëbôk, bo on z wodë wëcygô mokrë tinë, a jesz w ręce piwie* (Kępa Swarzewska), na

co rybak odpowiada: *Rëbôkowi jic na krój* (łąd) *to sromota. Bëtnëgo rëbôka grób je w morzu* (IV 307). O rybach mówi też porzekadło: *Chto za żëcô wiele jôdł rib, temu to na grobie wëpomnq* – żartobliwa aluzja do pierwszych liter *r* i *p* umieszczanych na nagrobkach, a oznaczających „requiescat in pace” (pn-zach) VII 263.

Ryba ma zastosowanie w obrzędach, np. na weselu, i w lecznictwie: *Wątroba od rëbë lëczq suchotë i zapalenië płëc* (Rewa, Mechelinki). *Żótc od rëbë przëktôdajq na odmiarztë i na chôrë oczë* (Zatoka Pucka). Nieobojętny jest cząłowanie ryb. Starzy, doświadczeni rybacy znad jezior twierdzą, że najlepiej łowi się im ryby\* szczególnie szczupaki, przed deszczem, a węgorze, gdy kwitnie groch. Ponoć także w niedzielę i święta zapewniony jest obfity połów na skutek pomocy ze strony złego ducha. Jeśli jednak rybacy w te dni nie łowią, to jedynie dlatego, ponieważ boją się kary, polegającej na bezustannym łowieniu ryb po śmierci, lub żeby jeszcze tego samego dnia zamiast ryb nie przynieśli do domu diabła. Łowienie w dni świąteczne surowo potępia opinia publiczna, co wyraża się m. in. w nadawaniu obraźliwych przezwisk, np. *Gnó/cë*. O ile wierzyć można przysłowiu, rybactwo, zwłaszcza łądowe, na ogół mało przynosi zysku rybakom kaszubskim, ponieważ *Pan Bóg co dzewięc lat wëptôcô rëbôka*. Pociuszają się i gorszą rybą: *Dobrô i płotka, cziejë szczëpôka ni ma*. Rybakom morskim, szczególnie z Jastarni i Boru, dobry połów wróży sen o drzewach, marny zaś połów i nierzadko nieszczęście wróży sen o bursztynie. Wierzenie: *Złodziej ryb i sieci będze musiał po śmierci rozwiązać wszystkie węzły skradzionej sieci w miejscu, gdzie ją skradł* (Piecho-

wice) IV 305-306. *Pigtého dnia Pan Bóg stworzył rëbë i temu nôlepi lowi sę rëbë w piątk. Gó-daję, że w piątk lëchi początk, ale dló rëbôka to je ribny dzëń* (Zatoka Pucka) IV 307. *Matka Boskô Węgorzó* (7 X) pozostaje w związku z odbywającymi się w tym czasie połowami węgorzy (Przymorze) III 59. *Rëba jidze!* – sygnał dawany rybakom, nawet w kościele podczas nabożeństwa, oznaczający, że zanosi się na połów, ponieważ zbliżają się ławice do brzegu. Na sygnał ten rybacy biegną nad morze (Przymorze) VII 263.

Każda osada rybacka ma swego patrona reprezentowanego zazwyczaj w kapliczce przydrożnej. Rybacy modlą się o dobry połów, zwłaszcza do św. Piotra, Mikołaja, a w Jastarni do św. Michała, zamawiając nabożeństwa w kościele, odbywają procesje w dni krzyżowe i w dniu św. Marka szczególnie na Helu i w Swarzewie. Wyjeżdżając na połów zdejmują czapkę i mówią: *Dó j, Boże, szcześnie połów* (IV 130). *Matka Boskô Rëbackô* – święto Matki Boskiej Szkaolerskiej (16 VII), połączone z odpustem w Swarzewie, zwanym *rëbacczim*. *Rëbacczi tuńc* – taniec obrzędowy wykonywany wyjątkowo przez mężczyzn w *korkach* na nogach i z kuflem piwa w rękę. Rybacy wypowiadali tak swą radość w związku z wyruszeniem na połów, albo z powrotem z pomyślnego połowu (Przymorze) IV 308.

Rybacy morscy łączą się w tzw. maszoperie, zajmujące się wspólnym połowem i podziałem ryb (Przymorze). O podziale ryb decyduje wkład sprzętu rybackiego i pracy. Tak np. w Kuźnicy każdy rybak musi posiadać co najmniej dziesięć żaków i część niewodu. Kierownik maszoperii, tzw. *szëper*, dzieli połowem jednakowo wszystkich maszopów. Wdowa otrzymuje tylko połowę przydziału przypadającego na maszopa, o ile nie *cygnęta* sieci, o ile zaś *sz/a do pomocë*, otrzymuje *calowiti part* (Zatoka Pucka), czyli tzw. *dzël* (Karwia, Dębki). Może ona także w swoim zastępstwie posłać dorastającego syna lub kogoś obcego, z którym dzieli się swym partem na połowę. W dzień Trzech Króli odbywa się zabawa rybacka, tzw. *maszopskô* (III 57). W święto to gromadzą się *szëprowie* ze swoimi załogami w *chëczy* jednego z rybaków, gdzie planują roboty na rozpoczęty nowy rok. Przy okazji darują sobie urazy, całują się jak bracia, nazywając się wzajemnie *drëchami*. Narada kończy się poczęstunkiem i muzyką, czyli *maszopską*. W dawnych czasach na takiej naradzie podawano *puczicë piwo*, uchodzące za lepsze od gdańskiego. Przed wypiciem piwa /Ozlewano niewielką ilość tego trunku na ławę, a potem siadano na nią: *Cziedë buksë przëlepifë sę do ławë, piwo bëto dobrë* (Przymorze) V 250. Każda maszoperia wiązała kiedyś co roku wspólnie swój własny niewód na łososie. Po tej zespołowej pracy odbywało się w zapusty poświęcenie niewodu oraz uczta w domu szypra, połączona z tańcami około niewodu, będąca jakby inauguracją zorganizowanej maszoperii. W dzień św. Józefa zaczynało po raz pierwszy łowić nowym niewodem. Połowę pierwszego połowu łososi otrzymywał w Kuźnicy ksiądz (III 251). Od połowu łososi ksiądz w Jastarni otrzymywał dawniej jedną czwartą czyli tzw. *mędel*, kościół zaś dwa mędle (III 26).

Połowy odbywały się na tzw. toniach, tj. przestrzeni wód, na której ktoś ma prawo łowić. *Koźdi rëbôk mô swoję tonię*. Tonie posiadają także maszoperie. Cenne z uwagi na stare tradycje rybackie są nazwy poszczególnych toni. Sychta wymienia tonie z jeziora *Klęczno* w Potęgowie, z jeziora Białego tamże, z jeziora w Lapalicach (V 736).

Inne zwyczaje rybackie. *Rëbôcë przëwiazëjg czerwionë blewizczci do sęców, zëbë jich nicht nie zarocził* (IV 333). Rybacy w Rewie *kurzëlë piërwii swiconym zelim jadra, jak one bëtë uroczone* (pn) II 308. Do większych łodzi przybijają obrázky św. Piotra lub innych apostołów (Rewa) III 22. Na Helu suszą *morszczięgo kura* (kurek szary) nad kominkiem i zawieszają na nitce u sufitu, aby wskazywał im kierunek wiatrów (III 113). I jeszcze dwa wierzenia: *Flundra mô krzëwi pësk*, ponieważ pyszna i zazdrosna skrzywiła się na wieść o tym, że ryby okrzyknęły śledzia królem. Stąd poszło porównanie: *Mô krzëwi pösk jak flundra* (I 284). *Szcześnie marëna, co sę dostónie w królestwo rafów, bo tam bądze mógł zëc dali, ale on sę tam w rëbë zamieni i mdze słužil morsci pannie, chtërna je królewę raf* (Kępa Żarnowiecka) IV 292.

ROLNICTWO. Rybacy wzdurzają gburem: *U gburu to je za ostatno dzura*. Ponoć na półwyspie modlą się: *Od póttora drewna* (cepów), *d'zewianého grzebienia* (grabi), *krzëwego żelaza* (*kosy*) *wëbawi nas. Panie*. Gbur kaszubski ma jednak wielkie poczucie własnej godności, o czym świadczą przysłowia: *Gbur to mur, dzys mu gapa oczë wëdzobie, a witro on dali zdrzi. Jak u gburu ni ma, to nigdzie ni ma. Gbur spi, a mu rosce* (I 314).

*W adwence zemia spi i je choró, cziej sę ję orze* (I 2), a więc w zimie ziemi orać nie wolno, może się bowiem rozchorować i zaprzestać rościć (I 378). Dzień św. Józefa uchodzi za początek wiosny. W tym dniu gbur odkładał dawniej choć jedną tylko skibę, nawet gdyby śnieg pokrywał pola, zgodnie ze starym przysłowiem: *Na świętého Józwa przez pole brózdza* (II 109). Przystępując na wiosnę do orki, *gbur klódt przódë na sjece chlëb w pierszq brózdę i góddót: Na jimię Boszczië* (Puzdrowo) II 34. Natomiast w domu żona jego nie zapalała światła, *zëbë pole nie swięcëto tësę ban/ą* (śr) III 334.

*Matka Boskô Séwnô* (8 IX) uchodzi za najodpowiedniejszy czas do rozpoczęcia zasiewów jesiennych (III 58). Gbur kaszubski sieje zazwyczaj sam. Sieje w milczeniu i uroczyście. Rozpoczynając *sëwbę* zdejmuje nakrycie głowy, żegna się i pierwszą garść ziarna rzuca w ziemię na krzyż. W dniu zakończenia siewu domownicy oblewają wodą i obsypują zbożem wracającego gospodarza. Pomyślność siewu (Sierakowice) zależy też od tego, czy podczas niego nie odezwą się z wieży kościoła dzwony bijące na Anioł Pański (V 6-7).

Na św. Małgorzatę (10 VI) sadzą brukiew, choćby panowała największa susza, ponieważ *świętô Mólgorzata ob noc polëwô wrëczy* (śr) III 42. W Żarnowcu sadzą ogórki w wigilię Wniebowstąpienia Pańskiego, o godzinie 14, miano-

wicie w chwili, gdy pielgrzymki z kościoła w Wejherowie wyruszają na Kalwarię. *Wówczas iěli mdze gurk, wiele lědzta jidze na Górě (I 335). Bulwě sadzq, cziej niebo je popriskóně drobnimo blónama, tej one mdq miotě wiele pod krzem (pn). Bulwě moze wiedno sadzěc, le nié na Jakuba i Filipa (1 V), ani w krzizewé dnie (9 V). Cziej lědze jidq bulwě sadzěc, to jeden drědzięgo muszi przewrócęc, zebě bulwě bělě więdziě (Brzeźno Szl.) I 89.*

W celu wywołania urodzaju owigzuje gospodarz w wieczór sylwestrowy drzewa owocowe słomg, budzgc je słowami: *Spisz, a nie rodzysz, nie spij, a rodzě (IV 333)*. Porównaj: Podczas obrzędowego obwigzywania drzewek na urodzaj w wigilię Nowego Roku dzwonię i wołaję głośno: *Jędrzně jabka, jędrzně krěszczy, jędrzně slěwě, jedrně žětko na ten nowi rok. Nie biegōsz, nie zwonisz, nie wołōsz, tej nic nie chce rosc, tej ani brzōd, ani zbožé nie sę jędrzně, bo oni tego nie czějā (pn) II 90*. Na gałęziach drzew rosngcych dookoła *Grabowiska* (cmentarza końskiego w Mściszewicach) zatykano niegdys końskie czaszki (I 352), ponieważ urodzaj na polach wywołuje czaszka końska zawieszona na drzewie (VI 27).

Jest zwyczaj, że w bulwach, czyli podczas wykopek, *dōwajq lědzom dopōtnik (pn-zach) I 231*. Według prawa ludowego za robotę przy kopaniu ziemniaków względnie wrywaniu brukwi pracownicy otrzymywali ongiś *krój* (skraj pola), na Kępie Żarnowieckiej otrzymuję jeszcze dziś (II 234). Za zwięzanie ostatniego snopa żniwiarka otrzymywała kiedys od gburą miskę mgki i bochen chleba, a za wykonanie ostatniego *krza bulew* kosz ziemniaków (śr, pn-zach) I 25-26. Porównaj: *zajca uchwacęc* czyli zakończyć kopanie ziemniaków; za schwytanie *zajca* otrzymywano w nagrodę bochen chleba (pn) VI 173. Za *ostatni cierz bulew* otrzymywał chłopiec od dziewczyny całusa, jeśli jej pomógł w kopaniu (II 319).

Do rosngcej na polu kapusty nie będzie miała czarownica przystępu, gdy się ję ograbi lub oborze (III 333). Chyba to refleksem oborywania wsi, *zebě cholera ni miała do ni przistępu (I 227)*. Marchew wykopuję dopiero po św. Jadwidze (po 15 X), ponieważ *świętō Jadwiga kładze łěžkę miodu w marchiew i temu ona je słodko*. Podobnie tłumaczę sobie słodycz brukwi (III 50). Marchew chroni przed żółtaczkę (Kępa Oksywska) III 59. Marchew dostarczała niegdys na całym Pomorzu żółtego barwnika do masła (III 50). *Mak na polach, ogrodach rozsėwō w adwence Grzenia, czie on ziemię chce uspici na zēmę i temu go je tak wiele (Puzdrowo) III 38*. Nie należy *robie torfu, cziej miesqc odbiěrō*, albo – jak I-naczej mówię – *cziej miesqc je na twardim scho-dzē (V 372)*.

Co *dzēń gospodōrz jidze przed spaniem do chlěwa i zegnō wszěstkā chowę*. Na całych Kaszubach zawiadamiaję chowę o zgonie jej właściciela (II 51). Krowę świeżo ocielong powinna po raz pierwszy wydoić sama gospodynin. Rozpoczyna ona dojenie na krzyż, cigngc po trzykroć za każdy strzyk i skierowuję mleko na ziemię. Po wydojeniu kreślę znak krzyża, osobno nad wymieniem krowy, osobno nad mlekiem, celem odwrócenia czarów (VI 73). *Cziej krowa chce*

*stanąć, doją ję ostatny rōz w niedzielę i trzē razē zegnājā wimię (V 148). Nólępi w niedzielę zasēszyć krowę, tej ona na dniu sę oceli. Nigdě nie powinno sę zasēszyć krowę na odchodę miēsędza (V 40). Cziej krowa zeżgrze podwójny kłos, będze mia pōrkę (śr) II 175. Świnie zdechtē chowajā na cęzy zemi (pn-zach) V 201. Cziej konie nie chcā żgrzēc, to trzeba jim szętopierza wmurować w kum (Wejherowskie) II 296. Przōdē na świecie gospodarze nie sprzedōwalē staręgo konia swęgo chowu, ani go nie zabijalē. Na zōpustē kupialē krowę na zabicē, zebě obszczēdzęc krowę włōsnęgo chowu (VII 100). Zgrzebne klaczē nie zaprzigajā w pogrzebowi wōz, bo moze porzēcęc (II 156). Przed udaniem się na pasterkę budził niegdys gbur razem z domownikami zwierzēta domowe odzywajęc się: *Mě terō jidzēmē na pasterkę, pojta z nami (Kartuskie)*. Również udawał się do sadu, gdzie w podobny sposób budził drzewa (Wejherowskie) IV 42. Porównaj podobnie pod hasłem *gwiozdzka I 389*, gdzie też o dawaniu zwierzētom lepszej paszy na *gwiozdkę*, nawet kurom i rybom (I 390-391).*

Nasadzanie drobiu rozpoczyna się już wczesng wiosng. *Jaja pod gēsē trzeba kłasc na nowiu i pod dobrim znakem*. Za taki pomyślny znak uchodzę gwiazdozbiory barana, byka, lwa i wagi, natomiast dzień św. Józefa bez względu na jakikolwiek znak uchodzi za dzień najbardziej dla tej czynności odpowiedni w myśl zalecenia: *Na świętęgo Józefa je wiedno dobrze nasadzęc gēsē*. Kury nasadzaję również na nowiu w dzień ciemny, pochmurny, *zebě jaja bētē cemnē (zależone)*. *Jaja podłożone pod kurę w dzień jasny biwajā colemalo pustē. Zebě kurczętom sę lzi wělōzāto z jajōw, dobrze je dac kurze jaja w dzień święti, a nlgdē w dzień świętęgo, a ju przenigdē w dzień męczennika (śr). Zebě sę lęgtē kokoszczci, dajā pod kurę mniēszi jaja, zebě sę lęgtē kurczci, dajā więdzi jaja (Jamno)*. Nasadzanie drobiu odbywa się w milczeniu późno wieczór, *cziej ju całē chcēze położētē sę spaci, a to temu, zebě gąsātka czē kurczātka baro nie piszczalē, le chutko chodzētē spaci. Zebě one sę o ten sóm czas wēkluwalē i potemu bētē žernē, powinā biātka po dwa jaja kłasc i przē tim jesc. Nie optacy sę nigdē dawać jōj pod klukę czē bękę na świętęgo Marka, bo bēlno kurczęta i gąsęta z jajōw wělēzā, ju one lōtajā jak Mark po piekle (II 74)*.

*Dzercē piōr odbiwalō sę przōdē w zōpustē (I 263)*. Wtedy też u rybaków odbywały się tzw. *zesziwinē*, a u rolników np. tańce obrzędowe wokół Inu. Len odgrywał niegdys wielkę rolę w obrzędach zapustnych, majęcych na celu pomyślność wegetacyng. Tak np. *białczci skōkatē wesołē, zebě jim len urōst wēsoczi (Sierakowice, Puzdrowo, Gowidlino)*. Istniało silne przekonanie, że należy w zapusty koniecznie tańczyć dla wywołania urodzaju Inu. Najbardziej powszechny był magiczny taniec *na dobrim len* wykonywany zwykle przez starszgc kobietę naokoło Inu lub z garścig Inu za pasem (śr.). Posag panny młodej obliczano niegdys według tego, *wiele ona miała wałōw Inianęgo płōtna (II 353)*. *Więc piērwi lēdze okrācywalē Inem gromice do posjęceniō na pamiātķę, że Matka Boskō przędła len (Sulęcyno) I 366*

Do czasu drugiej wojny światowej istniał tu i ówdzie na Kaszubach zwyczaj, że gdy gospodarz po raz pierwszy podczas żniw zjawił się na polu, *obstgpiłë go kosnicë z kosami, a grabiôrczi słomianym powrozem okręcały mu ramię*. Gdy gospodarz w towarzystwie żony przybywał na pole, żniwiarki *wigzałë jich razem, jego za prawé, a ję za lewé remię*. Ponieważ powitanie takie uchodziło za wielki zaszczyt, gospodarze ze wstydem wracali czym prędzej do domu, gdy im tego zaszczytu odmówiono. W podobny sposób witano na polu dorosłe dzieci gospodarza oraz ich gości. Z okręconymi powróstami wokoło ramion wracali do domu (VI 308). Po zakończeniu żniw, mianowicie podczas ożniwin, podzrucą/ë *brakôwczci* (dziewczyny grabiące zboże po raz pierwszy w górę, w zamian za co musiały się wykupić (Puzdrowo) VII 20. Oknem podawała niegdyś *przednica* (przedownica) wieniec dożynkowy (III 307). *Dokosnik piece krutkę* (wieniec ze zboża) (Kępa Żarnowiecka) I 227. *Kłósczi z marchwig* – w Puzdrowie obrzędowa potrawa podczas dożynek (II 169). *Zôpo/ę* (przedział w stodole, gdzie się składa zżęte zboże) *krooig święcong wodg, bez tego Kaszëba nie wewieze zbożô* (VI 184). *Rek wrzucony w zôpol chroni zbożë przed mészami* (Wejherowskie) IV 315. *Kłęczka* (patyk przy wozie żniwnym) *mô odstraszcë mészë i złë duchë* (śr.) II 163. Pierwszą furę zboża należy wywieźć wśród największej ciszy. *Jim cëszci sę wewieze, tim cëszci będg sę zachowualë mészë*. Pierwsze cztery snopy układa na krzyż sam gospodarz (V163). *Króla* (pierwszy snop) umieszczają na środku sąsiedka, dopiero naokoło króla ustawiają dalsze snopy. *Króla młóca* na końcu. Zwyczaj wiązania dożynkowego króla znany był dawniej zarówno na dworach, jak między chłopami. Jadąc z królem do domu śpiewano: *Jędzë król z naszëch pól prosto do stodół, a cziej król włëze w dóm, zdżinie biëda, ból* (Kępa Żarnowiecka) II 257. *Święcony piołun rzucąjg w zôpol, cziej z pierwszg fórg wjadg na klepisko, zëbë w stodołë piorën nie trząst* (IV 284).

**GODZENIE SŁUŻBY:** *Piérwi na Michała godzëlë służbë* (I 335). *Na świętëgo Michała rzdzëlë wic piérwi dzëwczci, a na świętëgo Mórçëna parobków* (pn) III 165. *Więc piérwi rzgdzëlë czelôdz na świętëgo Mórçëna, zôs potem colemało na Nowi Rok* (IV 391). *Dzëwka musi przinć o wieczór na służbë, tej ona mdze całi rok służëta, bo jak ona przinðze reno, to ona nie dosłuži roku* (Podjazy, Puzdrowo, Tuchlino) I 264. *Chto chutko jôdô, chutko robi. Jak chto jôdô, tak robi* (II 67), a porównaj zwyczaj: *Piérwi, cziej dzëwfcę rzgdzëlë, dalë ji jesc. Cziej ona chutko jadła, to ji nie urzgdzëlë, bo ona bë za pomalinku robiła* (śr) I 264.

**INNE ZWYCZAJE I WIERZENIA:** *Nigle chlëb wsôdzô w piec, trzeba piec przeżegnać. Dzes białka piekła chlëb i zabôcza przeżegnać piec. Jak ona chcą ten chlëb wëjgc, tej go w piecu nie bëto* (II 34). *Nasza nënka, nigle nowi chlëb zacznë krajać, to ona go przedtim przeżegnô. Nigle zaczinómë jesc, to më sę żegnómë* (VI 285). Poświęcone kłosy zboża przechowują do jesienno siewu lub dodają bydłu do siewki

(III 59). *Jak sę cëgónka rozgorzi, zarosce trôwg podworzë, czyli gospodarstwo upadnie* (śr) IV 109. Porównaj: *Po wyjściu Cyganki z domu sypą sól w ogieñ, by ni mogła nikomu z/e zrobić* (IV 332).

**HODOWLA OWIEC.** *Szëper abo owczôrz* cieszył się ongiś na Kaszubach wielkim poważaniem, m. in. *lëczył lëdzy i chowë, ob zëmę przgdł doma wełnę, a ob lato wiqzł na polu nogawice, rëkawice i wëpsë d/ô siebie i jinëch* (V 248). Oznał owczarza: *Owczarze kaszubscy gwizdalë na charakterystycznej piszczôwce, umieszczonej na zgietym końcu leszczynowej laski pasterskiej, z którą tworzyła jedną całość. Znali ją też owczarze z Kociewia* (III 349). Porównanie *głupi jak szimbarskô owca zawiera aluzję do wsi Szymbark w Kartuskim, znanej niegdyś z hodowli owiec*. Przystawie: *Na święti Krziż* (3 V) *owce strziż* (Zabory). Wierzenie: *Staro panna będge przed piekłim owce pasc, a stari kawaler będge je nawrócôt* (Zabory) III 348. *Na gromicznq pasturz mili widzôt wilka w owczarni, jak słuñce, bo będg mu owce chorzałë* (III 350), też: *Słuñce świecgcë w Nowi Rok szkodzy chowie* (V 198).

**ZWYCZAJE PASTERSKIE:** *Jak to grzmi, nôstarszi pasturz robi czijem krgg, a w tim krëgu krziż, zëbë złi duch w ten krgg nie wiôzł i tej wszëscë posturze w ten krgg wchodzq* (I 381). *W Stôri Rok o dwanôsti w nocë pasturze trzaskajg batigami, zëbë krowë sę jim nie gzëtë ob lato* (Sierakowice) I 397. Przed zachodem słońca gęsiarki mówią: *Jesz trzë matë chwiluszczi chodzta, moje piluszczi* (Puzdrowo) II 63. *Czie pasturzem je zëmno, tej oni nodzi wktôdajg w swiëzi krowinç, a jesz czims przëkriwajg, zëbë to cep/o trzymało* (Wejherowskie) III 212. *Pióskem zarzucąjg pasturze odżin na polu, a tej na ten piósk naplwig i robig na nim czijem krziż*. Corocznie późną wiosną, w oznaczonym dniu, odbywały się na dworach *ostrzëżënë* (strzyżenie owiec). Obrzęd rozpoczynał się wyprowadzeniem owiec z owczarni do *moczëdła* (stawu), gdzie je moczono i kąpano. Na przodzie przy dźwiękach harmonijki kroczył owczarz z długimi włosami, w dużym, słomianym kapeluszu na głowie i z długą laską pasterską w ręku. *Cziej owce ju bëtë wëkgpónë, tej szëper zaprowadzył je nazôd z muzykg do owczarni/*. *Owca z nôlepszg wełng to bëta ta królëwó*. Jej rëno (wełnę) przywiązywał owczarz do drąga zwanego *motowidłëm* i siedł z nią przed owcami. *Motowidło* wkopywano na środku podwórza, po czym naokoło *motowidła* odbywała się zabawa taneczna, podczas której właściciel owiec raczył wszystkich obficie wódką. Pod koniec zabawy chwymano owczarza. Po związaniu mu nóg wieszono go na taczce do *moczëdła*, ale już nie przy dźwiękach harmonii, lecz wśród głosów naśladowujących beczenie owiec. Tam myto i strzyżono mu włosy (Kępa Żarnowiecka) III 345-346.

**WIERZENIA I ZWYCZAJE ZWIĄZANE Z ŻYWIÓŁAMI.** W ostatni dzień oktawy Bożego Ciąta zanoszą do kościoła wianki do poświęcenia. Służą one do obkadzania domu i zabudowań gospodarskich, by je uchronić od pożaru i

grzmotu. Po roku pokruszone wianuszki podaje się bydłu, by przywrócić mu apetyt. Wyniesione na pole chronią od gradu i sprowadzają urodzaje (III 317). Poświęcone winoszczy z rozchódnika (rośliny) kładz w zópoli na sztěrzech swieżèch snopach polożonèch na krziż, żebè grzmot nie trząst w stodołę (IV 350). Poświęcone w kościele palmy zabierają do domu, ponieważ posiadają właściwości atropieiczne, jak to wynika z poniższych przykładów: *Palmè zatikajg za balkę pod dakem abo za obrazè w jizbie, żebè piorèn nie trząst nigdè w chęcze. N/g/e wjadg z pierszg fórg do stodołę, kładz w zópol dwie palmé na krziż, żebè w nię nie uderzèlo. Jedni wtikajg palmę w ziemię na polu, żebè dobrze rodzèła i gród nie potłukt zbożègo. Jini zanòszajg palmę w chlów, żebè chowa nigdè nie chorzàła, abo do pszczołów, żebè dówatè wiele miodu. Białci wktòdajg palmè w gèsè gniòzda, żebè gsgstka szczeslèwie wèlòzàtè z jajów. Dobré gospodènie wiedzg, jak palma je pomocnò, żebè sè mléko nie psowatò. Rèbòcè rzeszajg palmè w séce, żebè czarownice nie odebrałè jim szczesègo, cziej oni wèjadg na rèbè (też Kociewie i Bory) VII 217. Chto w Niedelę Palmowà z/è trzè baszczi od swiconèch palmów, w tego grzmot w tim roku nie uderzi (pn-zach) VII 8. Lèdze bierzg g/owiencki (ciernie święcone w Wielką Sobotę) do dóm i wtikajg pod balkę, żebè chronitè budincki przed grzmotem (Chwaszczyno, Osowa, Kielno, Koleczkowo) I 328. Cziej to sè łatisknie na krziż, tej to wiedno uderzi (III 22). Gromica odgóniò djòbta,*

*grzmot i odżin (I 366). Według legendy Nóswiętższò Panna szła bez las ze zapòlong gromicg i odstròszàła wilczy. I temu piérwi lèdze, cziej oni jachalè abo szlè bez las, pòlèlè odżin, żebè odnèkac wilczy (I 366). Tu i ówdzie (np. Kujaty i Tuchlino) robią krzyż zapaloną gromnicą na belkach stropowych, żebè piorèn nie trząst w chęcze (I 366). Kur (ozdoba dachu) bróni budinku przed piorènem (II 300). Piorèn nigdè nie trzaśnie, dze jas-kułczy majg gniòzdo (I 331). W lèpè nigdè piorèn nie uderzi, bo lèpa to je swiètè drzewo (II 355). Ognia od piorèna ni muszi gasèc (I 307).*

*Baro niebezpiecznò je grzmotówka w nocè, bo o tim czasie nówięcy złich duchów krgcy sè po świece. Niekiedy uważa się grzmotówkę za istotę żyjącą, która wszètfcò widzy i czèje. Podczas tej burzy z grzmotem nie wolno się śmiać, głośno gadać, robić lub gasić ognia, stać przy piecu, ścianie i oknie (pn) I 381.*

*Kalmusem strojilè piérwi w Zeloné Swiàtcki dwièrze, a jedni rozdrucalè kalmus po podwozrim (II 121). Zdarza się niekiedy, że zwonè same zwonig, ostrzegając wieś przed nieszczęściem, np. pożarem, gradobiciem, zarazą, wystąpieniem morza z brzegów itp. (VI 254).*

Jak głósi tradycja, wróble żyły niegdys w tak dużych ilościach, że stały się prawdziwą plagą rolnictwa. Żeby zachęcić ludność do ich tępienia, pobierano zamiast pieniędzy opłatę w postaci wróblích głów z okazji otwierania szlabanu na rogatkach miast (Kępa Żarnowiecka) VI 108.

## Przed układem kępińskim

# Między Nakłem a Anagni

Jan Powierski

### KRZYŻACY A WYBUCH WOJNY NAKIELSKIEJ

Podczas gdy w Polsce latem 1255 r. groził wybuch wojny pomorsko-wielkopolskiej, Krzyżacy umacniali swoje pozycje w Prusach i Inflantach. Mistrz krajowy inflancki Anno von Sangershausen podjął niszczycielską-wyprawę na Zmudz, która nie przyniosła jednak podporządkowania tego kraju. Zapewne już po tej wyprawie Anno udał się na Ozylię, gdzie rozszerzył w dniu 27 sierpnia 1255 r. przywileje dla tamtejszych zachodniofińskich mieszkańców. Chodziło może o uciśnienie narastającego niezadowolenia Ozylijczyków, które mogłoby być niebezpieczne w okresie zbrojnych walk ze Zmudzinami i dyplomatycznych zatargów z arcybiskupem ryskim Albertem Suerbeerem, jego sufraganami i chyba też estońskimi lennikami króla duńskiego. Wkrótce potem przybył do Inflant i Sambii sam wielki mistrz Popo von Osternohe, któremu rozmowy z Annonem nie zajęły wiele czasu bowiem

już 20 września przebywał w Kłajpedzie. W październiku, w wyniku narad z Annonem król litewski Mendog nadał Krzyżakom faktycznie nie podlegające mu terytorium Zelonii, leżącej dziś w południowo-wschodniej części Łotwy i w północno-wschodnim skrawku Litwy. Mendog zawiadomił też o nadaniu papieża. Annonowi niewątpliwie chodziło o umocnienie praw do spornej z arcybiskupem ryskim ziemi, Mendogowi zależało na utrzymaniu sojuszu z rycerzami zakonnymi w celu wspólnej walki ze Żmudzią — wszak na wyprawę Annona wysłał posiłki.

Na terenie Prus tymczasem — może pod koniec lata, gdy Poppo udał się do Inflant — pruskie plemiona Skalowów i Nadrowów wraz z sąsiednimi Jaćwiegami postanowiły umocnić pogranicze ze świeżo opanowaną przez Zakon Sambią. Jaćwiegowie uznawszy widocznie zabezpieczenie dwu wymienionych plemion przed agresją krzyżacką za sprawę najważniejszą, poszli na kontynuowanie polityki ustępstw wobec Rusi, godząc się na uiszczenie kolejnej daniny Danielowi halickie-

mu. W każdym razie Jaćwięgowie, Nadrowowie i Skalowowie zbudowali nad Pregołą gród Welawę, który miał bronić Nadrowii przed wyprawami krzyżackimi z Sambii i Natangii. Jednak pozostawiony w Welawie jako dowódca załogi nadrawski nobil Tirsko nieoczekiwanie przeszedł na stronę Krzyżaków. Była to nie pierwsza i nie ostatnia zdrada współplemieńców przez nobilów, którzy obawiając się, że w trakcie walk obronnych z Zakonem uzbrojone masy ludowe nie pozwolą się eksploatować, gotowi byli godzić się nawet na utratę niepodległości, gdyby Krzyżacy zagwarantowali im dziedziczne posiadanie majątków.

Komtur królewiecki Burchard v. Hornhausen wykorzystał teraz doskonałą znajomość terenu Tirska. Wziąwszy go więc za przewodnika wkroczył do położonej nad Łyną u jej ujścia do Pregoły ziemię Unsatrapis i zdobył tam jeden z grodów. Unsatrapis i broniąca nadal swej niepodległości część Natangii stanowiły aktualnie jedyne jeszcze tereny pruskie, pozostające poza zasięgiem podboju krzyżackiego na obszarze na zachód od dolnej Łyny, groźne dla panowania zakonnego, gdyż mogące posłużyć jako wrzynający się między Sambię a Barcję przyczółek dla ewentualnej kontrofensywy wolnych Ludów bałtyjskich. Wyprawa Burcharda miała zadania rozpoznania terenu i przygotowania większej wyprawy. Burchard niewątpliwie był poinformowany, że właśnie na wyprawę do Prus szykuje się margrabia brandenburski Jan I, który nie chciał być gorszy od swego brata Ottona III, kilkakrotnie już biorącego udział w krucjatach pruskich. Margrabiowie brandenburscy byli zbyt rozsądni, by we własnej Marchii poczynić jakieś nadania dla Zakonu. Brandenburgia była jednym z nielicznych krajów niemieckich, w których Krzyżacy nie mieli posiadłości. Za to, jak już widzieliśmy poprzednio, margrabiowie należeli do najaktywniejszych uczestników krucjat pruskich. Nie można zupełnie wykluczać możliwości, że świadomie dążyli do zagwarantowania sobie na przyszłość sojuszu z Zakonem, by wspólnie z nim wziąć w kleszcze ziemie polskie. Od dawna bowiem margrabiowie rościli pretensje do zwierzchnictwa nad Pomorzem Zachodnim, uzyskując do tego kraju — i następnie tracąc — uprawnienia z nadań władców niemieckich z dynastii Hohenstaufów. Może już wówczas apetyty ich sięgały też na Pomorze Gdańskie, niedawno przecież uzyskali uznanie zwierzchnictwa przez książąt Pomorza Zachodniego Barnima i Warcisława. Jednocześnie margrabiowie mieli też apetyty na Wielkopolskę, której bezpośrednimi sąsiadami zostali po zajęciu należącej poprzednio do książąt śląskich ziem lubuskiej. Przemysł I stawiał im jednak skuteczny opór. Teraz więc, gdy Jan I przygotowywał się do krucjaty do Prus, zaś Przemysł I musiał toczyć wojnę o Nakło, doszło między tymi władcami do porozumienia. Jak zwykle w średniowieczu miało być ono umocnione przez nawiazanie koligacji małżeńskich. Ułożono więc gdzieś jesienią 1255 r. zawarcie w przyszłości związku małżeńskiego między synem Jana I i jego pierwszej żony Zofii duńskiej, urodzonym około 1238–1240 r. Konradem, a córką Przemysła I Konstancją, urodzoną w 1245 lub 1246 r. Na przeszkodzie małżeństwu stało jednak bliskie pokrewieństwo, gdyż Konrad i Konstancja byli praprawnukami Mieszka III Starego (od którego Jan I wywodził się naturalnie po kądzieli). Przewstawiciele margrabiego Jana udali się więc do kurii papieskiej z prośbą o dyspensę, tłumacząc, że zawarcie małżeństwa jest potrzebne tak dla pokojowego uregulowania konfliktu, jak również dlatego, że podobno podobało się królowi rzymskiemu Wilhelmowi holenderskiemu. Dodatkowym argumentem dla papieża była jednak zapewne informacja, że Jan I zamierza wziąć udział w krucjacie. Nie znamy bliżej takich powiązań politycznych, które wyjaśniałyby nam, dlaczego Wilhelm holenderski miałby być zadowolony ze wspomnianego małżeństwa i tym samym z sojuszu brandenbursko-wielkopolskiego. Do aktualnie najgroźniejszych przeciwników Wilhelma należeli broniący swej pojętej w duchu republikańskim niepodległości Fryzowie. Wspólnym wrogiem Wilhelma i margrabiów brandenburskich mogła stać się Lubeka, umacniająca własnie swe polityczne powiązania z innymi miastami północnoniemieckimi późniejszej Hanzy. Czy jednak istniały

związki między Fryzami, Lubeką i Pomorzem Gdańskim, jedynym krajem, który mógłby wyjaśniać postawę Wilhelma wobec Wielkopolski, trudno stwierdzić bez specjalnych badań.

19 grudnia Aleksander IV, który rezydował w tym czasie w swej siedzibie laterańskiej w Rzymie, udzielił dyspensy na małżeństwo między Konradem a Konstancją. Z poselstwem brandenburskim niemal na pewno działał przedstawiciel Zakonu, który następnego dnia uzyskał od papieża wezwanie, skierowane do biskupa ołomunieckiego Brunona, by zajął się sprawą naruszenia praw i posiadłości Zakonu w Neplachovichach (pod Opawą). Jak widać, pozostający dotychczas pod specjalną opieką Przemysła Otokara II czeskiego Krzyżacy w drugiej połowie 1255 r. byli zagrożeni w swych posiadłościach morawskich. Czyżby wiązało się to z planami władcy czeskiego wspólnej z książętami polskimi, a więc konkurencyjnej wobec Zakonu, walki z poganami? W każdym razie na terenie władztwa Przemysła Otokara sytuacja Krzyżaków uległa pewnemu pogorszeniu.

Od początków stycznia do początków marca 1256 r. w kurii papieskiej przebywali natomiast przedstawiciele biskupa krakowskiego Pramdoty, którzy uzyskali wówczas szereg bulli papieskich, dotyczących kultu św. Stanisława i odpowiednich odpustów, potwierdzenie szerokiego immunitetu, udzielonego Prandocie przez księcia Bolesława Wstydliwego — wraz z papieskim listem pochwalnym do tegoż księcia, dokumenty broniące praw majątkowych i przywilejów episkopatu i duchowieństwa polskiego, zwłaszcza w Małopolsce. Ostatnia z tej serii bulla papieska obejmowała wreszcie zatwierdzenie tradycyjnego prawa biskupów krakowskich do zajmowania pierwszego miejsca i głosu wśród episkopatu polskiego, naturalnie po arcybiskupach gnieźnieńskich (4 marca). Aleksander IV nie wystawił natomiast wówczas ani jednego aktu, dotyczącego spraw misji i krucjaty przeciw poganom. Albo więc biskup Prandota sam był wstrzeźmiwy w tej sprawie, albo też w kurii papieskiej nadal dobrze bronione były interesy Zakonu Krzyżackiego.

Margrabia Jan zapewne wczesną zimą 1255/6 r. wyruszył do Prus, może przez Wielkopolskę i Kujawy, gdzie drogę otwierało mu porozumienie z Przemysłem I i sojusz tego ostatniego z Kazimierzem Kujawskim, gdzie czekała go jednak niespodzianka. Zima opóźniała się, drogi były rozmokłe i trudno było zorganizować rejsę na ziemie pogańskie. W tej sytuacji wojska brandenburskie wycofały się nie do zdziaławszy. Gdy zaś wreszcie nadeszły mrozy sam komtur królewiecki z siłami Zakonu, podległych Sambów i może niektórych innych grup pruskich uderzył ponownie na Unsatrapis, zdobył tu jeden gród, zaś załogi trzech pozostałych grodów poddały się, przekazując Burchardowi jako rękojmiej wierności zakładników. W drodze powrotnej, wzmocniony posiłkami z Unsatrapis komtur królewiecki zlikwidował ostatnie punkty oporu w Notangii. Zostały w ten sposób zaokrąglone granice państwa krzyżackiego w Prusach, wyprostowane linie obrony i przygotowany grunt pod dalszą w miarę możliwości ekspansję na Nadrowie i potem na Jaćwięż.

Widać stąd wyraźnie, że wiążący siły książąt polskich konflikt wojenny między Piastowcami a Świętopełkiem i jego synem Mściwojem dobrze służył interesom Krzyżaków, którzy spokojnie mogli zająć się ekspansją na wschodzie swego państwa.

Zakonowi zagroził jednak kryzys wewnętrzny. Oto wielki mistrz Poppo v. Osternohe opuściwszy Prusy udał się do Włoch, gdzie w Rzymie z nieznanym przyczyn — podobno ze względu na podeszły wiek (choć żył jeszcze potem dłuższy czas) zrezygnował z kierowania Zakonem. Dokładnej daty rezygnacji nie znamy. Trudno więc stwierdzić, czy seria bulli Aleksandra IV dla Zakonu z 11 marca została wystawiona przed, czy po tej rezygnacji. Papież ponowił wówczas wezwanie swego poprzednika (Innocentego IV) do dominikanów ze wschodnich i północnych Niemiec, Czech z Morawami, Polski i krajów skandynawskich, by na tych terenach glosili krucjatę do Prus i Inflant. Odpowiedzialnym za tę krucjatę miał być prowincjał dominikanów niemieckich, którym był wówczas znany

filozof i teolog Alfred zwany Wielkim, mistrz Tomasza z Akwinu. Alfred przebywał zresztą wówczas w kurii papieskiej w związku ze znanym nam już procesem z profesorami Sorbony.

Nowe zezwolenie na krucjatę dla wsparcia Krzyżaków było konkurencyjne w stosunku do niedawnego wezwania do krucjaty dla poparcia książąt polskich. Był to więc sukces dyplomatyczny Zakonu, o który najprawdopodobniej postarał się jeszcze sam Poppo v. Osternohe.

## DRUGA FAZA WOJNY NAKIELSKIEJ

W tym czasie trwała nadal wojna wielkopolsko-pomorska. Wróćmy więc do tekstu głównego o niej źródła, Rocznika kapituły poznańskiej:

W roku Pańskim 1256 książę Przemysł ze swoim wojskiem i z rycerzami brata, Bolesława, i z panem księciem Kazimierzem zeszli się w Nakle i za radą mądrych mężów poszli aż do grodu Pomorzan, który zwany jest Raciąż, i otaczając ze wszystkich stron wojsko to podłożyło zewsząd dookoła ogień, aby przez to strażnicy grodu zostali zastraszeni i przekazali śród w ręce księcia Przemysła. Ci [strażnicy] mężnie stawiając opór nie chcieli grodu przekazać jako mężowie, którzy przyrzekli wiare swemu księciu, dopóki ogień gwałtowny nie objął całego grodu wraz z przebywającymi w nim ludźmi. A gdy Polacy zobaczyli, że Pomorzanie są już zrozpaczeni, ruszyli w ogień i wydobyli z ognia mężów i kobiety i dzieci, ile mogli wydobyć. Zostali schwytni wśród nich kasztelan Sokół, wojski, chorąży i przekazani w ręce księcia Przemysła. Rzeczy zaś wspomnianych ludzi jedne zostały spalone, pewne, których ogień nie objął, wydobyte przez Polaków. Tamże zostali spaleni ludzie wielcy i mały i liczny ich dobytek. Uciekli bowiem do tego grodu w obawie przed Polakami liczni Pomorzanie ze swoimi dziećmi i rzeczami.

Warto zwrócić uwagę na bohaterstwo pomorskich obrońców Raciąża (leżącego obecnie pod Tucholą, która wówczas miała dużo mniejsze znaczenie), jak również na akcję ratunkową Wielkopolan i Kujawian gdy przekonali się, że obrońcy nie będą już stawiać dalszego oporu. Trudno sądzić, by akcja ta podyktowana była tylko chciwością okupu i łupów. Wyprawę na Raciąż podjęto niewątpliwie w środku lub pod koniec zimy (po nastaniu mrozów). Tym razem nie przystali posiłków ani Bolesław Wstydlawy, ani Siemowit mazowiecki, być może obawiający się nowego najazdu pogańskiego (który mógł być groźny ze względu na kryzys w stosunkach między Romanowiczami halicko-wołyńskimi a Litwą). Nie oznaczało to jednak zerwania sojuszu między Bolesławem Wstydlawym a Przemysłem I. Ten ostatni 14 lutego w Poznaniu, może tuż przed wyprawą raciąską, potwierdził przez jednego ze swych rycerzy nadanie dóbr na rzecz templariuszy. Czy miało to jakiś związek z podjęciem przez Bolesława Wstydlawego planu nadania Łukowa nie Krzyżakom, lecz właśnie templariuszom, nie wiemy.

Oddajmy jednak znowu głos Rocznikowi kapituły poznańskiej:

W tymże również roku w Wielki Post książę Świętopełk ze swoimi synami i z bratem swoim zebrawszy niewiele wojsk dla dostarczenia zapasów do starego Nakla [przemyśla] i gdy był pod nowym gródkiem [obłężym — J. P.] spróbował, czy nie mógłby w jakiś sposób przypadkowo zdobyć 6w gródek, chociaż spostrzegł licznych obrońców. Naradziwszy się Jednak ze swoimi polecił wojsku sporządzić drwa s0bnowe, zastosować Je Jako pochodnie, aby mógł wspomniany gródek podpalić. I gdy gotowe drwa Pomorzanie wyrzucili do fos i zobaczono, że do celu nie nadają się, zachęcił ich [Świętopełk Pomorzani], by wrócili po drewno, aby w większej ilości napelnili fosy. Polacy zaś Jako mężowie przezorni i w wielu rzeczach doświadczeni, gdy zobaczyli, że Pomorzanie odeszli po drewno a owe drwa, które już były rzucone nie zostały podpalone, wyszli uzbrojeni [z grodu] i wszystko usuwając przy pomocy przygotowanych do tego narzędzi owe drewna podpalił i ogniem zniszczyli. Pomorzanie zaś widząc taką chytr0ść i przezorność Polaków przestali już rzucać dalej drwa, lecz Jako mężowie najsilniejsi, zbrojni ze swoimi tarczami i faszynami zbliżyli się z ukrytymi kamiennymi procami a także z machinami zaczęli atakować gród. Lecz miłosierny Pan nie opuszczając sprawiedliwych ludzi, Polaków [tu. Jak i gdzie indziej Polacy — Wielkopolanie J. P.], którzy słusznie bronili dziedzictwa Polski [Wielkopolski], które Pomorzanie ośmielili się siłą księcia Polski [Wielkopolski] pozbawić, — łaskawy był siebie samego ofiarować dla pomocy Polsce [Wielkopolsce], niosąc im z nieba pomoc, dając im siły i wytrwałość zwalczania swoich wrogów, ponieważ jednak dość wątpli o życie, i za pomocą Boga wówczas wyrzucili nieprzyjaciół z grodu. A mówi się, że wtedy Pomorzanie zostali zabici aż na śmierć [!] w liczbie 20 a 80 ciężko ranieni niemal śmiertelnie. Bitwa ich trwała zaś owego dnia od przedpołudnia do godziny komplety [kompleta —

w chwilę po zachodzie s0ńca — J. P.]. Tak książę Świętopełk straciwszy nieco ludzi wycofał się pobity.

Z powyższego przekazu widać, że po wyprawie raciąskiej inicjatywa działań zbrojnych przeszła w ręce Świętopełka.

Co tymczasem działo się z innymi książętami polskimi? Zbyt mało mamy do dyspozycji źródeł, by odtworzyć całą działalność polityczną tychże. Wiadomo jednak, że Bolesław Wstydlawy w początkach lutego zwołał dzielnicowy wiec\* rycerstwa małopolskiego do Obrazowa niedaleko Sandomierza, a więc we wschodniej części swego władztwa. Być może obawiał się kolejnego najazdu pogan. Może rozpatrywano też sprawę stosunków z Rusią, jest bowiem możliwe, że Daniel halicki miał pretensję do Bolesława o braik poparcia w czasie walk z Mongołami. Niedawny kryzys w stosunkach między Romanowiczami a Mendogiem stawał też pod znakiem zapytania postawę władcy litewskiego wobec Polski. Może kontynuowano też narady w sprawie Łukowa, przeznaczonego teraz już templariuszom. Zapewne zdecydowano też skontaktować się z Konradowiczami.

Siemowit Konradowie w kwietniu naradzał się zapewne z biskupem płockim Andrzejem, który uzyskał wówczas od księcia nowe nadania i przywileje. Andrzej niewątpliwie w porozumieniu z Siemowitem i Kazłmienzem zdecydował się wystąpić ponownie z oskarżeniem Krzyżaków o niedotrzymanie umów w sprawie dochodów i posiadłości w ziemi chełmińskiej. Kazimierz Kujawski z kolei może na wieść 0 rezygnacji Poppona v. Osternohe postanowił przystąpić do bardziej energicznego działania. Poppo był jedyną osobą w ścisłym kierownictwie Zakonu\* z którą kiedyś książę kujawski blisko współpracował w czasie wspólnej wojny ze Świętopełkiem. Jego rezygnacja mogła więc w oczach Konradowicza znaczyć, że ostatecznie Krzyżacy inie wywiążą się z korzystnych dla niego punktów umowy inowrocławskiej, zwłaszcza w kwestii połowy ziemi lubawskiej. Postanowił więc zwrócić się ponownie do papieża z oskarżeniem Zakonu o złamanie postanowienia papieża Innocentego IV w sprawie ziem Galindów i Polekszan i o potwierdzenie klątwy, rzuconej w 1254 r. przez legata papieskiego Opizona z Mezzano. Książę kujawsko-łęczycycki mógł liczyć też na poparcie polskiego episkopatu, zwłaszcza zaś trzech biskupów, których diecezje obejmowały tereny jego dzielnic, to znaczy poza Andrzejem także arcybiskupa Pełki i biskupa Wolimira, z którymi stosunki układały się jak najlepiej, gdyż uczynił na ich rzecz wiele ustępstw w sprawach przywilejów i dóbr.

Najpóźniej pod koniec maja wyruszyło więc z Polski poselstwo, reprezentujące wymienionych biskupów, księcia Kazimierza a może i pozostałych Piastowiów, zainteresowanych problematyką polityki bałtyjskiej.

Już nieco wcześniej wiadomość o rezygnacji wielkiego mistrza Poppona dotarła do dostojników krzyżackich, którzy w maju lub czerwcu wyruszyli z Inflant i Prus w kierunku Niemiec. 29 czerwca we Frankfurcie nad Menem byli obecni obydwaj mistrzowie krajowi: Anno von Sangershausen inflancki i Dytrych von Gröningen niemiecki i pruski, były komtur królewiecki Burchard von Hornhausen, a niewątpliwie i inni, a także biskupi: Henryk kuroński, Henryk sambijski i Heidenryk chełmiński. Tu rozirzygnięto toczyć się od pewnego czasu spór między biskupem sambijskim, a konwentem królewieckim o trzecią część dochodów z Sambii, której wspomniany konwent nie chciał biskupowi wypłacić, stwierdzając, że wielce kosztowne były i budowa grodu królewieckiego, i jego utrzymanie i wreszcie obrona Sambii. Wybrani na arbitrow biskup Heidenryk i były ikomtur Burchard zobowiązali konwent do zapłaćenia biskupowi sambijskiemu 200 grzywien w zamian za zrzeczenie się przez biskupa dalszych roszczeń do dochodów z okresu przed niedawnym ustanowieniem przez Henryka wójta biskupiego w osobie Olperta. Był to pierwszy, ale nie ostatni poważny konflikt między biskupem sambijskim Henrykiem v. Strittberg a resztą Zakonu Krzyżackiego,



Wystawiony zaś w tej sprawie dokument pozwala właśnie stwierdzić obecność wszystkich wymienionych osób we Frankfurcie. W związku z tym, że wśród członków Zakonu istniało prawdopodobnie dość znaczne stronnictwo uważające, że głównym terenem działania Krzyżaków winna być Palestyna (gdzie niedawno Zakon zyskał nowe nadania ale musiał się bronić przed pretensjami joannitów do zwierzchnictwa nad Krzyżakami), dostojnicy pruscy i inflanccy śpieszyli się, by dopilnować wybrania na kapitule generalnej Zakonu takiego wielkiego mistrza, który by zwracał należną uwagę na krzyżackie posiadłości nad Bałtykiem.

#### ALEKSANDER IV ZNOWU ZMIENIA ZDANIE

Tego papieża nie cechowała ani stałość ani wierność danemu słowu. Zawsze jednak dbał o to, by umocnić przewagę papieżstwa nad władzą świecką i występować w roli sędziego. Temu celowi miała służyć między innymi bulla z 18 sierpnia 1255 r., w której Aleksander IV odwołał wszystkie tak swoje, jak swego bezpośredniego poprzednika przywileje, udzielone osobom duchownym i świeckim, zakazujące rzucania klątwy na te osoby. Uprowadzając wydarzenia możemy powiedzieć, że bulla ta mogła być wykorzystana także przy rozpatrywaniu skarg polskich przeciw Krzyżakom.

28 stycznia 1256 r. poległ w bitwie z Fryzami król rzymski Wilhelm holenderski. Otwierało to przed papieżem możliwość nowych manipulacji politycznych, mających na celu pełniejsze podporządkowanie Włoch i Niemiec. Aleksander IV wykluczył możliwość uznania praw do korony ostatniego legalnego potomka Hohenstaufów w męskiej linii, Komradyna. Tym bardziej dotyczyło to naturalnego syna Fryderyka II, Manfreda, który wiosną i latem odniósł dalsze sukcesy w walce z welfami na terenie Królestwa Sycylii, zdobywając ostatecznie też Neapol. Manfredowi papież przeciwstawił od pewnego czasu syna króla Anglii, Henryka III, Edmunda, któremu nadał Królestwo Sycylii. Gdy jednak na terenie Niemiec część książąt i biskupów zaczęła wysuwać kandydaturę na króla rzymskiego brata Henryka III, Ryszarda z Korwalii, papież przestraszył się, że może to prowadzić do odnowienia planów połączenia Niemiec i Królestwa Sycylii i odbudowania potęgi Hohenstaufów w rękach Plantagenetów. Do tego nie chciał dopuścić, chociaż nie wypadało też wprost sprzeciwiać się kandydaturze Ryszarda. Z zadowoleniem więc papież przywitał wysunięcie innej kandydatury, mianowicie Alfonsa X kastylijskiego. Teraz wreszcie Aleksander IV mógł występować w roli sędziego i rozjemcy. Pojawiła się też przelotnie kandydatura margrabiego brandenburskiego Ottona III, istniała — Przemysła Otokara II. Te jednak nie miały wielkich szans. Panowie niemieccy obawiali się władcy który miałby oparcie w znacznych posiadłościach dziedzicznych na terenie Niemiec.

Trudno stwierdzić, czy Krzyżacy pozbawieni właśnie wielkiego mistrza, podzieleni na dwie co najmniej frakcje, byli w stanie zająć jednolite stanowisko wobec nowych problemów, i to stanowisko po myśli papieża. Być może Aleksander IV nie zapomniał też rycerzom zakonnym konszachtów z Manfredem, coraz bardziej niebezpiecznym przeciwnikiem. Zachęceniu jego sukcesami gibelini zaczęli podnosić głowę nawet w miastach państwa papieskiego. W Rzymie panowało znaczne niezadowolenie z rządów welfickiego senatora Emanuela de Madio i dochodziło tu często do zamieszek. Papież wołał więc opuścić Wieczne Miaso i ponownie przenieść się

do bezpiecznego Anagni. Tu właśnie dotarło poselstwo polskie.

Najpierw 3 lipca Aleksander IV zajął stanowisko w sprawie prokuracji legackich. Odwołując się teraz na odrębność polityczną Polski papież zezwolił arcybiskupowi gnieźnieńskiemu jego sufraganom i całemu duchowieństwu prowincji gnieźnieńskiej, by uiszczali prokurację tylko tym legatom, w których prowincji wyraźnie i w sposób pełny wymieniona będzie Polska, nie zaś wszystkim legatom lub nuncjuszom, wysłanym do Niemiec i nie podanych bliżej krajów sąsiednich.

Warto przytoczyć obszerny fragment następczej bulli, z 15 lipca 1256 r.:

Aleksander biskup [rzymski, sługa sług bożych] itd. czciogodnemu bratu [Tomaszowi] biskupowi wrocławskiemu [umiłowanym synom... przeorowi braci kaznodziej [dominikanów — J. P.] w Chełmie i bratu Bartłomiejowi z zakonu braci mniejszych [franciszkanów — J. P.J, kaznodziei krzyża przeciw poganom Polski, pozdrowienie [i apostołskie błogosławieństwo]. Jako kochany syn nasz szlachetny mąż Kazimierz książę Kujaw i Łęczycy, pobofcny kścioła rzymskiego, przedstawił nam z własnej inicjatywy, pewni poganie, którzy w owych stronach zwani są pospolicie Jentuosi [Jaćwiegowie — J. P.J, sąsiadujący z jego ziemiami, chcą dobrowolnie wrócić do wiary chrześcijańskiej i poddać się jego panowaniu, a szczęśliwej pamięci Innocenty papież, nasz poprzednik, jemu i kochanemu synowi naszemu mżowi Bolesławowi księciu Krakowa i Sandomierza nadał podobno, by jakichkolwiek pogan pobliskich lub sąsiadujących z ich ziemiami [Kazimierza i Bolesława — J. P.J, którzy dobrowolnie oraz bez wojny i miecza chcieliby wrócić do wiary chrześcijańskiej i poddać się ich panowaniu, wolno im przyjąć i jak innych chrześcijan trzymać w swych rękach, opiekować się i także we wszystkim bronić, nie zważając na zezwolenia, które, jak mówi się, zostały nadane wcześniej kochanym synom braciom Domu Niemieckiego [Krzyżakom — J. P.] z tychże stron, aby przyłączyli do swego władztwa tych pogan z owych stron, których mogliby podporządkować sobie wojną i mieczem. Ponieważ zaś godne łaski winno być nawrócenie nieprzymuszone, a sam bóg służył przymuszonych nie przyjmując, nakłonieni prośbami tego samego księcia [Kazimierza — J. P.J, nakazujemy, abyście z mocy aurytetyu naszego przeciw wszystkim dzierżyli i bronili wspomnianych pogan i jakichkolwiek innych, chcących dobrowolnie wrócić do tejże wiary.

Dalej następuje formuła, zezwalająca na nakładanie kar kościelnych na wszystkich sprzeciwiających się poleceniu papieskiemu, bez względu na poprzednie zalecenia.

Z przytoczonej bulli widać, że papież został przekonany przez przedstawicieli polskich i zmienił zdanie w sprawie polityki bałtyjskiej, udzielając znowu poparcia Kazimierzowi Kujawskiemu i Bolesławowi Wstydliwemu.

W trzy dni później papież ustosunkował się do supliki biskupa płockiego Andrzeja i jego kapituły, którzy skarżyli się na złamanie przez Krzyżaków umowy polubownej w sporze o dziesięciny, ziemię i posiadłości, prawa, jurysdykcję i dochody kościelna w ziemi chełmińskiej (rzekomo położonej w diecezji płockiej). Aleksander IV polecił więc biskupowi wrocławskiemu Wolimirowi a także przeorowi dominikanów chełmińskich i scholastykowi wrocławskiemu, by wezwali mistrza i braci Zakonu w Prusach do respektowania umowy a w razie odmowy rzucili na nich klątwę, przeciw której Krzyżacy nie mieliby prawa do apelacji.

Tak więc starania polskie przyniosły ponownie \*pełny sukces. Sytuacja z 1253 r. powtórzyła się.

Z punktu widzenia dziejów Pomorza Gdańskiego istotne było, że Krzyżacy musieli znowu zająć się kontracją dyplomatyczną, jak również i to, że ponowne zwrócenie się Kazimierza Kujawskiego ku sprawom polityki bałtyjskiej i rywalizacji z Zakonem skłaniało go do odstąpienia od udziału w wojnie nakielskiej a w dalszej perspektywie do polityki zbliżenia z Świętopelkiem.

(Cdn.)

Nakładem PWN w 1979 r. ukazały się dwie książki poświęcone malarstwu gdańskiemu. Jedną z nich — „Malarstwo tablicowe w Gdańsku w 2 poł. XV w.” jest autorstwa Adama S. Labudy z uniwersyteckiego ośrodka poznańskiego, uczynią prof. Gwido Chmarzyńskiego znakomitego znawcy sztuki Ziemi Chełmińskiej, Pomorza Gdańskiego, Zachodniego i Prus Książęcych, a zarazem syna znanego nam dobrze wybitnego historyka prof. Gerarda Labudy. Monografia Adama S. Labudy, wysoko oceniona przez środowisko historyków sztuki, wypełnia listotną lukę w badaniach nad sztuką późnogotycką Gdańska i Pomorza. Autor omawia nie tylko dzieła, ale również uwarunkowania historyczne i socjologiczno-artystyczne, w których one powstały.

Opracowanie drugie, Teresy Grzybkowskiej z uniwersyteckiego środowiska warszawskiego, prezentuje dorobek gdańskiego malarza Andrzeja Stecha, który urodził się w 1635 r. w Słupsku jako syn Henryka (też malarza) i Anny z domu Krassen. Liczne dzieła z bogatej spuścizny Andrzeja Stecha, obok malarstwa religijnego, historycznego, batalistycznego, alegorycznego i mitologicznego obejmującej portrety, martwe natury i ilustracje naukowe, poza muzeami, głównie Muzeum Narodowym w Gdańsku i Biblioteką Gdańską PAN, znajdują się w kościołach oraz katedrach w Oliwie i Pelplinie. (tr)

#### FRAGMENTY KUTRA W SKANSENIE WE WŁADYSŁAWOWIE

Przy okazji społecznej akcji złomowania 15-metrowego kutra dębowego w Rybackiej Stoczni Remontowej „Szkuner” we Władysławowie, budowanego seryjnie w latach 1947 do 1949 w Stoczni Rybackiej w Gdyni, gdzie jeszcze wtedy pracowali tacy szkutnicy jak: Franciszek Ledke, Franciszek Rauchfleisch (późniejszy kierownik Agencji PRS we Władysławowie), Konrad Gapski, Stefan Rhode, Dampc i wielu innych — udało się uratować fragment części dziobowej i rufowej tego kutra i umieścić w skansenie MOKSiR we Władysławowie. Części te są darem młodzieży zrzeszonej w ZSMP przy w/w stoczni, która też prze transportowała je w dniu 15. 10. 79 r. do skansenu. Zespół wykonawczy to: Joachim Budzisz, Marcin Derc, Marian Dobrołęcki, Zbigniew Kaczmarek, Gerard Kleba, Wojciech Kužel, Kazimierz Modzelewski, Andrzej Muza, Stanisław Pipka, Ryszard Piotrowski, Zbigniew Wolszon, Roman Zelewski. Kierował akcją mgr inż. Anatol Nowicki.

Inicjatywa przekazania fragmentów kutra do miejscowego skansenu wyszła od dyrektora Nadmorskiego Parku Krajobrazowego mgr. inż. Tadeusza Rewolińskiego i od niego podpisano, który przekazał również charakterystykę techniczną kutra. Należy podkreślić, że takich fragmentów kutra nie posiada inawet Centralne Muzeum Morsilcie — Oddział Rybołówstwa w Helu.

Feliks Grochowski

# KLEKA

## PIEŚNI KASZUBSKIE ADAMA ZWIERZYŃSKIEGO

Na półkach księgarń muzycznych ukazał się śpiewnik kompozytora Adama Swierzyńskiego zatytułowany „Pięć pieśni kaszubskich na chór mieszany a cappella”. Pieśni ze śpiewnika Swierzyńskiego noszą tytuły: „Kapała się z chłopcami”, „Kole gramie inie ma nlic”, „Przed dwór zajechali”, „Pieśń bez słów”, „Pocóżesz mi moja matko...”. Śpiewnik został wydany przez Stowarzyszenie Marynistów Polskich i Polskiej Związek Chórów i Orkiestr. Pra wykonanie pieśni kaszubskich Adama Zwierzyńskiego nastąpiło na VII Koncercie Muzyki Marynistycznej w 1977 roku w Warszawie, który to zresztą odbył się z okazji 350 rocznicy bitwy pod Oliwą. Jerzy Jaroszewicz\* omawiając program tegoż koncertu napisał: „Cykl pieśni kaszubskich jest efektywny i bogaty, przypuszczać należy, że na stałe wzbogaci niezbyt obszerny repertuar marynistyczny polskich chórów”. Adam Swierzyński komponując muzykę do pieśni kaszubskich korzystał z materiałów folklorystycznych zawartych w zbiorach Oskara Kolberga — „Dzieła wszystkie. Pomorze” — oraz ze zbioru Lucjana Kamińskiego „Pieśni ludu kaszubskiego”.

12 listopada 1979 r. w Muzeum Narodowym w Warszawie odbył się wiecór muzyczny, na którym zaprezentowano również pieśni kaszubskie Adama Swierzyńskiego. (s.j.)

#### „ZŁOTA IGŁA 1979”

W listopadzie ub.r. nastąpiło rozstrzygnięcie ogólnopolskiego konkursu hafciarstwa „Złota Igła 1979”. Organizatorami konkursu są — corocznie — redakcje „Nowej Wsi” i „Gospodyni”. Tym razem nadeszło 4000 prac. Ośmioosobowe jury przyznało między innymi III nagrodę w dziedzinie haftu użytkowego Annie Głowczewskiej z Orlika i Irenie Mładanowicz z Parzyna. Nagrodę specjalną za wierne odwzorowanie haftu regionalnego otrzymała Zofia Formela z Kartuz.

(s.j.)

## PEJZAŻE KASZUBSKIE STANISŁAWA DOBRSKIEGO

Od młodości Stanisław Dobrski zajmuje się myślistwem. Tę pasję zresztą odziedziczył po ojcu. Przed sześcioma laty doszło do malarstwa. Zaczął utrzymywać pejzaże swoich łowczych wędrówek, zabierając prócz myśliwskiej dwururki malarski szkieletownik. Cechą specyficzną jego obrazów są kaszubskie pejzaże z leśnymi zwierzętami. Znaczący w tych obrazach wyczuć nastrój i barwy. Są — wśród licznych pejzaży Stanisława Dobrskiego — urokliwe miejsca z okolic Lipusza, Szemuda, Kościerzyny. Szczególnie tamtejsze mokradła, obfitujące w dzikie kaczkę. Są też — bogate w swojej kolorystyce — widoki Kałków Rybackich, ujścia rzeki Redy, Chałup. Nietrudno rozpoznać także różne inne zakątki Szwajcarii Kaszubskiej.

Amatorskie malarstwo Stanisława Dobrskiego spotkało się z dobrym przyjęciem krytyki. Jego obrazy były wystawiane w galerii Gdańskieo Towarzystwa Przyjaciół Sztuki, w gdańskim Domu Prasy, malborskim Muzeum Zamkowym, na Biennale Plastyki Nieprofesjonalnej, a także I Biennale Plastyki Amatorskiej Krajów Nadbałtyckich w Szczecinie.

15 grudnia została otwarta wystawa prac Stanisława Dobrskiego w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie. Z tej też okazji wejherowskie muzeum przygotowuje 16 stronicowy folder jego malarstwa. Wystawę opracowuje gdański artysta plastyk — Janusz Hebda.

(s.j.)

## ETYMOLOGIE NAZWISK WSCHODNIOPOMORSKICH

W zeszycie 1 tomu XXXIX „Rocznika Gdańskieo”, który się ukazał w październiku 1979 r., Edward Breza dał artykuł „Ze studiów nad nazwiskami pomorskimi”, w którym zetymologizował pochodzących z Kaszub, Kociewia i Borów Tucholskich 19 nazwisk niejasnych pod względem etymologicznym lub które się kojarzą z podstawami, od których w rzeczywistości nie pochodzą. Są to nazwiska: Baska, Bryłowski, Eron, Etmański (też Hetmański), Kasyna, Kłaman, Koster, Labuda, Miotk, Ramczyk (też Ramczykowski), Szadach, Szala, Szarmach, Sylka (też Selke, Zelka), Tusk, Wenda (też Węda, Wendt, Wentk, Wenta), Werowski, Worzała, Żarach.

(ib)



Nasz serwis zdjęciowy jest bardzo szczupły, a do tego jeszcze często opóźniony. I tym razem publikujemy z opóźnieniem dwie fotografie przedstawiające uczestników ostatniego Spotkania Twórców Literatury Koszubsko-Pomorskiej we Wdzydżach.

Na zdjęciu górnym, w pierwszym rzędzie od lewej: Jerzy Pachlowski, Jerzy Samp, Zofia Kamińska, Izabella Trojanowska, Stanisław Gostkowski, Zbigniew Jankowski. Zofia Ajewska i Stanisław Pestka. W drzwiach motelu „Pod

Niedźwiadkiem” stoją: Adam Klein, Józef Ceynowa oraz dwaj panowie z brodami – Józef Borzyszkowski i Erwin Kruk.

Na zdjęciu poniżej, od lewej: Tereso Ferenc, Lech Bądkowski, Benedykt Malinowski, Stefan Fikus, Jan Piepka i Józef Ceynowa. Na drugim planie: S. Pestka, Z. Jankowski, J. Pachlowski, Bolesław Fac i E. Kruk. Fotografował: Edmund Kamiński.



27 października 1979 r. w Kartuzach odbyło się zebranie plenarne Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Tematem przewodnim była ochrona środowiska przyrodniczego i kulturowego Kaszub. Wygłoszono dwa referaty: rzd. Jerzego Surdykowskiego — „Świat 7 miliardów” i dra Alfonsa Sikory — „Problemy ochrony środowiska przyrodniczego i kulturowego na Pojezierzu Kaszubskim”. W dyskusji głos zabrali przedstawiciele niektórych oddziałów ZK-P, informując o problemach ochrony w swoich ośrodkach. Z głosów członków Zarządu Głównego wynikało jednoznacznie, iż oba referaty nie spełniły oczekiwań, mimo że wystąpienie Jerzego Surdykowskiego było dobrze przygotowane. Natomiast referat Alfonsa Sikory był bardzo powierzchowny, poruszał problemy marginalne. W wyniku wielu zastrzeżeń Zarząd Główny ZK-P <nie podjął uchwały zaproponowanej przez kol. A. Arendta z komisji wnioskowej, zalecił jej dopracowanie i ponowne poddanie pod głosowanie na następnym zebraniu Zarządu Głównego. Sesji przewodniczył prezes Zrzeszenia — Stanisław Pestka.

(s. j.)



#### NOWY ZARZĄD „POMORANII”

Dnia 16 listopada 1979 r. odbyło się zebranie sprawozdawczo-wyborcze klubu „Pomorania”, w którym wzięło udział 33 członków i sympatyków. Gościem klubu był członek prezydium ZG ZK-P Feliks Marszałkowski.

Sprawozdanie z działalności „Pomorani” w imieniu ustępującego zarządu przedstawił prezes Feliks Borzyszkowski. Hanna Grabowska odczytała sprawozdanie Komisji Rewizyjnej, po czym rozwinęła się interesująca i ożywiona dyskusja.

Po udzieleniu absolutorium ustępu-

jącemu zarządowi i Komisji Rewizyjnej przystąpiono do wyboru nowych władz klubu. Nowo wybrany zarząd ukonstytuował się ostatecznie w składzie: Feliks Borzyszkowski — prezes, Kazimierz Klawiter — wiceprezes, Stefan Rambiert — sekretarz, Józef Łącki i Halina Polonis — gospodarze checzy w Łączyńskiej Hucie oraz Kazimierz Kleina i Stanisław Łącki — członkowie zarządu.

W skład Komisji Rewizyjnej weszli: Wojciech Syrocki (przewodniczący), Krystyna Maciaś i Marian Gliński. (K.l.)

Redakcja nie zwraca nie zamówionych materiałów; zastrzegamy sobie również prawo skracania tekstów nie zamówionych.

NUMERY POPRZEDNIE „POMORANII”. Pojedyncze numery pisma z ubiegłych miesięcy i lat można nabyć w biurze Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, ul. Szewska 1/4, 80-828 Gdańsk lub zamówić przesyłką pocztą. Tel. biura: 31-32-35.